

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny

Nr 15-16

ISSN 2080-024X

październik 2013 rok

dodatek specjalny do miesięcznika „Wieści znad Orzyca” Nr 10(78)

www.tpz.k.pl

www.naszkrasnosielc.tpz.k.pl



Wprowadzenie

Czasem ludzie pytają – Skąd teksty do Zeszytów bierzecie? Odpowiedź zawsze jest ta sama – ludzie je piszą! Piszą o swoich przeżyciach, pasjach, poszukiwaniach, piszą by podzielić się sobą, pozostawić część swoich doznań i przeżyć innym. By dać im część siebie, czasem z mocno przygaszonego już światła swojego życia, i by ona w nich trwała.

Spisanie pamiętnika jest niczym zgromadzenie twardego podłoża pod nogami na bagnistym gruncie, by przed skokiem w nieznane, poczuć się pewnie, albo może w ogóle poczuć w końcu siebie. Bezmiar czasu i ogrom doznań jakie stoją przed człowiekiem, gdy wchodzi w świadome życie jest złudą i kłamstwem. Poczuć to można najbardziej pisząc własną historię, wtedy rzeczy na co dzień najważniejsze stają się zupełnie nieistotne, a te którym niewiele poświęcamy uwagi – najważniejsze, a czas tak szybko płynie

Zapisane historie są bezinteresownym, wszytkowiedzącym doradcą, trzeba tylko chcieć go słuchać i nauczyć się słyszeć.

Ślad tego Zeszytu podąża za inspiracją Pana Apolinarego Zapiska. To jego i jemu podobni, pletli swoimi drogami życiowymi więzi Mazowsza z Warmią. Wczytując się w ich spis rzeczy dokonanych, czuję jednak niedosyt barwnej opowieści płynącej z ust i mowy ciała rozmówcy. Brakuje mi rubasznych historii, relacji z życiowych potknięć, a nawet tragedii, po których został już tylko śmiech wspominania. Brakuje mi odcieni szarości życia. Brakuje mi skrzydeł anioła, którymi czasem płynęli i kopyt diabła, którymi czasem deptali ...

Tyle o pamiętnikach.

W Zeszycie tym znajdziesz Czytelniku również inne prawdziwe diamenty. Jest nim z pewnością pionierska próba zebrania ulatujących szczątków pamięci o czasach wielkiej tragedii II wojny światowej, dokonana zarówno przez Pana Apolinarego Zapiska jak i Pana Tadeusza Kruka. Liczę Czytelniku, że i Ty sięgniesz po pióro i dopiszesz to, co zaczęte, by z rozbitych skorup naczyń naszych przodków, ułożyć powtórnie kształt ich życia, ubrały we wzory i kolory.

Dziękując autorom tekstów oraz tym którzy współtworzyli to wydanie, pragnę mocno podziękować tym, którzy życzliwie sfinansują ich druk, jako że wszystko co masz teraz w rękach jest pracą społeczną.

Redaktor wydania, *Sławomir Rutkowski*

Wsparcie finansowe prosimy kierować na konto Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu.

O nich trzeba pamiętać Lista ofiar II wojny światowej spośród mieszkańców gminy Krasnosielc

str. 2

Apolinary ZAPISEK



Zbrodnia wojenna w Grabowie

str. 7

Tadeusz KRUK



Wspomnienia Henryka Sikory cz. III Konspiracja

str. 11

Henryk SIKORA



Wczesnośredniowieczny kompleks osadniczy w Sypniewie cz. 1 Historia badań archeologicznych

str. 19

Paweł WŁODARSKI



Wspomnienia

str. 20

Zdzisław JABŁONOWSKI

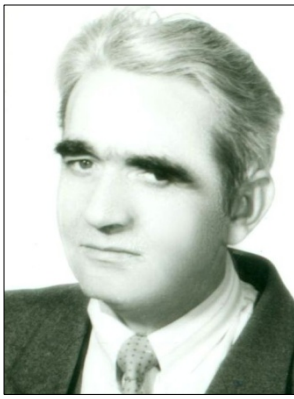


Z Mazowsza na Warmię Moja droga życia

str. 31

Ryszard DOBEK





O Nich trzeba pamiętać Lista ofiar II wojny światowej spośród mieszkańców gminy Krasnosielc

*"Im kultura nie zabrania
Robić takie polowania"*
Z okupacyjnej piosenki warszawskiej

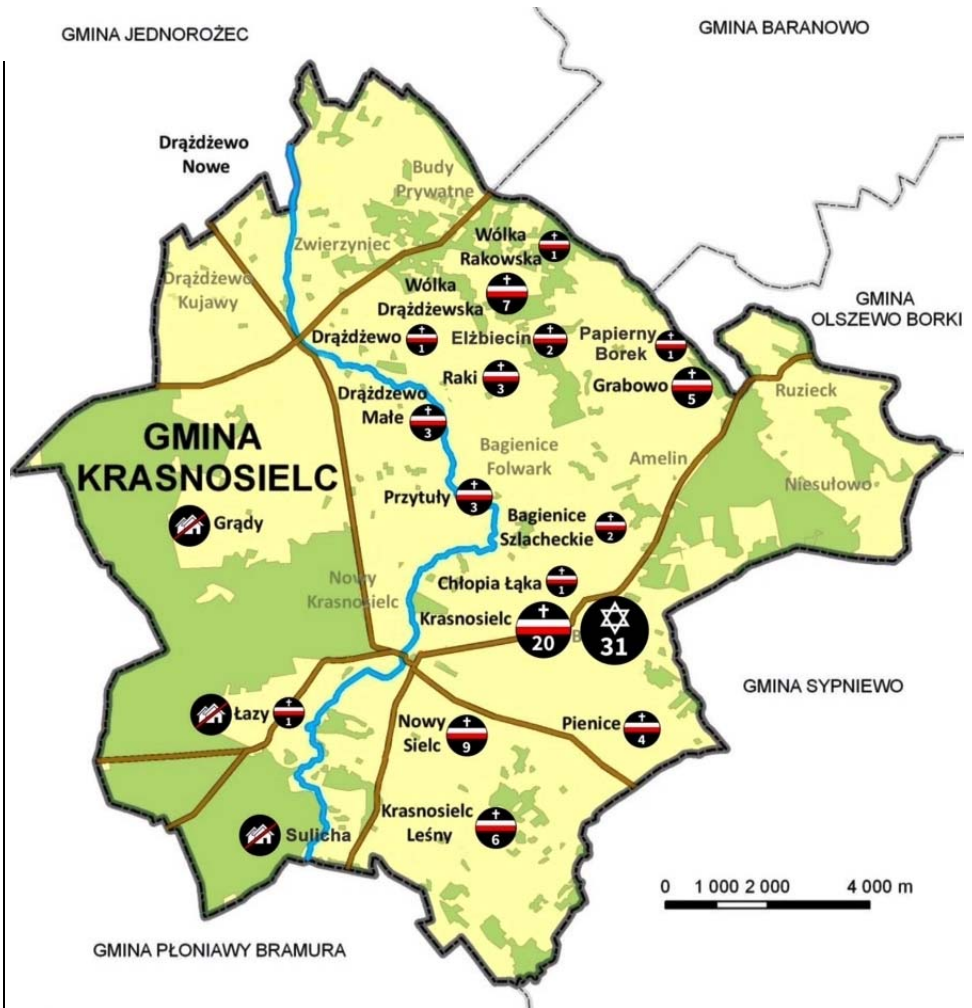
Apolinary ZAPISEK

Świadomość własnej przeszłości pomaga nam włączyć się w długi szereg pokoleń, by przekazać następnym wspólne dobro - Ojczyznę

Jan Paweł II

Byli synami i córkami tej ziemi. Mogli, jak ich rówieśnicy, cieszyć się życiem przez wiele dziesiątków lat. Niektórzy z Nich dożyłoby do naszych dni, pracując na pożytek swoich rodzin, rodzinnej ziemi i swego kraju. Ile osób z terenu naszej gminy straciło życie w wyniku zbrodniczej II wojny światowej i jak brzmią ich imiona i nazwiska? Można to było ustalić 50, a może nawet 20 lat temu. Dziś niestety jest to już niemożliwe, a przynajmniej bardzo trudne. Niektóre nazwiska publikowane są tu po raz pierwszy. O większości pisano już w Krasnosielckich Zeszytach Historycznych i innych wydawnictwach. O niektórych wspomniano anonimowo. Część tych osób udało się zidentyfikować dzięki pracy poszukiwawczej pani Elżbiety Czarneckiej z Urzędu Stanu Cywilnego i pani Grażyny Rogali, sekretarz Urzędu Gminy w Krasnosielcu. W imieniu własnym i Redakcji składam im w tym miejscu serdeczne podziękowanie.

W niniejszym opracowaniu podjęto próbę zebrania w jednej publikacji imion, nazwisk oraz wieku osób z naszej gminy, poległych w tym największym kataklizmie XX wieku. W miarę możliwości przedstawiono też krótko okoliczności zgonu. Nie zawsze udało się ustalenie nawet tych skromnych danych. Wiem, że przedstawiona lista nie obejmuje wszystkich mieszkańców naszej gminy, którzy stracili życie w wyniku II wojny światowej - naszych krewnych, przyjaciół i znajomych naszych rodzin. W trakcie prac nad niniejszym opracowaniem udało nam się, z pomocą wspomnianych pań z Urzędu Gminy oraz moich przyjaciół, „odkryć” około 25 osób – ofiar II wojny, nie wymienianych dotychczas w publikacjach. Dlatego uważam, że dalsze poszukiwania mają sens i że wiele tu pomóc mogą także nasi Czytelnicy. Niech polegli mieszkańcy naszej gminy nie zaginą w niepamięci mroku.



GMINA KRASNOSIELC - LICZBA OSÓB, KTÓRE ZGINĘŁY NA SKUTEK II WOJNY ŚWIATOWEJ, W PODZIALE NA MIEJSCOWOŚCI.

Nie jest to pełen wykaz - mapa ilustruje spis ofiar, zebranych w artykule obok.



liczba zabitych
Polaków



liczba zabitych
Żydów



zlikwidowane
miejscowości

opracowanie graficzne mapy: Emilia Klimczak

Krwawe preludium

Z liczącej przed 1939 r. około 2 000 osób społeczności żydowskiej, mieszkającej w naszej gminie, wojnę przeżyło niewielu. Znamy tylko 31 nazwisk spośród ponad 50 zamordowanych 5 września 1939 r. w Krasnosielcu. Nieznane jest nawet miejsce masowej zagłady pozostałych. Jeżeli zatem ktoś posiada chociażby skromną wiedzę o ostatnich miesiącach życia i śmierci współobywateli naszych ojców, dziadków i pradiadków, proszę aby podzielił

się nią z Redakcją. Może to mieć duże znaczenie dla odkrywania historii naszej gminy.

W kampanii wrześniowej 1939 r., jak podaje Wikipedia, straciło życie 70 000 polskich żołnierzy. Jest rzeczą nieprawdopodobną, aby w tej tragicznej liczbie nie było nikogo z naszej gminy. Z lat dziecięcych pamiętam opowiadanie mojego późniejszego szwagra, Stanisława Regulskiego z Łazów, żołnierza 33. Pułku Piechoty z Łomży. Wspominał on o tym, jak w czasie działań bojowych jego kompania czy pluton, wycofując się na skutek znacznej prze-

wagi wroga, musiał pod ogniem CKM-ów zalegnąć w polu. W tej sytuacji okopywanie się, nawet saperkami, było niemożliwe. Wówczas, ostrzeliwując się przed nacierającymi Niemcami, opierał swój karabin na ciele zabitego kolegi, żołnierza z tej samej wsi. Dziś bardzo żałuję, że jeszcze przed kilkunastu laty, gdy żył autor tej opowieści, nie zapytałem o nazwisko żołnierza, który jeszcze po śmierci wspierał kolegę w walce.

Nie usprawiedliwione działaniami wojennymi zabójstwa ludności polskiej i żydowskiej na naszej ziemi naziści rozpoczęli na dużą skalę już w pierwszych dniach września 1939 roku. Jak wspomniano wyżej, już 5 września zamordowanych zostało w Krasnosielcu ok. 50 Żydów. Zdaje się, że nawet niektórych Niemców zaskoczył ten mord. Ich wodzowie nie podjęli jeszcze wtedy decyzji o Holocauście. Stąd leczenie w olsztyńskim szpitalu kilku ocalałych z masakry Żydów. Zaskoczenie było jednak krótkotrwałe, bo już następnego dnia, 6 września 1939 r., zastrzelono 13 Polaków w Pienicach (3*) i ponad 20 w pobliskim Sławkowie, w sąsiedniej gminie Sypniewo.

Na 311 zbiorowych zbrodni Wehrmachtu, dokonanych w Polsce we wrześniu i październiku 1939 roku, dwie przypadają na naszą gminę. Już w pierwszym tygodniu wojny, bez żadnej bojowej przyczyny, zamordowano tu ponad 60 osób.

Na naszej ziemi naziści mordowali nie tylko ludzi - „Mordowali” również wsie. Mam tu na myśli fizyczną likwidację jesienią 1940 r. wsi Łazy, Grądy i Sulicha, po to tylko, aby ówczesnemu władcy tych okolic, Erichowi Kochowi, powiększyć tereny łowieckie.

O większości zbrodni wojennych na naszej ziemi pisano już w „Wieściach znad Orzyca” i „Krasnosielckich Zeszytach Historycznych”. Dlatego ograniczyłem się do sporządzenia listy poległych i krótkiego opisu okoliczności, w jakich zginęli. Nieco szerzej chciałbym przedstawić natomiast trzy zdarzenia, opowiedziane mi niedawno przez znakomitego badacza i znawcę historii naszej ziemi, pana Tadeusza Kruka. Zbrodnie te nie należą do najdramatyczniejszych, ale też wiele mówią o rzekomym humanitaryzmie Wehrmachtu. Przypadkowo na miejscu jednej z tych tragedii byłem obecnie kilkadziesiąt minut po jej dokonaniu.

Mordowali do końca

We wrześniu 1944 r. w Przytułach zastrzelony został przez przejeżdżających żandarmów Jan Kaczorek. Wrócił właśnie do gospodarstwa po wykonaniu pracy nakazanej mu poprzedniego dnia przez tychże żandarmów. Pospieszył się. Żandarmi podejrzewali, że zlekceważył ich polecenie. Wydali więc błyskawicznie wyrok – i błyskawicznie go wykonali.

W imieniu III Rzeszy ustanowili jeszcze dodatkowo sankcję. Rodzina nie miała prawa pochować zabitego na cmentarzu, musiała zakopać ciało na własnym podwórku, aby mieć stale przed oczami grób niewinnie zabitego. Jeszcze we wrześniu 1944 r., gdy los III Rzeszy był już przesądzony, niemiecki żandarm, jak mityczny król Teb Kreon, użył zwłok ludzkich do wymuszenia posłuszeństwa. Był tak samo okrutny jak Kreon, skazujący Antygone na męczeńską śmierć. Kreon za swoje okrucieństwo

został ukarany samobójczą śmiercią syna Hajmona i żony Eurydyki. Tymczasem nie wszystkich żandarmów, nawet tych najważniejszych, dosięgła kara.

A oto następny zbrodniczy epizod. W godzinach porannych 20 stycznia 1945 r. moja rodzina, po przejściu frontu, wracała do domu. Wyjeżdżając z Drąždźewa w kierunku Krasnosielca, spostrzegliśmy grupę bardzo zatrośnianych, wyraźnie zmartwionych ludzi. Tato zatrzymał konia. W rozmowie z nimi dowiedzieliśmy się, że kilkadziesiąt minut wcześniej doszło tu do tragedii. Pozostawiona i sprytnie zainstalowana przez Niemców mina pozbawiła życia dwóch ludzi. Rozrzucone szczątki jednego z nich były właśnie zbierane. Przeżyli okupację i to był ich pierwszy dzień wolności. Podłączenie miny do sprzętu gospodarskiego - wagi - wyraźnie wskazywało, że nie była to pułapka przygotowana na nacierających czerwonarmistów, ale na polskiego chłopca. Zabici zostali dwaj szwagrowie, Antoni Szewczak i Roman Michalak z Drąždźewa Małego.

Ostatniego bezpośredniego zabójstwa na terenie naszej gminy dokonał niemiecki żołdak 19 stycznia 1945 r. we wsi Drąždźewo-Kujawy. Wrzucony do schronu granat pozbawił życia mieszkankę Drąždźewa, Eleonorę Szewczak. Kilka dni wcześniej w taki sam sposób zamordowano w Krasnosielcu inną kobietę, Zofię Ferenc matkę nieletnich dzieci. Warto w tym miejscu przypomnieć, że był to często stosowany przez nazistów sposób mordowania, wykorzystywany m.in. w Powstaniu Warszawskim. Granaty wrzucane do kanałów, którymi przemieszczali się powstańcy, zwłaszcza w końcowej fazie Powstania, czyniły duże straty w ludziach. Sprawcy natomiast niczym nie ryzykowali.

O tragedii walk bratobójczych kilka wspomnień

A co działo się po 20 stycznia 1945 r., kiedy to Czerwona Armia wypędziła Niemców z krasnosielckiej ziemi? Niestety, długo jeszcze nie zaznano upragnionego, pełnego pokoju i długo jeszcze ginęli ludzie. Już 21 stycznia 1945 r. w Krasnosielcu i okolicy NKWD aresztowało i wywiozło w nieznane kilkudziesięciu mężczyzn, głównie związanych w czasie okupacji z ruchem oporu. Można przypuszczać, że była to akcja centralnie kierowana, bo w tym czasie podobne aresztowania i wywózki miały miejsce także w innych częściach Polski. Od swojego teścia, Wojciecha Mrugały, mieszkającego wówczas we wsi Kolonia Borów w powiecie krasnostawskim, wiem, że w styczniu 1945 r. z jego wsi także zabrano kilku mężczyzn - także nie wszyscy z nich wrócili. Wojciech Mrugała należał do Batalionów Chłopskich, więc „polowano” również na niego. Udało mu się zbiec, a strzelający do uciekającego enkawudziście na szczęście nie był strzelcem wyborowym.

Te wywózki i rozpoczęte wkrótce przez UB aresztowania były jednymi z głównych przyczyn najbardziej bolesnej walki bratobójczej. W spektakularnej akcji oddziału Narodowych Sił Zbrojnych na Urząd Bezpieczeństwa w Krasnosielcu, w nocy z 1 na 2 maja 1945 r.,

zginęło dziewięciu ludzi, w tym dowódca plutonu atakującego oddziału, Julian Pszczółkowski, a także sześciu funkcjonariuszy UB i dwóch rozstrzelanych po akcji milicjantów. Uwolniono 42 więźniów. Wśród uwolnionych byli też Niemcy (volksdeutsche). Można mieć wątpliwości, czy puszczenie wolno tych ostatnich, gdy jeszcze trwała wojna, było słuszne.

Po akcji tej niedoszłeni ogólnie (wielu spośród nich to półanalfabeci) i policyjnie UB-ecy byli wyraźnie zastraszeni, a nawet spanikowani. Zdarzało im się chociażby strzelać na oślep, zwłaszcza w nocy - oto dwa przykłady.

2 sierpnia 1945 r. późnym wieczorem Ojciec mój wracał do domu po odwiedzaniu mnie do szpitala. Na moście w Krasnosielcu wartownik, prawie równocześnie z rozkazem „Stój!”, puścił w jego kierunku serię z pepeszy. Pociski przeleciały obok głowy. Wartownik być może nawet chciał, ale nie potrafił trafić. Szybko spadł mojego ojca i ujrawszy, że ma do czynienia ze starszym człowiekiem, wulgarnie go zwymyślał. Groząc zastrzeleniem z powodu niewykonania rozkazu, poprowadził go w kierunku Urzędu Bezpieczeństwa, z bronią cały czas skierowaną w jego stronę. Zaalarmowani strzałami inni funkcjonariusze po chwili przybyli koledze na pomoc. Wśród nich był młody chłopak z Krasnosielca Leśnego. Ten dobrze znał ojca - jego działka sąsiadowała z naszym polem - więc wstawił się za podejrzanym. Ojca puszczono wolno. Gdyby nie to, pewnie zostałby zatrzymany przynajmniej do rana.

Dochodziło czasem do sytuacji tragikomicznych. Pewnego razu do Krasnosielca Leśnego, do rodziny, przyjechał oficer Ludowego Wojska Polskiego. Ktoś zauważył, że we wsi jest obcy. Wczesnym rankiem pojawił się wzmocniony patrol UB. Od nieznanego zażądano dokumentów. Ten okazał im legitymację oficerską. Legitymujący nie umieli jednak czytać i byli przekonani, że ujęli człowieka z podziemia. Nie mówiąc kim są, nakazali mu iść przed sobą. On zaś, przekonany, że ujęli go partyzanci, postanowił uciekać. Skończyło się na kilkukrotnym postrzeleniu oficera.

Nie wszystkie poczynania podziemia aprobowała miejscowa ludność.

Krytycznie przyjmowano np. likwidowanie prostych milicjantów. Na pogrzebie zabitego wiosną 1946 r. w Pienicach milicjanta, sprawujący ceremonię pogrzebową ks. Stanisław Bobiński prosił i groził, a nawet wprost błagał, aby nie łamać piątego przykazania Dekalogu. Ten mądry i odważny kapłan nie dokonywał oczywiście oceny politycznej samego faktu zabójstwa, czego zdaje się oczekiwały obie strony - ale zwracał uwagę na aspekt czysto ludzki. Miejscowa opinia publiczna bardzo krytycznie przyjęła też zabicie w Krzyżewach w lutym 1946 r. wynajmowanego przez UB do pracy woźnicy, Bolesława Czajkowskiego z Krasnosielca, który w dodatku przed śmiercią był torturowany.

Do dzisiaj nie wyjaśniono, czy Czajkowski miał na sumieniu coś poważnego, czy też chciano w ten sposób przeciwdziałać jakiegokolwiek współpracy z tą instytucją. A może była to tylko nadgorliwość i samowola jakiegoś podrzędnego dowódcy?

Wielu mieszkańców gminy źle przyjęło fakt pozbawienia życia komendanta posterunku MO i zastępcy komendanta powiatowego po wspomnianej wyżej akcji NSZ na Urząd Bez-

pieczeństwa 1 maja 1945 r. Być może jednym z powodów było to, że obydwaj zostali oddelegowani do MO z wojska i nie byli UB-owcami, ale milicjantami. O tym, że maltretowali więźniów, poprostu wówczas nie wiedzano. Wojsko, jak zawsze, cieszyło się szacunkiem, a nawet sympatią – także dlatego, że saperzy wojskowi oczyszczali teren z min, których w naszym powiecie było szczególnie dużo – front stał tu blisko cztery miesiące.

Zdarzało się, że nocą uprowadzani przez nieznaną sprawców byli ludzie, którzy potem ginęli bez wieści. W taki sposób uprowadzono w 1946 r. angażującego się społecznie młodego Ryszarda Pawłowskiego z Nowego Sielca. Latem 1946 r. prasa szeroko rozpisывała się o bohaterstwie mieszkającej w Krasnosielcu żony powiatowego sekretarza PPR. Pewnej nocy oddała ona kilka strzałów z pistoletu do usiłujących się wdrzeć do jej domu partyzantów. W tym czasie pojawiały się w okolicy rabunkowe grupy, żądające okupu, podszywane się pod partyzantów. W tej sytuacji większość zwykłych mieszkańców wsi nie popierała nowej władzy, ale nie aprobowała też nowej powojennej partyzantki. Ten bolesny okres wymaga obiektywnego i kompetentnego zbadania oraz wyjaśnienia wielu spraw i zagadek tamtego czasu.

Dobrze się stało, że kombatancki okresu powojennego zadbali o trwałe upamiętnienie osób, które cierpiały pod władzą bezpieki. Jedną z trzech tablic, umieszczonych na budynku zajmowanym dawniej przez UB, poświęcona jest Julianowi Pszczółkowskiemu. Pozostałe dwie informują (jedną w formie modlitwy), że mordowano tam żołnierzy AK i NSZ. Szkoda, że nie podano nazwisk zamordowanych. W tym samym miejscu można byłoby umieścić także nazwiska innych ofiar wojennych, zesłanych do Rosji w styczniu 1945 r. i tam zamęczonych. Przed wywózką byli w tym budynku więzieni. Nie mają oni nigdzie swoich grobów, z wyjątkiem jednej symbolicznej mogiły Wacława Kuplickego na krasnosielskim cmentarzu.

Nie wszyscy młodzi mieszkańcy naszej gminy wiedzą, że w tym samym budynku do stycznia 1945 r. mieściła się siedziba Gestapo, które również katoowało polskich patriotów. Byli to ludzie, którzy w sierpniu 1944 r. gotowi byli pójść na pomoc powstańcom warszawskim i za to ich w tym budynku torturowano, a następnie na obrzeżach Krasnosielca rozstrzelano. Ich także warto upamiętnić symbolicznymi tablicami w tym miejscu.

Nie mam nic przeciwko temu, że 28 funkcjonariuszy Resortu Spraw Wewnętrznych uhonorowano okazałą tablicą przy głównej alei krasnosielskiego cmentarza, a kilku z nich – estetycznym nagrobkiem. Oni też byli Polakami i jak głosi napis na płycie nagrobnej „Oni też wierzyli w Boga”. Smutno mi jednak, gdy patrzę na istniejące obok skromniutkie groby prawdziwych bohaterów – żołnierzy Armii Krajowej z okresu wojny i okupacji, wśród nich Alfonsa Kocota. Miał zaledwie 21 lat, gdy, podobnie jak Julian Pszczółkowski, zginął w bezpośredniej, partyzanckiej walce z Niemcami, tuż przed śmiercią zabijając hitlerowca. Być może moje poczucie żalu wzmacnia fakt, że Fonka Kocota dobrze znałem i jeszcze kilka tygodni przed jego bohaterską śmiercią wielokrotnie z nim rozmawiałem. Pamiętam też do-

brze jego przyjaciela, wspaniałego Jurka Mączyńskiego oraz bywającego w naszym domu bardzo porządnego człowieka, dobrego rolnika, Stefana Piętkę, spoczywających obok. Patrząc na ich skromne nagrobki i widząc kontrast ze wspomnianymi wcześniej, jest mi po prostu przykro.

Chęć przy tej okazji po raz kolejny przypomnieć pierwszych prześladowanych i zamordowanych nauczycieli: kierownika szkoły Antoniego Kędzierskiego i Zygmunta Kobylńskiego. Zbudowana wysiłkiem społecznym pod kierownictwa Kędzierskiego, szkoła skończyła w tym roku 75 lat. To dobra okazja, aby przypomnieć jej głównego twórcę. Szkołę niedawno rozbudowano. To bardzo dobrze. Pamięć o jej przeszłości i ludziach, którzy ją tworzyli to też jej bogactwo. Na pewno warto je pomnażać. Dodanie do strony internetowej szkoły nowej zakładki, poświęconej jej historii, w tym ludziom, którzy ją tworzyli, praktycznie nic nie kosztuje, a w procesie wychowawczym może znaczyć bardzo wiele.

O „Zardzewiałej śmierci”, braku rozsądku i donosicielstwie

Dudkowie z Nowego Sielca dopiero 10 kwietnia 1945 r. wrócili z tułaczki do swego domu i swoich dzieci: 17-letniego Czesława i młodszej od niego córki Czesi. W listopadzie poprzedniego roku wypędzono ich z rodzinnej wsi przed zbliżającym się frontem. Przez ten czas rodzice i dzieci nie wiedzieli nawzajem nic o swoich losach – ale nareszcie są razem. Nie wiedzą jeszcze, czy z obozu koncentracyjnego powrócił starszy syn Olek – ale mają wielką nadzieję. Gospodarstwo jest wprawdzie zrujnowane, obora spalona, ale to naprawdę nieistotne. Ważne, że wreszcie wszyscy czworo są razem. Ulga i radość nie trwa długo. Już następnego dnia Czesiek udaje się na pole, rozpala ognisko i w towarzystwie dwóch dorosłych starszych sąsiadów wkłada do ognia duży pocisk artyleryjski. Wszyscy odchodzą na bezpieczną odległość i chowają się w zagłębieniu terenu. Po pewnym czasie, gdy nie następuje wybuch, Czesiek postanawia sprawdzić dlaczego. Gdy podchodzi do ogniska, następuje eksplozja. Nasz bohater ginie na miejscu. Dlaczego dorośli mężczyźni nie zapobiegli tragedii? Deficyt rozsądku występuje nie tylko u ludzi młodych, ale zdarza się także u tych dorosłych. Rodzinie Dudków los nie zaoszczędził także kolejnej tragedii. Drugi syn, Olek, wrócił wprawdzie z obozu za miesiąc czy dwa, ale z mocno zaawansowaną gruźlicą. W następnym roku zmarł.

W latach powojennych obficie żniwo zbierała tzw. „zardzewiała śmierć” (czyli śmierć od niewybuchów), szczególnie wśród młodych chłopców i dzieci. Dziś trudno ustalić rozmiar tych dramatów. Na pewno był znaczny. W najlepiej znanej mi wsi, rodzinnym Nowym Sielcu, wiem o 3 osobach, które straciły życie z tego powodu. Było też wielu, w tym piszący te słowa, którzy doznali trwałego uszczerbku na zdrowiu. Jest szczególnie tragiczne, że ostatnie ofiary tej straszliwej wojny w naszej gminie to dzieci, dziesięcio- i trzynastoletni chłopcy z Krasnosielca oraz kilkuletni Adam Chrza-

nowski z Nowego Sielca. Zginęli w październiku 1951 r., sześć lat po wojnie, właśnie wtedy, kiedy stało przed nimi całe życie.

Pisząc niniejszy tekst, często zastanawiałem się, czy wszystkie te ofiary były w okolicznościach wojny i okupacji nieuniknione. Oto ks. Tadeusz Janowski, w homilii wygłoszonej w Bagienicach 28 lipca tego roku, podczas polowej mszy świętej, mówił: „w 1943 roku konfident doniósł, że u państwa Czaplickich w Grabowie jest żołnierz Armii Krajowej”. Donos ten kosztował życie osiem osób – siedem zastrzelonych w Grabowie i jedną w Bagienicach. Mogło skończyć się przecież jeszcze gorzej: pacyfikacją obu wsi, Grabowa i Bagienic, oraz wymordowaniem wszystkich mieszkańców tych miejscowości. W Krasnosielcu przy cmentarzu wystawiono wtedy szubienicę, na której miano wieszać mieszkańców tej wsi. I nieważne, że rzekomy żołnierz AK okazał się zwykłym szmuglerem. Niewinni ludzie stracili życie.

W tym samym 1943 r., w czerwcu, wskutek donosu innego konfidenta zginęło w Krasnosielcu Leśnym czterech mężczyzn – trzech mieszkańców tej wsi oraz czwarty z sąsiednich Zawad. Dwa wypadki denuncjacji odnotowuje też Sebastian Mikulak w przekazanej mi piśmennie ciekawej informacji o poległych i prześladowaniach w Wólce Drażdewskiej. Pokazuje on też przykład poświęcenia mieszkanki tej wsi, Rozalii Kukawki, która rzekomą winę syna wobec okupanta wzięła na siebie i przypłaciła to własnym życiem w niemieckim obozie karnym.

W kwestii donosicielstwa mogą też dodać rodzinne przykre wspomnienie. W czerwcu 1942 r. w czasie łapanek dziewcząt na roboty przymusowe, donosiciel wskazał żandarmom nasz dom i moje siostry. Podał nawet imię przynajmniej jednej z nich. Najmłodsza przypłaciła to życiem. Wiem, kto doniósł. Nie ujawniam publicznie jego nazwiska. Dlaczego? To proste. On już nie żyje, a ujawniając go, wyrządziłbym niezasłużoną przykrość jego potomnym.

W imię czego donosili? Dla marnych korzyści materialnych, owych „judaszowych srebrników”? Czy może tylko z bezinteresownej zawiści albo głupoty, co jest przecież także możliwe?

Dziś trzeba pamiętać o ofiarach tamtej wojny, częstym ich bohaterstwie i poświęceniu, ale nie wolno też zapomnieć o podłości ludzkiej, głupocie i lekkomyślności. Na szczęście te przykre zjawiska były w naszym społeczeństwie stosunkowo rzadkie.

Apolinary Zapisek

Spis ofiar II wojny światowej spośród mieszkańców gminy Krasnosielec (stan wiedzy na dzień 26.10.2013 r.)

Lp.	Imię i nazwisko, wiek	Miejscowość zamieszkania	Okoliczności śmierci
1.	Aktywa Anachom	Krasnosielec	Pierwszą zbiorową zbrodnią w naszej gminie było zamordowanie w nocy z 5 na 6 września 1939r. w bożnicy 41 Żydów. 31 z nich zidentyfikowano. Są wymienieni obok. Z około 2 tysięcy krasnosieleckich Żydów wojnę przeżyło tylko kilka osób. Wysiedlono ich do Ostrowi i Różana, stamtąd do obozów zagłady.
2.	Anacham Baboryk		
3.	Nosch Czerwin		
4.	Samuel Dubner		
5.	Jechuda Frenkl		
6.	Dawid Golbard		
7.	Chaim Golfbranc		
8.	Israel Herszl Goldbrody		
9.	Ichrel Meir Henl		
10.	Chaim Hinbelferd		
11.	Chain Aaron Hochman		
12.	Szmuel		
13.	Szalmo Israel		
14.	Zeliga Kafka		
15.	Jechuda Kamiński		
16.	Jehoszua Klaimon		
17.	Jakob Mosze Kotlas		
18.	Abraham Mosze Kozica		
19.	Arie Lichtenstein		
20.	Jakob Mkawer		
21.	Berka Mgła		
22.	Nosze Aarin Moszkoicz		
23.	Jehosua Muszkat		
24.	Abraham Olbryś		
25.	Perec Orliański		
26.	Jakub Ostrozisk		
27.	Mair Rabinowicz		
28.	Samuel Josef Rabinowicz		
29.	Leib Rozentl		
30.	Pincze Rozental		
31.	Borusz Wilson		
32.	Ignacy Jakubiak, lat 42	Elżbiecin	6 września 1939 r. wystawiony w Pienicach przy drodze posterunek Wehrmachtu zatrzymywał przejeżdżających Polaków – każdego zabijano na polu pod pobliską gruszą.
33.	Czesław Ostrowski		
34.	Tomasz Kuciej, lat 39	Drądzewo Małe	
35.	Stanisław Pukas, lat 32	Papierny Borek	
36.	Stanisław Stancel	Raki	
37.	Paweł Zega, lat 40		
38.	Władysław Wronowski	Przytuły	
39.	Franciszek Gałęcki, lat 39	Pienice	Aresztowani 10.11.1939 r., kierownik szkoły i nauczyciel, zamordowani w obozie koncentracyjnym w Dachau
40.	Jan Mamiński, lat 45		
41.	Antoni Kędzierski	Krasnosielec	Zabity w 1940 r. w czasie likwidacji osób niepełnosprawnych
42.	Zygmunt Kobyliński	Krasnosielec	Zastrzelony w Pienicach 18.03.1942 r. podczas próby ucieczki z transportu na roboty przymusowe do Prus
43.	Bolesław Burniewicz	Nowy Sielec	
44.	Adam Mikulak, lat 24	Przytuły	Zaginął w czasie ucieczki z więzienia w Ostrołęce w styczniu 1942
45.	Stanisław Lipka	Wólka Drądzewska	Zamordowany przez Gestapo za przynależność do organizacji podziemnej
46.	Bolesław Ptak	Wólka Drądzewska	Zginęła w obozie za uchylenie się od wywózki na roboty przymusowe
47.	Józefa Koziółek	Wólka Drądzewska	Zastrzelony w 1943 r. w okolicy Bud Prywatnych. S. Lipka i Cz. Matyjasik byli członkami Komendy Obrońców Polski
48.	Czesław Matyjasik	Raki	
49.	Wiktor Perzanowski, lat 50	Grabowo	09.01.1943 r. zamordowani w Grabowie na skutek donosu o pobycie w jednym z domów partyzanta. Wtedy zabity został też Wacław Olender, lat 30, z Gaczysk, będący w tej wsi przypadkowo. Po 7 miesiącach zmarł 11-letni syn Grabowskiego, Paweł i półtoraroczny syn Nakielskiego Jerzy
50.	Czesław Mączyński, lat 40		
51.	Adolf Dąbkowski, lat 39		
52.	Bogusław Gałazewski, lat 17		
53.	Władysław Nakielski, lat 27		
54.	Hipolit Grabowski, lat 47		
55.	Zygmunt Zuzelski, lat 37	Bagienice	Zastrzelony 08.02.1943 r. w Bagienicach
56.	Bolesław Brusiewicz	Nowy Sielec	Zabity w 1940 r. w czasie likwidacji osób niepełnosprawnych
57.	Błażej Kołodziejczak, lat 43	Krasnosielec Leśny	Zabici 14.06.1943 r. wskutek donosu
58.	Jan Kołodziejczak		
59.	Tomasz Lipiński, lat 36		
60.	Rozalia Kukawka	Wólka Drądzewska	Zmarła w obozie odbywając karę, którą przyjęła na siebie za syna, za nielegalny ubój świni
61.	Donata Zapisek, lat 17	Nowy Sielec	Zmarła w listopadzie 1943 r. w obozie pracy w Berlinie

62.	Jerzy Mączyński, lat 20	Krasnosielec	Zamordowani 19.09.1944 r. w Krasnosielcu, aresztowani po wybuchu Powstania Warszawskiego
63.	Janina Sokołowska, lat 29	Krasnosielec Leśny	
64.	Walery Krzesiński, lat 31	Krasnosielec Leśny	
65.	Stefan Piętka, lat 40	Krasnosielec Leśny	
66.	Alfons Kocot, lat 21	Krasnosielec	Zginął 17.10.1944 r. w bitwie partyzantów z Niemcami pod Szlą koło Jedno- roźca
67.	Józef Lenda, lat 42	Raki	Wszyscy z wyjątkiem nr 71 rozstrzelani 22.01.1945 r. w Żabikowie k/Poznań. Byli więźniami obozu karnego w Działdowie. Aresztowani w li- stopadzie 1944 r. w wyniku ujawnienia organizacji AK przez jednego z za- trzymanych członków. Gdy w styczniu 1945 r. zbliżał się front, usiłowano ich wywieźć do obozu w Szutowie jako więźniów politycznych. Gdy okazało się to niemożliwe, zastrzelono ich na cmentarzu w Żabikowie. Czesław Kaczorek – z innej grupy działdowskich więźniów, zastrzelonych w starych Jabłonkach koło Ostródy.
68.	Jan Skrobecki, lat 41	Raki	
69.	Stanisław Wąsowicz, lat 55	Krasnosielec	
70.	Piotr Krajewski, lat 54	Krasnosielec	
71.	Hubert Gołębica, lat 20	Krasnosielec	
72.	Bronisław Kaczorek, lat 33	Krasnosielec	
73.	Mieczysław Grabowski, lat 43	Pienice	
74.	Hieronim Kaczyński, lat 39	Krasnosielec	
75.	Władysław Chrzanowski, lat 47	Pienice	
76.	Mieczysław Borkiewicz, lat 34	Nowy Sielec	
77.	Albin Fabisiak, lat 39	Krasnosielec	
78.	Dominik Pawłowski, lat 30	Nowy Sielec	
79.	Stefan Zakrzewski, lat 38	Krasnosielec	
80.	Bolesław Fęski, lat 26	Krasnosielec	23.09.1944 r. zastrzelony z powodu podejrzenia, że nie wykonał polecenia żandarmów
81.	Czesław Kaczorek	Nowy Sielec	
82.	Jan Kaczorek, lat 50	Przytuły	
83.	Zofia Ferenc, lat 37	Krasnosielec	
84.	Eleonora Szewczak, lat 49	Drażdżewo	Zamordowana 14.01.1945 r. przez żołnierza Wehrmachtu
85.	Antoni Szewczak, lat 36	Drażdżewo Małe	Zabita 19.01.1945 r. wrzuconym do schronu granatem
86.	Roman Michalak, lat 32		Zginęli 20.01.1945 r. od pozostawionej przez wycofujących się Niemców miny pułapki
87.	Antoni Cymerman, lat 26	Łazy	Zmarł 29.05.1945 r. w wyniku pobicia przez Niemca w styczniu 1945 r. (uszkodzenie narządów wewnętrznych)
88.	Wacław Kuplicki	Krasnosielec	Aresztowani przez NKWD 21.01.1945 r. w dużej grupie kilkudziesięciooso- bowej i wywiezieni d ZSRR. Część wróciła. Wykazani obok zmarli na zesła- niu. Jest to lista niepełna
89.	Wincenty Kuplicki		
90.	Stanisław Kalinowski		
91.	Franciszek Pogorzelski, lat 40		
92.	Stefan Grądzki, lat 44		
93.	Aleksander Gajewski		
94.	Załęski		
95.	Antoni Koziołek, lat 37	Wólka Drażdżewska	
96.	Stanisław Świtalski		
97.	Waszkowski Roman	Krasnosielec	Zastrzelony w listopadzie 1944 r. wraz z 2 kolegami w miejscowości Pełty za ucieczkę od kopania okopów – egzekucja pokazowa
98.	Czesław Dudek, lat 17	Nowy Sielec	Zginął 11.01.1945 r. od niewybuchu
99.	Józef Talma, lat 35	Nowy Sielec	Zginął 01.06.1945 r. od niewybuchu
100.	Królikowski Władysław, lat 45	Bagienice	Zmarł w Bagienicach 02.05.1949 w wyniku utraty 95% zdrowia na wojnie we Francji.
101.	Aleksander Dudek, lat 22	Nowy Sielec	Zmarł 1946 r. na gruźlicę po powrocie z obozu koncentracyjnego
102.	Adam Chrzanowski, lat 10	Nowy Sielec	Rozstrzelany przez granat 1 1946 r.
103.	Hipolit Kowalczyk	Wólka Drażdżewska	Zginął w 1945 r. w niewyjaśnionych okolicznościach
104.	Ryszard Pawłowski	Nowy Sielec	Uprowadzony w 1946 r. - zaginął
105.	Franciszek Czarniecki, lat ok. 20	Chłopia Łąka	Jako żołnierz Wojska Polskiego zginął w walce z UPA w 1945 r.
106.	Jan Kaczorek	Przytuły	23.09.1944 r. zastrzelony z powodu podejrzenia, że nie wykonał polecenia żandarma (faktycznie wrócił z podwoju z Jastrzębki)
107.	Stefan Mackiewicz	Przytuły	Funkcjonariusz UB zabity 1 maja 1945 r. w czasie akcji Oddziału NSZ na Urząd Bezpieczeństwa
108.	Bolesław Czajkowski, lat 49	Krasnosielec	Woźnica wynajmowany przez UB zabity 14.02.1946 r. w Krzyżewach przez oddział partyzancki
			W akcji NZS w dniu 1 maja 1945 r. poległ Julian Pszczółkowski dowódca plu- tonu Oddziału NSZ i funkcjonariusze UB: Marian Ostrowski, Tomasz Stolar- czyk, Tadeusz Szwejkowski, Józef Wojciechowski, po akcji zastrzelono mili- cjantów: Ignacego Boczara i Czesława Kuczyńskiego.
109.	Kazimierz Sawicki, lat 13	Krasnosielec	Zginęli 28.10.1951 r. od niewybuchu
110.	Tadeusz Ogrodowicz, lat 10		
111.	Daniel Górski, lat 10		

Autor spisu: **Apolinary ZAPISEK**

Bibliografia

1. Tadeusz Kruk, Szkic historyczny Krasnosielca, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, nr 1, s.3.
2. Wikipedia, hasło Kampania wrześniowa - Historia Polski, Bilans strat <http://pl.wikipedia.org>

3. „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, nr 7. Tadeusz Kruk, 65 rocznica Akcji oddziału NSZ w Krasnosielcu,
4. „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, nr 2, s.18. Tadeusz Suski, Historia Krasnosielca,
5. „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, nr 12, s.16. Katarzyna Olzacka, Wspomnienia z nieludzkiej ziemi,

6. „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, nr 12, s. 48.
7. Tadeusz Kruk, Wdzięczni za ocalenie, „Więści znad Orzycza”, nr 9, 2013 r.



Zbrodnia wojenna w Grabowie

Tadeusz KRUK

W 70-lecie wydarzeń

Była mroźna noc z 8 na 9 stycznia 1943 r. Mieszkańcy Grabowa, po tragicznym, nocnym zdarzeniu w domu Czaplickich, przeczuwali intuicyjnie wiszące nad nimi śmiertelne niebezpieczeństwo. Zaledwie kilka godzin wcześniej, przed północą, podczas akcji zatrzymania szmuglera zginął żandarm nazwiskiem Kosko, jeden z trzyosobowej obsady posterunku w Drążdżewie.

Wiść o tym wypadku rozeszła się lotem błyskawicy. Wszyscy czuli się zagrożeni, na czele z sołtysiem. Funkcję tę pełnił Wiktor Perzanowski, mężczyzna w sile wieku, głowa licznej rodziny; żona Marianna, ośmioro dzieci - pięć córek i trzech synów. Jako urzędnik musiał utrzymywać bieżące kontakty z okupantem. Z tej racji znał doskonale miejscowych żandarmów, jak się później okazało swoich oprawców. Tej nocy, przejęty groźbą sytuacji, sołtys odwiedził sąsiada Władysława Czarkowskiego. Wywiązała się - według **Czesława Czarkowskiego**, syna Władysława - taka rozmowa:

- Władziu, co robimy, uciekamy czy siedzimy?
- Słuchaj, ja jestem nic nie winien, ja się nie ruszam z miejsca.
- Jak ty się nie ruszasz, to i ja zostanę.

Perzanowski, podbudowany postawą sąsiada, wrócił do domu, ogolił się, włożył czarny garnitur i czekał. Do rana panowała we wsi głucha cisza. Tak zresztą było każdej nocy. Cisza i ciemność. Cisza, ponieważ w 1940 r. wszystkie psy zostały zlikwidowane. A ciemności w domu i w obejściu rozpraszano czymkolwiek, co dawało namiastkę światła. O prawdziwej lampie naftowej można było jedynie pomarzyć. Ponadto, w nocy okna musiały być szczelnie zasłonięte.

Warto nadmienić, że sołtys zignorował ostrzeżenie sprzed kilkunastu godzin, z piątku 8 stycznia, o czym wspomina **Jadwiga Skłodowska**:

- Przed tą tragedią mój tata Jan Grabowski był w Drążdżewie. Tam spotkał go żandarm. Zapytał skąd jest i powiedział, żeby poszedł w Grabowie do sołtysa i przekazał mu, że jeżeli we wsi przebywa ktoś obcy, to niech sołtys go wypędzi. Żandarm dodał, że tego samego dnia przyjadą do Grabowa. Sołtys tymi ostrzeżeniami wcale się nie przejął. Tata zmartwiony jego zachowaniem opowiedział o tym nam w domu, na co usłyszał od mamy: - „Po coś tam chodził? Mogłeś nie chodzić”.

Moi rozmówcy zgodnie przyznają, że sprawcą tragedii był szmugler, czyli pospolity przemytnik.

Henryka Mroczkowska: - Tutaj w okolicy działali szmuglerzy. Zagnieżdżili się mocno

w Grabowie. Przewozili mięso do Protektoratu. Ten uciekinier, z domu nieżyjącego już wtedy Czesława Czaplickiego, to był zwykły szmugler, nie żaden żołnierz, ani partyzant. Przez niego potem cała wieś uciepiała, a synowie Czaplickich musieli się ukrywać.

Piotr Głazewski: - Ten szmugler, po którego przyjechali żandarmi do Czaplickich, od którego wszystko się zaczęło, to nie był z tych stron. Taki niskiego wzrostu. Podobno u Czaplickich podczas aresztowania uderzył Joana taboretami w głowę.



Cmentarz w Krasnosielcu - groby zamordowanych w Grabowie 9 stycznia 1943 r.

Jadwiga Walendziak: - To wszystko przez jakiegoś szmuglera, którego żandarmi zastali w domu u Czaplickich.

Czesław Czarkowski: - Sprawcą tragedii był nie żaden żołnierz, tylko zwykły szmugler, herszt przemytników. On był zbyt pewny siebie. Przebywał akurat w domu Czaplickich, na przeciwko sołtysa Perzanowskiego.

Jadwiga Skłodowska: - Do Grabowa przychodzili szmuglerzy. Wtedy wszyscy odeszli z towarami, a jeden został w domu u Czaplickich. Żandarmi weszli do Czaplickich późnym wieczorem. Szmugler leżał na szlabanie. I zdążył uciec, przez okno. Było takie sześć szyb w oknie...I wtedy żandarm strzelił do niego, ale zabił żandarma.

Zajście w Grabowie z 8 stycznia 1943 r. w domu Czaplickich tak wspomina **ks. Tadeusz Janowski**: - Na interwencję przyjechało trzech żandarmów z posterunku w Drążdżewie. Jeden został na zewnątrz, a dwaj weszli do domu.(...) Poszukiwani, po nałożeniu spodni

i swetra, boszo wyskoczył przez okno i uciekł. Za uciekinierem strzelił z pistoletu jeden z żandarmów będących w mieszkaniu i zabił kolegę stojącego na dworze. Rano Niemcy otoczyli Grabowo (...).

Stan osobowy tegoż posterunku podaje **Jan Józwiak** z Drążdżewa: - Byli to żandarmi: Joana, Kinold i Kosko. Kosko zginął w Grabowie, prawdopodobnie przypadkowo postrzelony przez Joana, ale Polacy ponieśli ofiary. W Krasnosielcu wystawiono nawet szubienicę z zamiarem dokonania publicznych egzekucji.

Po niespokojnej, pełnej napięcia nocy, spowitej złowrogą ciszą, nastał mroźny, sobotni poranek 9 stycznia 1943 roku, który przywołują we wspomnieniach:

Czesław Czarkowski: - Miałem 11 lat. Rano, o wschodzie słońca, Niemcy otoczyli szalenie wieś - co kilka metrów stał żołnierz. Wypędzeni na rozstrzelanie mieszkańcy Grabowa zgromadzili się przy posesji Hipolita Grabowskiego. Wściekłość Niemców nie miała granic. Grożąc śmiercią wypędzanym na mróz mieszkańcom, wykrzykiwali, że ci zabili ojca od pięciorga dzieci. Faktem jest, że akurat w tym czasie w Drążdżewie przebywała w odwiedzinach u żandarma Kosko jego żona z dziećmi.

W ogólnym zamieszaniu, razem ze swoim kolegą Pawłem Grabowskim, synem Hipolita, wymknęliśmy się z tłumu i schowaliśmy się u niego w domu. Żandarm, który zajął przez okno, na pewno nas widział, skulonych za kuchnią, ale - na szczęście dla nas - odszedł. Paweł był chorowity, zmarł po kilku miesia-

cach. Po odjeździe Niemców, uczestnicy tego makabrycznego zgromadzenia, a więc moi rodzice i sąsiedzi opowiadali o całej tragedii, o zabitych i o tych, którzy patrzyli śmierci w oczy. Jak przez kilka godzin stali, bez względu na wiek i stan zdrowia, na mrozie. Niektórzy tylko w samej białizinie i boso.

Piotr Głazewski: - Było wcześniej rano. Jeszcze obaj z bratem Bogusławem spaliśmy, gdy Niemcy wypędzali ludzi na drogę, pod płot do Grabowskich, na rozstrzelanie. Wypędzili ludzi na dwór, boso, bez ubrań. Był wtedy mróz. Pamiętam taką schorowaną staruszkę Szumowską, też boso na tym mrozie... Miałoby być rozstrzelanych podobno 120 osób. Byłem wśród zgromadzonych. Miałem 12 lat.

Maria Antosiak: Moja teściowa - Kamila Antosiak - wspominała, że jako mała dziewczynka razem ze swoją matką Anastazją Grabowską i młodszą siostrą były wypędzone na miejsce zbiórki. Młodsza córka była na rękach matki. A ręce matki były oblepione ciastem, bo przygotowywała chleb. Nie było czasu na nic, tylko natychmiast należało opuścić mieszkanie.

Henryka Mroczkowska: Przyjechali żandarmi, wystawili całą wieś na dwór, boso, na mróz i śnieg. Od kolebki do najstarszych. Myśmy mieszkali na kolonii, więc nas to ominęło. Bliżej mieliśmy do Perzank (1 km), niż do Grabowa (2 km). Miałam 13 lat. Widzieliśmy ten przykry widok, na szczęście dla nas, jedynie z daleka, z okna. W Perzankach też wszyscy byli ustawieni rzędem, boso. To było na pewno w styczniu. Początek miesiąca, niedługo po Nowym Roku.

Jadwiga Walendziak: - Był styczeń 1943, mróz. Miałam sześć lat. Mieszkaliśmy razem w jednym domu z wujkiem Leopoldem Grabowskim i jego rodziną. Naszymi najbliższymi sąsiadami z prawej i z lewej strony byli Czarkowscy [Cz. Czarkowski] i Głazewscy [P. Głazewski]. Gdy Niemcy wypędzili ludzi na dwór, to ja zostałam w domu z chorą mamą. Na miejsce zabrał poszedł mój tata Maksymilian Osowski z moją starszą siostrą (wzięli ze sobą dowody). Poszedł wujek Leopold Grabowski z ciocią, synami i najmłodszą córką Ireną. Druga córka wujka Michalina, starsza, schowała się za dom i wróciła do nas. „Ciociu, mój brat i wujek [Osowski] nieśli zabitego” - mówiła do mojej mamy.

Jadwiga Skłodowska: Rano powypędzali ludzi pod płot, na boso, w mróz.

Anonimowo: - Wtedy moja mama była w ciąży. Stała razem z innymi w rzędzie do zabicia, jako 21. Stała też Szumowska, po porodzie, podłożyli jej fartuch i tak stała... Wszyscy odwróceni plecami do żandarmów.

Janina Osowska: - Było to w styczniu, w pierwszych dniach stycznia. Stali ludzie na drodze przy posesji Hipolita Grabowskiego. Na czas tej egzekucji moja ciocia Michalina Grabowska (z męża Głazewska) wracała od Perzank. Wróciła się, bo raniutko matka ją wysłała, że może tam będzie bezpieczniej. Najpierw zaszła do Perzanowskich, a potem do Zuzelskich. Dobrze, że nie została u Perzanowskich, pewnie dzięki temu przeżyła. Miała 17 lat.

Nie przeżyło jednak siedmiu mężczyzn. Oto relacje tych wstrząsających wydarzeń:

Czesław Czarkowski: Przyjechali konno, wyprowadzili soltysa z domu, kazali mu iść w kierunku budynków gospodarczych, i w tym

momencie, na komendę, padły strzały. Soltys Wiktor Perzanowski swoją śmiercią ocalił 95 mieszkańców wsi Grabowo, takie były procedury: soltys = 95. Zginął też Hipolit Grabowski, przed którego domem była cała zbiórka, i szewc Nakielski, i przypadkowo ktoś z Gaczysk, bo siedł do Grabowa, i Bogusław Głazewski. Tego zastrzelili na własnym podwórku podczas próby ukrycia się na chlewie. Chwilę wcześniej przez okno zauważył żandarma i postanowił uciec. Głazewscy mieszkali na końcu wsi (od strony pola). Razem było chyba siedmiu zabitych.



Piotr Głazewski: Rano, w czasie wypędzania ludzi z domów, żandarm Joan, który jechał przez wieś na koniu, strzelił w nasze okno. Nikogo z domowników nie trafił. Zerwaliśmy się z bratem z posłania. Zapamiętałem, że Bogusław jeszcze podał mi buty i wyszedł pierwszy na podwórze, i chciał się schować na chlewie. Ale widział go inny żandarm i zabił. Miał tylko 17 lat... Oprócz mojego brata zginęli: Czesław Mączyński - wozak, dostarczał śmietanę do Gąsewa, Wiktor Perzanowski - soltys, Hipolit Grabowski i Władysław Nakielski oraz ktoś z Gaczysk, siedł do Grabowa. Ilu wszystkich zginęło - nie wiem. Perzanowskiego dobili strzałem, a Nakielskiego kolbą.

Henryka Mroczkowska: Zabici tutaj w Grabowie to: Wiktor Perzanowski - soltys, Władysław Nakielski (szewc), Bogusław Głazewski, Czesław Mączyński (wozak), Hipolit Grabowski, Adolf Dąbkowski z Perzank i nieznamy z Gaczysk (on tutaj poszukiwał swojego konia, który mu uciekł). Akurat na ten czas znalazł się w Grabowie i go zabili. Dalszą egzekucję przerwał jakiś żandarm, który przyjechał z Krasnosielca. Zabici są pochowani na cmentarzu w Krasnosielcu w jednym rzędzie, od strony Pienic. W pobliżu rosną dwa wysokie drzewa. Na temat tych wydarzeń była ułożona piosenka, której, niestety, nie pamiętam.

Jadwiga Walendziak: Zginęli wtedy w Grabowie: Wiktor Perzanowski, był soltys, i - jak mówili - on zapieczętował za całą wieś; Czesław Mączyński - wozak, Adolf Dąbkowski z Perzank, Władysław Nakielski - szewc (do niego szedł Dąbkowski), Bogusław Głazewski i Hipolit Grabowski. Ogromna tragedia. O tym z Gaczysk to ja nie wiem. Po tej tragedii ludzie ułożyli nawet piosenkę, ale jej nie pamiętam.

Jadwiga Skłodowska: Zastrzeleni to: Wiktor Perzanowski - soltys, Nakielski, Hipolit Grabowski i czterech innych. Zabili siedmiu. My tej nocy uciekliśmy do znajomych do Pachu. Potem ludzie ułożyli o tej strasnej tragedii rzewną piosenkę. Była dość długa, ale pamiętam tylko początek:

„Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci,

w Grabowie zostały sieroty, dzieci.

Ludzie poklekali na gołych kolanach

i tak prosili Najwyższego Pana:

Ach, Panie drogi, zmiłuj się nad nami, sierotami”.

Janina Osowska: Soltys Perzanowski swoją śmiercią zastąpił podobno sto osób. Nakielski po pierwszym strzale był ranny, próbował się podnieść, wołał żonę o pomoc. I wtedy został dobity kolbą karabinu. Całą piosenkę o Grabowie znała nieżyjąca już moja ciocia Michalina Głazewska, ale nikt nie zapisał.

Barbara Czaplicka: Pochodzę z Chłopiej Łąki, a z Grabowem jestem związana od 40 lat. O tej tragedii słyszałam jeszcze w domu rodzinnym. Mój ojciec znał także piosenkę opowiadającą o tym wydarzeniu. W styczniu 1943 r. podczas próby zatrzymania szmuglera został śmiertelnie postrzelony żandarm. Działo się to w domu Apolonii i Czesława Czaplickich - dziadków mojego męża Andrzeja. Był to duży, drewniany budynek, usytuowany szczytem do drogi. Podczas wojny, po śmierci dziadka, mieszkała tam babcia Apolonia i ich dzieci: córka Mieczysława (z męża Szczesniak) oraz synowie - Marian, Stanisław i Kazimierz (mój teść). Wszyscy trzej synowie już nie żyją. Rodzina Czaplickich, zmuszona zaistniałą sytuacją do ucieczki, znalazła okresowe schronienie u rodziny Mierzejewskich we wsi Tomaszewo, w gminie Czerwin.

Cichym świadkiem tamtych, mroźnych krew w żyłach, wydarzeń był wyniosły, drewniany krzyż morowy (karawaka), stojący nieopodal miejsca zbiórki. Wystawiono go w 1866 r. „w intencji zatrzymania plagi grasującej cholery”. Po 80 latach znów zaświadczał o tragedii, zgotowanej ludziom przez ludzi...

Z przytoczonych relacji oraz innych dostępnych źródeł wynika, że wówczas, 9 stycznia 1943 r., zginęło w Grabowie siedmiu mężczyzn - pięciu z Grabowa, jeden z Perzank i jeden z Gaczysk:

Bogusław Głazewski, 17 lat, syn Stanisława i Rozalii z d. Skłodowska, zam. w Grabowie, zginął o godzinie ósmej. Pochowany na cmentarzu par. w Krasnosielcu. (Akt zgonu 113/1945);

Hipolit Grabowski, 47 lat, syn Antoniego i Franciszki z d. Zabielska, rolnik, żona Zuzanna z d. Chrzanowska, 49 lat; czworo dzieci - dwóch synów i dwie córki; zam. w Grabowie, zginął o wpół do dziewiątej. Pochowany na cmentarzu par. w Krasnosielcu. (Akt zgonu 17/1943 z 12 lutego 1943 r.); jeden z synów, 11-letni Paweł, zm. 7 miesięcy później - 3 sierpnia 1943 r. (Akt zgonu 71/1943 z 4 sierpnia 1943 r.);

Czesław Mączyński, 40 lat, syn Jana i Franciszki z d. Tabaka, rolnik, żona Marianna z d. Godlewska, 34 lata, dwoje dzieci; zam. w Grabowie, zginął o wpół do dziewiątej. Pochowany na cmentarzu par. w Krasnosielcu. (Akt zgonu 37/1943 z 19 marca 1943 r.);

Władysław Nakielski, 27 lat, syn Stanisława i Emilii z d. Mielnicka, szewc; żona Genowefa z d. Grabowska, 24 lata, trzech synów (?); zam. w Grabowie, pochodził z Wojciechowiec zginął o wpół do dziewiątej. Pochowany na cmentarzu par. w Krasnosielcu. (Akt zgonu 22/1943 z 26 lutego 1943 r.); syn Jerzy zm. 7 miesięcy później - 14 sierpnia 1943 r., miał 1 rok i 5 miesięcy (Akt zgonu 78/1943 z 16 sierpnia 1943 r.);

Wiktor Perzanowski, 50 lat, syn Jana i Marianny z d. Grabowska, rolnik, żona Marianna z d. Szumowska, 45 lat, ośmioro dzieci - trzech synów i pięć córek; zam. w Grabowie - sołtys wsi, zginął o godzinie ósmej pięćdziesiąt. Pochowany na cmentarzu par. w Krasnosielcu. (Akt zgonu 50/1943 z 6 maja! 1943 r.);



Adolf Dąbkowski, 39 lat, syn Stanisława i Anny z d. Płocharczyk, rolnik, żona Genowefa z d. Nadwodna, 29 lat, dwoje dzieci; zam. Perzanki-Borek, pochodził z Rzańca; zginął o godzinie ósmej. Pochowany na cmentarzu par. w Krasnosielcu. (Akt zgonu 5/1943 z 20 stycznia 1943 r.);

Wacław Olender, lat 30, syn Czesława i Katarzyny z d. Kowalczyk, rolnik, kawaler, zam. w Gaczyskach, gm. Baranowo. Pochowany 14 stycznia 1943 r. na cmentarzu par. w Baranowie

Zabici zostali przeniesieni do stodoły Hipolita Grabowskiego, co zgodnie potwierdzają moi rozmówcy:

Janina Osowska: *Trupy zabitych ściągnięto do stodoły Grabowskich.*

Czesław Czarkowski: *Zabitych nie widziałem. Zwieziono ich na podwórze Hipolita Grabowskiego.*

Jadwiga Skłodowska: *Trupy pokładli w stodole u Grabowskiego, u tego, który zginął.*

Piotr Głazewski: *Zabitych częściowo widziałem. Zanieśli ich do Grabowskich do stodoły, gdzie leżeli może z tydzień, albo i więcej. Każda rodzina pochowała swojego nieboszczyka na cmentarzu w Krasnosielcu. Spoczęli w jednym rzędzie, w oddzielnych grobach, w trumnach swojej roboty.*

Odnosnie trumien jest sugestia, że być może wykonał je stolarz Sawicki z Krasnosielca.

Akty zgonów mieszkańców Grabowa i Perzank podpisał ks. Wacław Gieryszewski (1883-1957) - proboszcz parafii Krasnosielec w latach 1939-1945, a jego wikariusz ks. Stefan Morko (1904-1974), po latach, będąc proboszczem w Drążdżewie, tak pisał o tym wydarzeniu: „... we wsi Grabowo jakiś szmugler zastrzelił jednego ze ścigających go żandarmów. Na skutek tego, parę godzin potem, Niemcy urządzili tzw. pacyfikację tejże wioski. Zabili na miejscu siedmiu gospodarzy, a 20 aresztowali i przywieźli do Krasnosielca. Tegoż dnia zbudowano tam, obok cmentarza, szubienicę. Dwadzieścia maszynnych, złowieszczych ha-

ków przejęło wszystkich mieszkańców zgrozą i przerażeniem. Wszystkich sołtysów z okolicznych wiosek wyznaczono na egzekutorów owego wyroku. Ludność zamarła w rozpacz. Dwa tygodnie stała szubienica. Dwa tygodnie ludzie żyli w straszliwej depresji. Egzekucji jednak nie dokonano”.¹ Z kronikarskiego obowiązku dodam, że ks. Stefan zapewne znał doskonale ofiary tego zbrodni, ponieważ posługę duszpasterską w Krasnosielcu pełnił od 1933 r. A ponadto ta tragedia rozegrała się w dniu jego 39. urodzin...

O wspomnianej tragedii traktują również następujące zapisy:

„Najtragiczniejszy jednak był rok 1943, kiedy to w odwet za zabicie żandarma rozstrzelano kilku mężczyzn z Grabowa i Perzank (W. Perzanowskiego, Cz. Mączyńskiego, A. Dąbkowskiego, B. Głazewskiego, Wł. Nakielskiego, H. Grabowskiego), a 12 zabrano do krasnosielckiego więzienia i planowano ich powiesić na szubienicy. Wyroku nie wykonano, ale 10 osób nie wróciło już nigdy do domu”.²

„Okres II wojny światowej był tragiczny dla mieszkańców Grabowa. Wiele osób bowiem zabrano stąd na przymusowe roboty do Niemiec, zaś 9 stycznia 1943 roku w odwet za zabicie żandarma rozstrzelano 7 mężczyzn, a 12 zabrano do więzienia. Planowano ich powiesić i w tym celu wybudowano w Krasnosielcu szubienicę. Wyroku jednak nie wykonano, ale i tak 10 z nich już nigdy nie powróciło do swoich domów”.³

W relacjach widać pewne, z reguły niewielkie, rozbieżności, co jest zrozumiałe z uwagi na upływający czas, który wiele faktów zatarł w pamięci moich rozmówców. Przecież to już minęło 70 lat. Ilu mieszkańców wówczas aresztowano i zamordowano w więzieniach i obozach zagłady? Na podstawie relacji osób już cytowanych, wynika, że wśród aresztowanych mieszkańców Grabowa znaleźli się na pewno: Czesław Biedrzycki, Stanisław Chodkowski, Wacław Czarkowski, Stanisław Godlewski, Maksymilian Osowski oraz dwaj bracia Budni, Chrzanowski i Dąbrowski. Czterej ostatni nie powrócili. Wszyscy rozmówcy potwierdzają wiadomość o ustawieniu szubienicy na tzw. Kaczym Dołku w Krasnosielcu.

- *Aresztowanych najpierw wywieźli do Drążdżewa* - twierdzi Piotr Głazewski. Pobyt zatrzymanych na posterunku żandarmerii w Drążdżewie potwierdził swego czasu mieszkaniec Drążdżewa **Stanisław Lipiński** (†2012):

- *Podczas wojny stawiałem się na każde wezwanie z podwodą, np. wiozłem z posterunku żandarmerii (dom Chrzanowskich) grupę mieszkańców Grabowa do Krasnosielca, gdzie czekała na nich szubienica. Aresztowani zostali po zabójstwie Niemca prawdopodobnie przez jego kolegę. Na szczęście nikogo nie stracono.*

Inny naoczny świadek transportu więźniów z Grabowa przez Drążdżewo do Krasnosielca **Mirosław Szewczak** tak wspomina ten przykry widok: - *Był zimowy, mroźny dzień. Kilka wozów przewoziło aresztantów. Jechali od strony krzyżówek do Krasnosielca. Uwięzionych konwojowali uzbrojeni żandarmi. Rozeszła się pogłoska, że zatrzymani zostaną powieszani w Krasnosielcu za zabicie jednego z żandarmów w Grabowie. Szubienicy nie widziałem, ale z opowiadań, wiem, że była ustawiona.*

Pamiętam też, że w domu Slebzaków w Drążdżewie, stała trumna z ciałem zabitego żandarma Kosko. Niemcy pełnili przy niej wartę honorową. Posterunek mieścił się naprzeciwko, u Chrzanowskich.

Jednym z tragicznych pasażerów wspomnianej podwojki był niewątpliwie Maksymilian Osowski, co sugeruje wypowiedź jego synowej Janiny Osowskiej, że *był więziony w Drążdżewie i w Krasnosielcu. Po wojnie cały czas chorował.*

A tak spotkanie z uwięzionym Maksymilianem Osowskim wspomina jego córka **Jadwiga Walendziak**: - *W krasnosielckim więzieniu siedział chyba z siedem tygodni mój tata i Stanisław Godlewski. Byłam z siostrą w odwiedzinach u taty, raczej na pożegnaniu, nie wiedzieliśmy przecież co z nim będzie dalej. Mama nie mogła z racji choroby, więc posłałam ją z siostrą... Innych zatrzymanych też odwiedzały rodziny, jak Chodkowskiego i Biedrzyckiego. Placz i lament. Wpuszczali tylko jedną osobę. Tata poprosił żandarma, żeby i mnie wpuścił. I on się zgodził. Tata wziął mnie na ręce i postawił na czymś, na stoliku czy jakiejś skrzyni, nie pamiętam. Zaczęłam płakać, a wtedy Niemiec wrzasnął: „Nie becz, bo cię wygnam stąd”. Bili go okropnie, zacisnęli mu sznur na szyi i bili. Tata był tak zbity, że jak po uwolnieniu wchodził na podwórze, to moja cioteczna siostra, będąc przy studni, nie poznała go.*

Wiem, że stała w Krasnosielcu szubienica, ale ja jej nie widziałam. W czasie nieobecności ojca siadaliśmy w domu u mamy na łóżku - siostra, ja i młodszy ode mnie o trzy lata brat. I on pocieszał nas. „Mamo, nie płacz, bo ta Bożiułka powiedziała, że tatuś wróci (na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy)”. Tata zmarł w 1961 r., w wieku 52 lat, a mama w 1989 r.

Grabowo to wieś sołecka w gminie Krasnosielec, w powiecie makowskim. Obecnie należy do parafii Amelin, wydzielonej w 1993 r. z parafii Krasnosielec. Początki wsi sięgają XV wieku. Jest wielce prawdopodobne, że powstała „w miejscu starszej jeszcze wsi zwanej Trlogą, wymienianej w akcie erekcyjnym parafii Krasnosielec w 1386 r.”.² Nazwa wsi wywodzi się od Jana i Bartłomieja Grabowskich, którzy w 1418 r. otrzymali od księcia mazowieckiego Janusza I przywileje osadnicze. Nieliczne, skąpe informacje o Grabowie pochodzą jedynie z protokołów wizytacji kanonicznych parafii Krasnosielec (pierwotnie Sielec), np. protokół z 1817 r. podaje, że liczba mieszkańców wynosiła 83 osoby, w tym 41 dorosłych. Dziesięć lat później w Grabowie mieszkało 71 osób w 14 domach, co potwierdza zapis: „[Grabowo].-trylogi, wś szlach., pow. makowski, gm. i par. Krasnosielec. W 1827 r. było tu 14 dm. i 71 mk”.⁴ Kolejne dziesięciolecia nie zapisały się niczym szczególnym w historii wsi, poza epidemią cholery. Ten fakt potwierdzono wystawieniem w 1866 r. krzyża cholerycznego zwane go karawaką (miał dwie poprzeczki).

Jest to wieś o zwartej zabudowie, po obu stronach drogi, czyli typowa ulicówka, oddalona od Krasnosielca o ok. 7 km (jak niegdyś podawano - o 1 milę drogi). Podczas II wojny światowej liczyła ok. 30 gospodarstw i co najmniej 250 mieszkańców o następujących nazwiskach: Budni, Chodkowski, Chrzanowski, Czapliski, Czarkowski, Dąbrowski, Głazewski, Godlewski, Grabowski, Graczyk, Jakubiak,



Wspomnienia Henryka Sikory

Konspiracja

cz. III

Henryk SIKORA

Wprowadzenie

Poniżej przed Państwem kolejną porcję wspomnień Henryka Sikory, człowieka niezwykłego, po którym pozostał mocny i prawdziwy ślad zarówno w pamięci ludzkiej jak i na kartach jego pamiętnika.

Drogi Czytelniku, wspomnienia te spisane zostały pod koniec lat 60. ubiegłego wieku, ponad 20 lat od tragicznych wydarzeń okupacji niemieckiej. Jak każde wspomnienia i one skazane są osobistym doświadczeniem, przekonaniami i wybiórczą, ułomną ludzką pamięcią. Zapewne na ich treść miały też wpływ czasy w jakich zostały spisane, a był to okres PRL-u, ustroju delikatnie mówiąc nie do końca demokratycznego - faszerującego obywateli wszechobecną ideologią.

W mojej jednak ocenie są obiektywne, a w połączeniu ze wspomnieniami innych autorów dają ciekawy i bliski prawdzie obraz życia w Polsce tamtego okresu. Zachęcam niniejszym mocno do ich lektury.

Dziękuję Karolinie i Natalii Zadroznyom za trud przepisania poniższych wspomnień.

Sławomir Rutkowski

Konspiracja

Pewny byłem, że w kraju powstanie podziemie do akcji podziemnej przeciwko okupantowi; bowiem w naturze Polaka leży umiłowanie wolności i sprzeciw przeciwko przemocy. Ani na chwilę nie opuszczała nas myśl, że wypadki na arenie wojennej potoczą się szerzej, że do głosu oprócz Francji i Anglii dojdą jeszcze Ameryka i Związek Radziecki, a końcowa faza wojny może przynieść rozwiązanie, w którym hitleryzm zostanie pokonany i Polska odzyska niepodległość. Ta nasza w to wiara szerzona wśród mieszkańców nie dawała przygnębionemu społeczeństwu upadać na duchu, krzepiła otuchę i nadzieję tym bardziej, że dochodziły słuchy o powstającym w Kraju Ruchu Oporu, nie wiedzieliśmy tylko co, gdzie i jak.

Nie pamiętam już, czy to było u schyłku 1939 r. czy na początku 1940 r. zgłosił się do mnie znany mi osobiście nauczyciel Witold Zduniak przebywający u rodziny swojej żony w Mrozach gm. Sielc, z propozycją wstąpienia do organizacji podziemnej pod znakiem KO.P. Skrót ten oznaczał Komitet czy Komendę Obrońców Patriotów czy coś w tym rodzaju, dokładnie już nie pamiętam. Po zapewnieniach Zduniaka, że jest to organizacja apolityczna

i poświęcająca się wyłącznie walce z okupantem i pozostająca pod wpływem polskich sfer wojskowych niezwiązanych z przedwrześniowym obozem sanacyjnym, zdecydowałem się na przystąpienie do tej organizacji. Zduniak przyjął ode mnie przysięgę i zapisał mnie w szeregi KO.P pod pseudonimem „Lach” następnie oświadczył, że zgodnie z życzeniem Komendy powiatu KOP mam zorganizować komórki organizacyjne w gminie. Obarczony funkcją organizacyjną KOP na terenie gminy przystąpiłem do zachowania ostrożności konspiracyjnej do pracy.

Do pierwszych piątek, bowiem taki był system organizacyjny, wciągnąłem następujących mężczyzn:

- 1) Latkowski Stanisław z Magnuszewa,
- 2) Sarnowski Mieczysław z Szelkowa,
- 3) Rzepiński Władysław ze Smrocka,
- 4) Rzepiński Władysław (drugi) ze Smrocka (sołtys),
- 5) Skowroński Władysław z Szelkowa,
- 6) Cywiński Kazimierz sołtys z Zakliczewa,
- 7) Dzik Ignacy lub Stanisław z Ciepielewa,
- 8) Lasko Tadeusz pracownik gminny Ciepielewa,
- 9) Dziadach Stanisław z Szelkowa,
- 10) Nowotko Antoni gajowy z Magnuszewa

i wielu innych, których nazwiska wyszły mi już z pamięci. Poza tym nawiązałem kontakt z Witoldem Szymborskim podchorążym ze Smrocka i Zygmuntem Kamińskim podoficerem z Tłucznic zatrudnionym w zarządzie gminnym w Szelkowie, który ze swojej strony organizowali dalsze piątki powiększając liczebnie organizację.

Przypominam sobie, że do naszej konspiracji wciągnąłem też kilka starszych osób jak Laskę Aleksandra Sołtysa z Ciepielewa, Dzikowskiego (Rola) z Magnuszewa i kogoś więcej.

Tajemnicy pomiędzy piątkami nie dało się utrzymać; bowiem jak się to mówi, przez skórę jedni o drugich wiedzieli. Kandydatów do podziemia było wielu toteż trzeba było działać bardzo ostrożnie, ażeby się bractwo przedwcześnie nie zdekonspirowało. Organizacja KO.P na terenie gminy liczyła około lub ponad 30 osób.

Zduniak często odwiedzał mnie, zapoznawał się ze stanem organizacji, odbierał meldunki, sprawozdania i składki członkowskie, przywoził też rozkazy i dyrektywy z Komendy Powiatowej, która mieściła się w Róźnie, pamiętam tylko, że do sztabu tej komendy należeli: Zduniak Witold, Żytowiecki, Chelstowski i kilku podoficerów zawodowych z byłej załogi wojskowej Róźna względnie przebywających u swych rodzin w Róźnie (Czachorowskich, Kaczorowskich).

Wyszła mi już z pamięci struktura organizacyjna przypominam sobie, że w jednostkach organizacyjnych były takie działy jak: organizacyjny, wywiad bojowy, kwatermistrzostwo, łączność i sanitarny.

Działalność tak zorganizowanego podziemia KO.P ograniczała się w początkach do kolportażu prasy podziemnej, teoretycznej musztry wojskowej, udzielania pomocy zbiegom, zbierania informacji o posunięciach władz niemieckich w zakresie wywożenia młodzieży na roboty do Niemiec, zaopatrywanie zbiegów z innych terenów, a szczególnie z Warszawy w lewe dokumenty, zbiórki ofiar na pomoc dla rodzin osób uwięzionych lub straconych itp.

Pamiętam, że sieć kolportażu prasy podziemnej była dobrze zorganizowana. Zawsze regularnie otrzymywaliśmy gazetki i przesyłaliśmy je dalej. Różne były sposoby przewożenia gazetek, a czasem i dowcipne jak np. to, że paczka z gazetami przewożona była pojazdem konnym żandarmerii. Gazetki często przywoził Marian Szczygłak z Makowa, który trudnił się furmaństwem. M. Szczygłak jadąc do Pułtuska przez Szelków zatrzymywał się przed zarządem gminnym i poprawiając coś przy wozie dawał tym znak, że przywiózł prasę. W kolportażu stosowano wiele roztropnych i nad podziw śmiałych sposobów. Na szczęście nie było nigdy w Szelkowie wesp z tajną prasą.

Poza KOP wyczuwać się dało na terenie powiatu głębszy nurt podziemny. Słyszało się o innych organizacjach podziemnych, a m.in. o NSZ (Narodowe Siły Zbrojne). Nurt tego odłamu podziemia dotarł i do Szelkowa i objął swoim zasięgiem znaczną ilość młodzieży. Trzonem NSZ na terenie gminy byli moi współpracownicy gminni: Bobiński Henryk, jego syn Tadeusz Bobiński i Stanisław Karpiński. Tak więc wśród personelu Amsbezinki w Szelkowie byli przedstawiciele KOP, a później ZWZ i NSZ, którzy niby to o sobie nie wiedzieli, a czuli przez skórę czym to pachnie. Nie przeszkadzało to jednemu i drugiemu w koordynowaniu wspólnych posunięć w działalności przeciwko administracji okupanta. Szeregi miejscowego NSZ zasili przybysze z innych terenów jak Nowak zbiegły z aresztu w Obrytem i Krasucki. Mieszkali oni w Ciepielewie u swoich kuzynów.

Biuro Zarządu gminnego w Szelkowie, czyli tak zwanego Amsbezinku stało się w owym czasie jak gdyby przystankiem dla wymiany z interesantami zdań na tematy sytuacji wojennej a często ludzie przychodzili do biura nie za interesem, a tylko, ażeby się od pracowników czegoś dowiedzieć, tu zwątpionych pocieszało się na duchu, udzielało się rad i wskazówek jak omijać nakazy i zakazy władz niemieckich, tu

wydawało się lewe dokumenty (palcówki), tu fabrykowało się podpisy Amtskomisarza na różnych przepustkach i innych potrzebnych mieszkańcom zezwolenia. W tych różnych znikały pomiędzy pracownikami różnice polityczne z tytułu należenia do ZWZ czy PZP, a NSZ. Pracownik z PZP wydawał pracownikowi NSZ, z kasy pancernej druki ścisłego zarachowania jak przepustki stałe, nocne i inne. Pracownik z NSZ dokumenty wypełniał i w odpowiednich ewidencjach rejestrował, a drugi pracownik z PZP podrabiał na dokumentach podpisy Amtskomisarza i tak szła zgrana robota, aby tylko paraliżować normalny tok administracji niemieckiej i przynosić ulgę i różne ułatwienia mieszkańcom. Biuro nasze znane było z tego w szerszej okolicy np. gdy ktoś z Warszawiaków zbiegłych ze stolicy szukał ochrony w Makowie, kierowano go do Szekłowa, gdzie uzyskał lewy dokument i inną pomoc w dalszej tułaczce.

Jeśli chodzi o dyskusje pomiędzy pracownikami, a tak zwane rodaków rozmowy zarysowywały się zaraz ostre różnice zdań na tematy polityczne, a w rozmowach takich uparcie swoje enesetowskie poglądy podtrzymywał Tadeusz Bobiński, któremu ledwo wąs pod nosem zaczynał się sypać o nim jako o „ważnym” konspiratorze wspomnę w dalszych ustępach wspomnień.

Złączenie KOP z ZWZ względne z PZP

W roku 1941 nastąpiło złączenie się KOP z organizacją ZWZ przemianowaną na PZP. Na skutek tego uformowała się nowa komenda powiatowa z siedzibą w Szekłowie Nowym. Komendantem powiatowym został Aleksander Piaseczny ps. „Makary” zawodowy sierżant 13 p.p. w Pułtusk zamieszkały na czas okupacji przy rodzinie swej w Szekłowie Nowym. Przy komendzie powiatowej odpowiednie funkcje pełnili podoficerowie W.P.: Plutonowy zawodowy 13 p.p. Bolesław Nodzykowski, który zamieszkał w Smrocku, Plutonowy Zygmunt Kamiński z Tłucznia zatrudniony w Zarządzie gminnym w Szekłowie, Jan Jabłoński podoficer pochodzący z okolicy Szewlic, a zatrudniony w pracy rolnej u Heleny Batogowskiej w Szekłowie Nowym, Witold Szymborski podchorąży ze Smrocka i inni podoficerowie rezerwy z terenu gminy.

Ci oficerowie o odpowiednich kwalifikacjach zawodowych stanowili sztab Komendy powiatowej pełniąc przydzielone im funkcje. Ja w tym sztabie pełniłem funkcję kwatermistrza powiatu pod nowym pseudonimem „Borawa”. Ogniwa PZP istniały na terenie powiatu we wszystkich gminach a także w Makowie i Róźnie. Zorganizowane zostały też kwatermistrzostwa w gminach i miastach, sieć kolportażu prasy działała wszędzie sprawnie. Na czele służby zdrowia stał zawodowy sierżant, czy też chorąży felczer wojskowy, który osiedlił się we wsi Gnojno pow. Pułtusk o kilka kilometrów od Szekłowa, gdzie odbywał praktykę lekarską, leczyl ludzi i udzielał porad lekarskich bezinteresownie.

Siedzibą Komendy powiatu były domostwa Piasecznych i Heleny Batogowskiej w Szekłowie Nowym, gdzie odbywały się tajne narady

sztabu, zebrania i odprawy służbowe. Do konspiracji należały też rodziny Piasecznego, bracia Stanisław i Jan oraz szwagier Damian Dorocki, a ze strony rodziny Batogowskiej wdowa Batogowska Helena z córkami Ireną i Pelagią, a niewątpliwie też i bracia Batogowskiej Miłoszewscy.

Pamiętam córeczkę Piasecznego Henię, którą ojciec obarczał funkcją posłańca komendy. Roztropne to dziewczę z pełnym poświęceniem się biegło po okolicy roznosząc poszczególnym ogniowom konspiracji zawiadomienia, rozkazy itp. Zwaliliśmy ją skowronkiem; bowiem ukazanie się jej w otoczeniu zwiastowało zawsze nowinę.

Tak rozbudowana konspiracja działała na terenie całego powiatu, a liczebność członków w powiecie do tysiąca mężczyzn gotowych w każdej chwili do powstania z bronią w rękę przeciw wrogowi. Po lasach pod kierunkiem podoficerów odbywały się ćwiczenia i wykłady wojskowe, gromadzono też broń ukryta przez ustępujące w roku 1939 oddziały wojskowe, środki opatrunkowe i leki, rozplanowywano też zajęcie obiektów ze środkami żywnościowymi i innymi artykułami niezbędnymi do zaopatrzenia oddziałów powstańczych.

W działalności PZP nie widziałem by się przewijały aspekty polityczne. Wszystko szło i przygotowywało się w kierunku odzyskania przede wszystkim niepodległości. Nie bez tego byłaby organizacja nasza pod wpływami politycznymi, ale istota tych wpływów nie docierała do nas, my mieliśmy jeden cel: niepodległość. Plany ustrojowe odkładaliśmy na po wojnie, wierząc, że w tej kwestii wypowie się Naród.

Oprócz PZP działała na terenie powiatu podziemna organizacja o znanym zabarwieniu politycznym NSZ. Nie znam komendy powiatowej tej organizacji z owego czasu, wiem tylko, że trzonem jakiejś ważniejszej jednostki organizacyjnej NSZ w gminie byli jak już wspominałem Bobiński i Karpiński, a także wspomniani już Nowak i Krasucki. Te dwie istniejące na terenie gminy organizacje milcząco wiedziały o sobie i jedna drugiej nie przeszkadzały.

W częstych rozmowach pomiędzy pracownikami gminy krytykowałem zabarwienie polityczne NSZ. Na tym tle dochodziło między nami zwolennikami PZP., a pracownikami z pod znaku NSZ do ostrych sprzeczek. Szczególnie zaciętrzewiony był i nie dał sobie przetłumaczyć młody Bobiński.

Razu pewnego Tadeusz Bobiński przyniósł do biura kilka skrawków taśmy filmowej. Przeglądając się tym skrawkom na jednym z nich widzimy zdjęcie maszerujących junaków i napis: a teraz poprowadzi nas generał Sosnkowski (Było to po tragicznym wypadku i śmierci gen. Sikorskiego). Bobiński zapalczywie tłumaczy, że teraz wszystkim przewodzić będzie generał Sosnkowski i spogląda na nas z triumfującym uśmiechem. Skąd pan ma te filmy? Pytam. Znalazłem w lesie tuż przy wsi Rostki, filmy te na pewno zrzucone zostały z polskiego samolotu i jest to wiadomość podana ludności przez rząd polski w Londynie odpowiedział Bobiński.

Przeglądałem się lepiej skrawkowi filmu i zwracam uwagę na Tadeusza: przecież tu jest wyraźnie napisane: „A teraz poprowadzi nas gen. Sosnowski”, a nie Sosnkowski, że zdjęcie

jest przedwojenne z cyklu zdjęć z ćwiczeń przedwojennego przysposobienia wojskowego. Tadeusz Bobiński zrażony tym, że mu tak pewnie stwierdzenie obalam, nie dał się jednak przekonać, a przekonał się na drugi dzień, gdy ktoś do biura przyniósł całą kupę skrawków taśmy filmowej z różnymi scenami nie związanymi już ani z polityką ani wojskiem. Okazało się, że w Rostkach mieszkał w swej chałupinie bezrobotny o nazwisku Zembrzusi, który kiedyś wędrował po wsiach z projektorem filmowym i różne zbrakowane filmy ludziom wyświetlał. Takich porwanych filmów miał u siebie na strychu pełen kufer. Obawiając się rewizji i jakich nieprzyjemności z powodu tych filmów Zembrzusi zawartość kufra porzucił po lesie. Uśmialiśmy się z Tadeusza serdecznie, a Tadeusz czerwony z gniewu obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem.

Zygmunt Kamiński na osobności ostrzegł mnie przed Bobińskimi, żeby się zbytnio z nimi nie przekomarzać, bo mogą się mścić. Jakżeż mogą się mścić i za co? - mówię. Pan jeszcze nie zna fanatyków enesetowców i radzę niech się pan z nimi nie drażni, odpowiedział Kamiński. Widocznie zdenerwowało to mocno, Tadeusza Bobińskiego, że zdemaskowałem jego twierdzenie o Sosnkowskim, a twierdzenie takie potrzebne mu widać było do propagandy politycznej pośród członków NSZ.

Z Tadeuszem Bobińskim miałem jeszcze wiele innych tak na tle politycznym jak i osobistym potyczek, o których tu nie wspominać uważając że nie warto.

Zbyt szerokie rozbudowanie organizacji podziemnych przez wciągnięcie masowo mężczyzn w wieku wojskowym uważałem za niedorzeczne i niebezpieczne z tego względu, że trudno w takim szerokim zespole utrzymać tajemnicę, czego dowodem były częste nawet biatyki wśród młodzieży po wsiach na tle rywalizacji z sobą członków NSZ i PZP. Jedni w patriotyzmie chcieli przewyższać drugich, stąd płynęły kłótnie i starcia pobudzane nierzadko konsumpcją bimbru. Było to niebezpieczne i groziło dekonspiracją tym bardziej, że komórkami organizacyjnymi w NSZ dowodzili tacy zaciętrzewieńcy jak Tadeusz Bobiński i fanatycy jak Nowak i Krasucki. Nie przestrzegano też zasad konspiracji i w naszej komendzie PZP. Pisanie na maszynie w stodole Piasecznych słychać było na drodze przez wieś, częste opijanie odpraw służbowych też mogło wpaść komuś obcemu w oczy tym bardziej, że przez kwaterę komendy przewijali się ludzie nietutejsi wzywani na odprawy z całego powiatu. Zwracałem często uwagę na to Piasecznemu (Makaremu) i innym. Enesetowcy bez zachowania najmniejszych choćby ostrożności przeczyszczali w jednej z wiosek broń w otwartej stodole dokąd mógł spojrzeć ktoś przechodzący. Skład materiału i leków odkryty został przez żandarmerię we wsi Pomaski w zagrodzie jednego z Pomaskich. Syn gospodarza został aresztowany i po niedługim czasie puszczony wolno tłumaczył się, że w początkach wojny jacyś ludzie te opatrunki i leki zostawili u niego w stodole po które mieli się zgłosić. To tłumaczenie żandarmi przyjęli za prawdopodobne i Pomaskiego zwolnili. Zwolnieniu Pomaskiemu (imienia nie pamiętam, wiem tylko, że to był brat nauczyciela Pomaskiego) radziłem żeby nie dowierzał żandarmerii i szybko w inne strony uciekał. Władze niemieckie wi-

docznie domyśliły się, że znaleziony przez żandarmerię skład opatrunków i leków przeznaczony jest na inne cele i ponownie aresztowały Pomaskiego, który swą lekkomyślność przypieczętował śmiercią w obozie koncentracyjnym. Nie słychać było potem by wypadek ten pociągał po sobie dalsze aresztowania i wyspy, to ten wnioskować można, że Pomaski na śledztwie trzymał się nieźle.

Mnożyły się wypadki nieostrożności tak z jednej jak i drugiej strony konspiracji, to też ktoś mądrzejszy obserwując to wszystko łatwo wpadł na domysł, że tu działa podziemie. Czułem, że obie organizacje podziemne stoją jak na beczce prochu, który lada chwila może wybuchnąć.

Jednego niedzielnego popołudnia przybyli do Szelkowa dwaj członkowie naszej organizacji z Makowa: Mroczkowski (zegarmistrz) i drugi o ile dobrze pamiętam (Karol) Kacprzykowski. Chcieli oni związać kontakt z placówką w Łasi i zaproponowali mnie i Zygmuntowi Kamińskiemu udanie się z nimi do Łasi, gdzie w mieszkaniu tamtejszej nauczycielki odbędzie się, to kontaktowe spotkanie. Mroczkowski i K. Kacprzykowski przyjechali do Szelkowa wynajętą bryczką i przejeżdżając obok posterunku żandarmerii zatrzymali się przed mieszkaniem Kamińskiego, u którego wówczas byłem. Nie podołało mi się to afiszowanie się przyjezdnych niemal pod oknami posterunku. Po namyśle, upewniony, że sprawa jest pilna i ważna (a nie pamiętam już jaka) i, że obecność moja i Kamińskiego jest tam potrzebna, zdecydowałem się pojechać. W Łasi po skontaktowaniu się z tamtejszymi członkami organizacji i załatwieniu przez Mroczkowskiego i K. Kacprzykowskiego pouczonych im spraw, na stole jak zwykle pojawił się bimber. W drodze powrotnej tuż przed Szelkowem bryczka zakotyła się na jakimś wyboju a ja zleciałem z kozła bryczki na łeb na szosę. Kamiński podnosi mnie i usiłuje wywindować na bryczkę. Dalszej jazdy odmówiłem i wraz z Kamińskim doszedłem do Szelkowa. Bryczka z dwoma makowiakami wesołymi bo podchmielonymi bimbrem mijając Szelków pomknęła na Maków.

Gdy bryczka mniej więcej była już koło Smrocka usłyszeliśmy strzały karabinowe. Jak się później dowiedzieliśmy żandarmi przyczajeni lub przypadkowo ostrzelali mknącą po szosie bryczkę. Makowianie mimo to szczęśliwie już o zmroku dojechali do Makowa. W rozmowie z Kamińskim o tym wypadku mówię: któż zaręczyć może, że żandarmi z okien posterunku nie obserwowali przyjazdu bryczki do Szelkowa i nie zaczęli się przy szosie w Smrocku oczekując na powrotny jej przejazd.

Nakoniecznikoff-Klukowski

Jednego dnia a było to w 1942 r. „Skowronek” przyniosła mi do „Makarego” to jest Piasecznego zawiadomienie bym się stawił w kwaterze komendy w mieszkaniu pani Batogowskiej w Szelkowie Nowym. W furcie na obęście spotkałem Mariana Tymńskiego, który poinformował mnie, że wraz z innymi chłopakami trzyma ubezpieczenie wokół zabudowań, bo w mieszkaniu bawi jakiś ważny gość z organizacji dodając, że czekają tam na mnie.

Po pokoju wprowadził mnie „Makary”. Za stołem ujrzałem mężczyznę starszego wiekiem, postawy wysokiej z długimi wąsami. Na pierwszy rzut oka określiłem go na jakiegoś ziemianina; bowiem tusza i ubiór wskazywały na to. Przed nim na stole leżał rewolwer i teczka. Położenie na stole rewolweru uważałem za niepotrzebne, wreszcie nieświadom byłem jaki to miało cel. Przy zapoznaniu się przez wymienienie pseudonimów złożyłem żądane sprawozdanie z mojej działalności kwatermistrza powiatu, następnie wysłuchałem instrukcji, pouczeń i rad w dalszej mojej działalności na przyszłość po czym „Gryf” przejął ode mnie ślubowanie. Przy tej odprawie obecny był nasz komendant powiatowy „Makary” (Piaseczny), który stale przed „Gryfem” w rozmowie z nim przybierał postawę zasadniczą prężąc się na baczność. Z tego wyniosłem, że ten „Gryf” z wyższej komendy jest jakąś grubszą rybą. Po wyjściu z odprawy „Makary” poufnie ujawnił mi nazwisko „Gryfa”. Jest to powiedział: podpułkownik Nakoniecznikoff-Klukowski, wymienił też jego funkcję w organizacji, ale nie pamiętam już jaką.

Po tej odprawie nabrałem więcej ufności w tak postawioną organizację widząc na zwierzchnych stanowiskach w niej oficerów sztabowych.

Z instrukcjami i rozkazami do mnie przyjeżdżał jeszcze od „Gryfa” nieznany mi, a zapomniany z pseudonimu młody oficer. Podpułkownik jak wiem, był jeszcze kilka razy w Szelkowie Nowym, gdzie kwatrował u pani Batogowskiej, a chłopcy należący do organizacji opowiadali mi o tym, jak go nocami odwozili furmanką stanowiąc jego ochronę.

Organizacja nasza działała sprawnie. Po lasach odbywały się ćwiczenia a w zakonspirowanych mieszkaniach wykłady. Ja odbyłem odprawy z kwatermistrzami z terenu gmin udzielając im instrukcji i pouczeń. Z tych odpraw przypominam sobie nazwisko jednego z gminnych kwatermistrzów, a był nim Czajkowski z Krasnosielca. Innych kwatermistrzów znałem z zapomnianych już dziś pseudonimów, których nazwiska wyszły mi już z pamięci. Drugi z przypominanych sobie kwatermistrzów gminnych to Sosnowik Antonii „Piła” z Sielca. Kwatermistrzów gminnych było tylu ile gmin w powiecie, a więc na odprawach i u mnie byli kwatermistrzowie z Krasnosielca, Sypniewa, Karniewa i inni. Rozplanowane mieliśmy zajęcie wszystkich składów aprowizacyjnych i innych w powiecie, przetwórnictwa, składów względnie sklepów z manufakturą, materiałów pędnych itp. Wyznaczone zostały straża do ochrony tych obiektów. Wszystko moim zdaniem przygotowane było na wypadek załamania się Niemców i wybuchu powstania. Cierpliwie oczekiwaliśmy na tę chwilę, a ta chwila jak się dalej okazało, była jeszcze od nas daleko.

Aresztowanie Nodzykowskiego

Ten tak spokojny i normalny stan naszej działalności konspiracyjnej zakłócony został przez pierwsze aresztowanie z naszej grupy aktywisty powiatowego z grona podoficerów zawodowych plutonowego Bolesława Nodzy-

kowskiego. Nodzykowski służył w 13 p.p. w Pułtusk, pochodził rodem z powiatu pułtuskiego. Był to zdolny podoficer, gorący patriota, z zapalem oddający się pracy konspiracyjnej. Wyprowadził się z Pułtusk i na czas okupacji zamieszkał w Smrocku z żoną i dziećmi. Pewnego dnia przed mieszkaniem jego zajeżdżał osobowy samochód, z którego wysiadło dwóch osobników, jeden cywil, a drugi w mundurze gestapowca. Ten cywil jak głosiły pogłoski był kolegą Nodzykowskiego ze służby 13 p.p., a wówczas volks deuths. Ten kanalia wywęszył dokąd się Nodzykowski z Pułtusk ulotnił i nie omieszkał go z gestapowcem od żony i dzieci zabrać.

Aresztowanie Nodzykowskiego wywarło wstrząs i niepokój wśród naszych szeregów tym bardziej, że Nodzykowski w przeddzień odebrał z naszej komendy spis członków naszej organizacji według pseudonimów i nazwisk, których miał przedstawić wyższej organizacyjnej komendzie. Dla wielu z nas było to po prostu oburzające, że komenda wyższego stopnia zażądała od naszej komendy takiego spisu, który rzecz jasna, gdyby wpadł w ręce Niemców, sprowadziłby na naszą organizację nieszczęście. Na szczęście gestapowiec nie przeprowadził rewizji w domu, a spisy leżały w kuferku. Wystarczyło mu tylko aresztowanie Nodzykowskiego. Nie uległo dla nas wątpliwości, że Nodzykowski aresztowany został na podłożu roboty podziemnej, a poszlaki o to ciągnąć się mogły za nim z powiatu Pułtuskiego, to też śledziliśmy z uwagą odgłosy przeprowadzanego w Pułtusk przez gestapo śledztwa. Jak nas dochodziły wieści Nodzykowski był okrutnie torturowany, że wszystko mężnie wytrzymał i nikogo nie wydaje. Fama głosiła, że Nodzykowski został w Pułtusk powieszony z okrzykiem na ustach: „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Rzeczywistość była jednak inna, bo jak się dowiedziałem z wydawnictwa Mazowieckiego Towarzystwa Kulturalnego pod tytułem „Pułtusk studia i materiały z dziejów miasta i regionu” z roku 1969, dnia 17 XII 1942 roku w Pułtusk powieszonym zostali: p.por. Bronisław Dębiński „Dąb”, Juliusz Kubis „Skuba”, Stefan Knykowski z Jednoróżca i Henryk Smoleński z Przasnysza. Oni to przed zgonem wydali okrzyk „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Nodzykowski natomiast tego samego dnia stracony został przez powieszenie na zamku w Ciechanowie. Po szeregach naszych powiał smutek ze stratą cenionego wśród nas współtowarzysza konspiracji, szczerego patrioty i wiernego syna mazowieckiej ziemi. Ta strata była dla nas też ostrzeżeniem jak należy przestrzegać zasad konspiracji i nie dawać wiary ludziom nieznanego pochodzenia narodowościowego.

A jednak nie mogło mi się wówczas pomieścić w głowie jak mogła komenda wyższego stopnia w której zasiadł Nakoniecznikoff-Klukowski zażądać od nas w mowie będących spis członków. Jakimi to niemi szyta była ta robota domyślać się można z rozwijających się dalej zdarzeń i wypadków, a wśród tego roli N.S.Z. Pani Nodzykowska zwróciła spisy naszej komendzie, które na nasze żądanie zostały zniszczone.

Najazd Niemców na ZSRR

Na działce gminnej w Szelkowie Niemcy magazynowali duże ilości słomy, którą na miejscu prasowali w kostki, następnie wywozili. Zdziwiło nas umieszczenie na wysokim stogu słomy, posterunku wojskowego złożonego z kilku żołnierzy, którzy niewątpliwie pełnili służbę o.p.l., zdziwiło nas też spieszne montowanie przez Niemców baraków na wolnych placach i posesjach. Do baraków tych sprowadziło się wojsko niemieckie inspekcjonowane czasem przez generałów. Trudno nam było doćiec przyczyny zainstalowania posterunku o.p.l. i zgrupowania tak w Szelkowie jak i w okolicy znacznej ilości wojsk, a nieświadomość naszą rozwiały dopiero masy czołgów przesuwających się od pułtusa w stronę Różana i Ostrołęki. Czyżby Niemcy spodziewali się natarcia ze strony związku Radzieckiego? Gubiąc się w domysłach wpadliśmy na pomysł ażeby skontrolować sprawozdanie Amtskomisarza przesyłane od czasu do czasu do wyższych władz gestapo. Komisarz podczas pisania tych sprawozdań zamykał się w swoim gabinecie, sam sprawozdania czy doniesienia pisał przez kalkę na maszynie, a po tym osobście odnosił na miejscową pocztę, którą obsługiwała Niemka. Pod nieobecność komisarza znajdowaliśmy w jego gabinecie tylko kalkę przy maszynie, z której wskutek kilkakrotnego używania nie mogliśmy nic doczytać, ale od czegoś głowa? Sprzątnęliśmy komisarzowi zużyte kalki, a w chwilach kiedy komisarz zasiadał do pisania kolejnego swego raportu czy sprawozdania tłumacz Kiepuł podsuwał mu nową nieużywaną kalkę. Gdy komisarz w pocie czoła przepisywał na maszynie spłodzony przez siebie elaborat, my czekaliśmy kiedy pójdzie na pocztę i czy zostawi kalkę. Kiedy komisarz wyszedł, kalka dostawała się w nasze ręce. Kiepuł zbliżając kalkę z wyciśniętymi na niej czcionkami do lusterka czytał treść a Kamiński przepisywał. W ten sposób wiedzieliśmy o czym komisarz donosił swoim niemieckim władzom. Były to sprawozdania sytuacyjne z terenu gminy, które jednak nie rozwiązywały zagadki grupowania wojska w Szelkowie. Nie mniej jednak odpisy takich sprawozdań rzucały światło na inne rzeczy, to też sprawozdanie te (przepisane z kalki) przesyłaliśmy do naszych odgórnych jednostek organizacyjnych.

Niedługo po tym zmotoryzowane watahy hitlerowskie runęły na Związek Radziecki, a dowodem tego dla nas były odgłosy armat w stronie Ostrołęki i przejeżdżające przez Szelków na południe ambulanse z rannymi żołnierzami niemieckimi.

Rozłam w PZP

Nie pamiętam już, którego to roku, a zdaje mi się, że na jesieni 1942 r. wezwany zostałem do kwatery naszej komendy w Szelkowie Nowym. W mieszkaniu p. Heleny Batogowskiej nie zastałem komendanta powiatowego „Makarego”, a ktoś z domowników oznajmił, że w ogrodzie oczekuje na mnie łącznik z komendy wyższej okręgowej czy obwodowej, już nie pamiętam. Łącznik ten o pseudonimie o ile dobrze pamiętam „Łuk” odczytał mi rozkaz ko-

mentanta okręgu czy obwodu „Gryfa” to jest owego podpułkownika Nakoniecznikoff-Klukowskiego o którym już wspominałem, który w rozkazie tym oznajmia szeregom P.Z.P., że on „Gryf” wraz z innymi przechodzi do N.S.Z. i wzywa wszystkich członków P.Z.P. by to samo uczynili. Nie pamiętam już jakie motywy tego kroku podawał ów rozkaz. Po odczytaniu mi tego rozkazu byłem dosłownie nie tylko zdziwiony, ale wstrząśnięty i oburzony. Jak to pytam czyżby cel NSZ był idealniejszy od celu PZP? Po cóż ten rozłam? Czy celem jednych i drugich nie jest jeden i wspólny cel – walka z okupantem i wyzwolenie Ojczyzny? Na to „Łuk” nie dawał mi konkretnych odpowiedzi. Wyczułem, że tu mocno polityką śmierzdzi, a wiedziałem już, że NSZ jest organizacją pro-faszystowską.

„Łuk” pyta czy podporządkowuję się rozkazowi? Nie, wolę stać na uboczu, nie należeć do niczego, i nie być wpłatywanym do tarć politycznych. Czy cały PZP przechodzi do NSZ - pytam. Nie, odpowiada łącznik, w takim razie pozostaję w PZP, o ile nie wszyscy przejdą do NSZ, a jeżeli wszyscy, ja będę się uważał wolnym od konspiracji. Z kolei pytam „Łuka” jak postąpił „Makary”. „Makary” usłyszałem odpowiedź zgodził się z rozkazem „Gryfa”, ale mu trudno większe ilości członków do tego namówić. Odnosnie „Makarego” pomyślałem sobie: Ten jako sierżant skrupowany dyscypliną wojskową podporządkował się rozkazom podpułkownika, ale ja jako cywil nie potrzebuję takiemu rozkazowi ulegać.

Istotnie nie wszyscy z PZP przeszli do NSZ. Duża część pozostała i nad pozostałymi uformowała się nowa komenda powiatowa z pośród konspiratorów w Różanie. W Szelkowie a raczej w zasięgu szelkowskim przy PZP pozostali: Kamiński Zygmunt, Sarnowski, Dziadek, Karkowski, Latkowski, Dzik, Dzikowski, Skowroński, Piechota, obaj Rzepińscy ze Smrocka, Szymborski, Cywiński, Lasko i wielu innych. Z dalszych okolic nie wiem kto pozostał, a kto przeszedł do NSZ.

Rozłam ten spowodował wielki wstrząs i oburzenie wśród członków, wprowadził dezorientację i chaos w organizacji, co z kolei przyczyniło się do rozluźnienia dyscypliny konspiracyjnej i ogólnego zniechęcenia.

W rozmowie z nauczycielem Piechuckim i Nowakowskim, którzy nakłaniali mnie, ażeby przyjąć odpowiednią funkcję w komendzie P.Z.P. względnie utrzymać dotychczasową, oświadczyłem, że tak jestem wstrząśnięty tym rozłamek, że już nie chcę żadnych funkcji, dość mam tej polityki, że wolę być już prostym żołnierzem gotowym do walki z bronią, gdy odpowiednia chwila nadejdzie. Wreszcie na usilne ich umowy zgodziłem się prowadzić sekcję opieki społecznej, a ściślej pomocy rodzinom uwięzionych, zabitych, będących w niewoli itp. ofiarom okupacji. Tak też czyniłem. Zbierałem składki i ofiary, wypłacałem wdowom i sierotom zasiłki, a także brałem udział w organizowaniu wysiłki paczek żywnościowych jeńcom naszym w niewoli.

Przepustka Makarego

Pewnego dnia Bobiński wystawił Makaremu przepustkę do jednej z miejscowości w powiecie pułtuskim dokąd Makary udał się na jakąś odprawę. Nazwa tej miejscowości (Gąsiorówek) kończyła się na -ówka czy -ówek prawdopodobnie był to Grabówek. Przepustka wystawiona była na nazwisko Szczepkowskiego z Cieplewa zameldowanego w gminie jako wysiedlonego z powiatu przasnyskiego rolnika. Taki na pewno ani w Cieplewie ani w powiecie przasnyskim nie istniał, a zameldowanie było fikcyjne. Nie wiem co to była za odprawa a jak przypuszczaliśmy przedmiotem tej odprawy były pewne sprawy reorganizacji podziemia. Według dochodzących nas pogłosek miejsce odprawy w jakimś folwarku zostało otoczone żandarmerią i gestapowcami. Kordon opasujący folwark cicho i wolno coraz się zacieśniał. Gdy uczestnicy odprawy się spostrzegli było już za późno to też ostrzeliwując się wiali oknami w krzaki. Makary uciekając darł i rozrzucał po krzakach posiadane przy sobie kompromitujące papiery, wśród których wyrzucił też nie podartą przepustkę. Przepustkę tę znaleźli gestapowcy a nie trudno im było ustalić skąd przepustka pochodzi; bowiem na przepustce figurowała pieczęć Amtsbizinku w Szelkowie i podpis Amtskomisarza Fausta.

Od nitki do kłębka, pewnego dnia po tym wydarzeniu, przed gminę w Szelkowie zajechało auto gestapo. Dwóch gestapowców najpierw weszło do gabinetu komisarza, a potem wraz z komisarzem do kancelarii ogólnej. Komisarz podprowadził gestapowców do stołu przy którym pracował stary Bobiński, do którego należało wydawanie przepustek. Gestapowiec trzymając przepustkę w ręku, pyta Bobińskiego kto jest ten człowiek na którego nazwisko wystawiona przepustka. Bobiński błady jak ściana jakąjką odpowiada, że jest to mieszkaniec jednej zlikwidowanej wsi w powiecie przasnyskim, który w gminie szelkowskiej zameldował się na czasowy pobyt i na dowód tego okazuje księgę meldunkową, w której rzeczywiście jest takie zameldowanie (naturalnie fikcyjne). Komisarz jakby z ulgą odetchnął, bo na przepustce figuruje jego podpis, a przepustkę do podpisu podsunął mu Bobiński. Patrząc na Bobińskiego z drugiego pokoju i myśląc. Po co żeś tak zbladł i nogi się pod tobą trzęsą.

Gestapowcy pilnie obserwują Bobińskiego, a jeden z nich wyciąga kajdanki z teczki i podsuwa Bobińskiemu pod nos mówiąc: Powąhaj to, niedługo będziesz w więzieniu siedział.

Po odjeździe gestapowców wszyscy byliśmy zdania, że jest źle, że Niemcy mają już poważne poszlaki na Szelków, należy być wobec tego przygotowanym w każdej chwili do ucieczki.

Nowak zaproponował mi lewą warszawską legitymację. Dałem mu swoją fotografię. Nowak zebrawszy fotografie od wielu innych członków podziemia udał się do Warszawy i po tygodniu wrócił przywoząc lewe legitymacje. Moja legitymacja z fotografią opiewała na nazwisko: Zygmunt Grodzki pracownik komunalny zarządu miasta Warszawy zamieszkały w Warszawie. Legitymacja zaopatrzona była w pieczęć z hitlerowską „wroną” i podpis urzędnika niemieckiej policji. Zaopatrzony więc w taką legitymację oczekiwałem niebezpiecznej chwili by w razie czego zwać z Szelkowa.

Nowak kilkakrotnie przedostawał się z fotografiami do Warszawy skąd przyniósł legitymację. Jednego razu musiał wchodzić przed pościgiem żandarmerii, a porzucona przez niego w krzakach teczka z fotografiami wpadła w ręce żandarmów. Wśród fotografii było zdjęcie komornika sądowego Grzymkowskiego, którego żandarmeria rozpoznała. Piszę to na podstawie ówczesnych pogłosek. Grzymkowski nie wrócił z obozu koncentracyjnego.

Pewnego dnia komisarz zapowiedział nam wszystkim pracownikom biurowym, że po skończonej pracy nie wolno nam się z biura wydalać, mamy siedzieć w biurze i oczekiwać. Dochodzi już godzina 7 wieczór. Oczekujemy nie wiedząc na co, komisarz też oczekuje siedząc sam w swoim gabinecie. Zastanawiamy się co to ma być, bo tłumacz Kiepuł niczego jeszcze nie zwąchał. Wysuwamy przypuszczenie, że na oznaczona godzinę przyjedzie gestapo i nas wszystkich jak baranów zabierze. To chyba będzie coś innego pada zdanie któregoś z nas. Zabrać nas nie zabrają bo nie mają kim nas zastąpić. Wystraszony Tadzio Bobiński wymknął się na dwór, a było wówczas ciemno i wrócił pobladły. Co na dworze? - pytamy. Tadzio powiada, że tylko co wyszedł przed gminę, zaraz trafił na żandarmów, którzy go obmacali czy nie ma broni i kazali wrócić do biura. O... to już jest bardzo źle, kiedy przy budynku czuwają żandarmi, pilnują widać żeby który z nas nie zwał. Około godziny 8.00 czyli 20.00 zajechało przed gminę auto. Po chwili komisarz wprowadził do biura dwóch ubranych po cywilnemu osobników, którzy nic nie mówiąc przyglądali się każdemu z nas z osobna jakby rozpoznając lub zapamiętując nasze rysopisy. Po tej milczącej obserwacji osobnicy odjechali, a komisarz zwolnił nas do domu. Nie uległo naszej wątpliwości, że osobnikami tymi byli gestapowcy.

Wsypy i aresztowania

W dniu 3 grudnia 1943 roku jak grom uderzyła nas wiadomość, że aresztowani zostali przez żandarmerię Kazimierz Piechocki nauczyciel z Pabianic (mąż siostry mojej żony) zamieszkały u Ogonowskiego Władysława w Szelkowie Nowym i Piaseczny Aleksander „Makary” i osadzeni chyba na tym czasie w areszcie gminnym. Czasu do namysłu nie było wiele, bo następnego dnia aresztowani mogą być wywiezieni dalej.

W nocy członkowie podziemia wyłamali drzwi aresztu uwalniając aresztowanych. Z uwolnienia skorzystał Piaseczny, a Piechucki odmówił wyjścia z aresztu. Piechuckiego jeszcze w dzień przez okienko utrzymano w tym przekonaniu, że jego sprawa nie jest ważna, a przekonanie to nasunęła kucharka z posterunku żandarmerii Stasia Michalska wysiedlona z Pomorza i dobrze znająca język niemiecki. Michalską, komendant posterunku żandarmerii Pachner zapewnił, że Piechucki posądzony jest o nielegalne nauczanie dzieci i nic wielkiego mu za to nie grozi. Stasia Michalska przez okienko aresztu powiedziała Piechuckiemu o tym i uspokoiła go, dlatego to Piechucki wyjścia z aresztu odmówił nie chcąc po uwolnieniu ryzykować w tułaczce i kryciu się.

Rzeczywistość okazała się inna, bowiem obaj aresztowani zostali na podłożu politycznym

czego dowodem było wywiezienie Piechuckiego przez gestapo do więzienia w Płocku.

W odwet za ucieczkę z aresztu Aleksandra Piasecznego żandarmi aresztowali jego brata Stanisława.

Zastanawiałem się nad tym dlaczego Piechucki nie wyszedł z aresztu? Czyżby nie nęciła go wizja wolności? Piechucki obawiał się, że przez swoją ucieczkę z aresztu spowoduje represje na swoją rodzinę tj. żonę i dwóch synów, oraz ściągnie na siebie większe podejrzewania. W ten sposób chciał wykazać, że nie ma nic wspólnego z Piasecznym aresztowanym na podłożu politycznym. Stasię Michalską chytry żandarmi wprowadzili w błąd, ta jej interwencja i uspokojenie Piechuckiego zupełnie nie były potrzebne, gdyby nie to, wypadki potoczyłyby się możliwie inaczej a może gorzej, któż wie.

Przedemną stanęło wówczas pytanie czy jako szwagier Piechuckiego nie będę również podejrzany na tle politycznym. Żandarmi zaraz rano na wieść, że areszt został rozbity chodzili po podwórzu i wokół zabudowań badali ślady stóp, a ślady te były wyraźne na cienkiej powłoce śniegu, który nocą przyprószył ziemię. Węszyli za śladami wokół budynku szkolnego, w którym wówczas zamieszkiwałem. Z przeorności, wiedząc o tym, że w nocy nastąpi włamanie do aresztu, nie kazałem nikomu z rodziny wychodzić rano z mieszkania.

Żandarmi zauważyli tylko ślady stóp od mojego mieszkania do studni i z powrotem, a były to ślady stóp mojej żony, która rano czerpała rano wodę ze studni, poza tym żadnych innych śladów od mojego mieszkania nie znaleźli. Brak śladów od mojego mieszkania do aresztu niewątpliwie odsunął ode mnie podejrzewania tym bardziej, że szwagier pozostał w areszcie i z ucieczki nie skorzystał.

Po tym aresztowaniu należało się czekać następnych, bowiem jasnym było, że Niemcy są na tropie szelkowskiego podziemia. Wzmocniliśmy więc czujność i zawiesiliśmy działalność, kolportaż prasy itp., ograniczając się do spraw nie cierpiących zwłoki i związanych z bezpieczeństwem poszczególnych członków.

Drugi nalot aresztowań nastąpił 7 grudnia 1943 roku i zasięgiem swym objął już kilkanaście osób. Uderzenie wycelowane było w miejscowości, w której mieściła się siedziba komendy powiatowej PKP, a później po rozłamie N.S.Z. aresztowani zostali: Helena Batogowska razem z córkami Ireną i Leokadią, dwaj jej bracia Miłoszewscy, Dorocki Damian, sołtys Mróz Stanisław, Ogonowski Władysław, Milewski Leon, Tyminski Marian, poza tym z poza Szelkowa Nowego Sarnicki (stary i młody) ze Smrocka Władysław Skowroński, Prztrzyński Leon i jego siostra, Sęplowski i inni, a kto już nie pamiętam. W gronie aresztowanych znajdowali się tacy, którzy do organizacji nie należeli jak Ogonowski, stary Sarnicki, Mróz i Prztrzyńska. Aresztowany tym razem został również Żbikowski z Nowego Szelkowa, którego podejrzewaliśmy, że szpieguje.

Żbikowski małorolny gospodarz z Szelkowa Nowego pędził w swojej zagrodzie bimber i na tym procederze został przez żandarmów przyłapany. Dziwnym wówczas było dla każdego, że Żbikowski za bimbrownię nie poniósł żadnej kary, a po przetrzymaniu go na posterunku żandarmerii został puszczony wolno. Żbikowski niewątpliwie został urobiony na posterunku

żandarmerii na szpicla i donosił żandarmerii co się w Szelkowie dzieje, a miał o czym donosić, bo jak już w poprzednich ustępach wspomniałem w Szelkowie Nowym odbywały się często zakrapiane bimbrem odprawy organizacyjne w mieszkaniu Piasecznego i częste nocne „rodaków rozmowy” u Władysława Ogonowskiego, w których uczestniczył Piechucki i inni.

Pierwsze badania aresztowanych odbywały się na gestapo w Pułtusk. Trudno było się coś dowiedzieć; bowiem aresztowani byli tak izolowani, że żadna wieść tak od nich jak i do nich nie mogła się przedostać.

Marian Tyminski podczas badania wyrwał się z rąk gestapowców, poroztrzącał ich i nie bacząc na strzały za nim, wybiegł na ulicę, biegł przez miasto w białym posiniaczony i pokrwawiony, dobiegł do Narwi i rzucił się w nurty rzeki usiłując przepłynąć na drugą stronę. Czy przepłynął nie wiadomo. Jedne pogłoski mówiły, że przepłynął i ukrył się w nadbrzeżnych krzakach, drudzy mówili że ugodzony został strzałem i utonął. Tak czy inaczej od tej chwili Tyminski przepadł bez wieści, a więc podczas tej ucieczki zginął.

Nie przetrzymali tortur podczas badań i zmarli w więzieniu Dorocki Damian, Mróz Stanisław, Ogonowski Władysław i ktoś jeszcze. Resztę aresztowanych wywieźli do więzienia w Płocku, a niektórych do obozów koncentracyjnych. Od tamtego czasu musieliśmy zachowywać nadzwyczajną czujność i ostrożność, bo należało się spodziewać większej wyspy. Aresztowania zazwyczaj odbywały się nocą, toteż wiele nocy co do których zachodziły podejrzenia spędzałem poza domem, a ściślej mówiąc w szopkach, chlewach, stodółach itp. Zimowa pora nie sprzyjała w takich warunkach w utrzymaniu zdrowia, toteż później zapadłem na ciężki iszkas (zapalenie spłotu nerwowego). Niektórzy urządzali się w mieszkaniach w ten sposób, że na noc mieli pospuszczane haczyki u okien by w razie szturmowania do drzwi, mogli zwięzać oknem. Taki przypadek zdarzył się już nie pamiętam komu w Smrocku. Gestapo wchodząc w nocy do mieszkania pyta o potrzebnego im osobnika. Śpi w przyległej izbie odpowiada ktoś z domowników. Gestapo wchodząc do tej izby staje tylko otwarte okno. W drugim zaś miejscu, a zdaje mi się, że w Nowym Szelkowie, a było to w dzień, gestapo wchodząc do mieszkania styka się z kimś wychodzącym z mieszkania. Gestapowcy pytają czy tu mieszka taki a taki wymieniając nazwisko. Nie speszony ten wychodzący z mieszkania odpowiada: tak tu mieszka, ale teraz jest za stodołą u roboty, zaraz pójde i go zawołam. Gestapowcy nie doczekali się powrotu tego, który poszedł „go” zawołać; bowiem ten był nim właśnie. Dalej żyliśmy już w atmosferze strachu i ciągłej niepewności nie będąc pewni ani dnia ani godziny. Pocięszaliśmy się tylko sukcesami Armii Radzieckiej i tym, że może się to wszystko już niedługo skończy. W takiej atmosferze doczekaliśmy trzecich już na większą skalę aresztowań.

W marcu 1944 Amtskomisarz za pośrednictwem rozesłanych do niektórych sołtysów polecień, nakazał pewnego dnia stawienie się w godzinach wieczorowych kilkunastu podwód przed posterunkiem żandarmerii, a tłumaczowi Kiepułowi polecił dopilnowania tego.

Po co te podwoły? Nikt nie wie. Różne przypuszczenia snuły się po naszych głowach na ten temat. Bobińscy twierdzą że do aresztowań Niemcy używają ciężarowych samochodów z brezentami, że podwoły wyznaczone zostały do innych celów. Były przypuszczenia takie, że będą aresztowani. W każdym razie ustalimy pomiędzy sobą, że należy mieć się na baczności i uprzedzić o tym kogo tylko można w Szelkowie i okolicy. Pora na to była już późna. Ja zaproponowałem pannie Izce Popielarczykównie, żeby wyszła na Szelków i uprzedziła kogo tylko może o tych podwodach; bowiem po godzinach policyjnych postać dziewczyny, nie tak się rzuca w oczy (Popielarczykówna była wówczas pracowniczką gminy i mieszkała razem z moją rodziną).

Popielarczykówna z pewną obawą i strachem ruszyła porą nocną na Szelków zdołała ostrzec Wacława Karkowskiego zawodowego sierżanta W.P., który należał do naszej konspiracji. Karkowski nie dowierzał ościągając się z ukryciem i jak się później okazało ledwie zdążył się na czas z domu ulotnić. Gdy już podwoły stały przed posterunkiem, o północy zajechało przed posterunek gestapo zaczęły się aresztowania. Sygnały o tym co się dzieje na Szelkowie dawał nam Kiepuł, któremu komisarz nakazał oczekiwać przy furmankach. Żandarmi z gestapowcami według listy chodzili od domu do domu i wyciągali osobników z łóżek. Nie wszystkich wzięli, bo niektórzy mając dobry węch zdążyli się z mieszkań ulotnić. Bobińscy i Kamiński tak byli ufni w to, że aresztowań nie będzie i spokojnie sobie posnęli. Ja siedziałem w komórce.

Rano ze zgromadzenia dowiedzieliśmy się, że aresztowani zostali:

Bobiński Henryk NSZ
Bobiński Tadeusz NSZ
Kamiński Zygmunt PZP.
Zębek ze Smrocka PZP.
Rzepiński Władysław PZP
Miecznikowski - sołtys Orzycy i inni...

Tejże nocy aresztowani zostali w Różanie Żytowiecki, Chelstowski i inni, w Makowie Kacprzykowski Karol w Karniewie Owczarek i Kocięcki oraz wielu innych z terenu powiatu. Było to potężne uderzenie w nasze podziemie. Aresztowanych wiązano sznurami i kładziono na wozach jak trzode nie oszczędzając kopniaków i policzków.

Na resztki podziemia jak i na całą okolicę padł blady strach. Oczekiwaliśmy dalszej wyspy sądząc, że na tyłu aresztowanych, dalsza wyspa jest nieunikniona.

Z grona naszych pracowników gminnych zabrano trzech, a pozostawiono też trzech to jest mnie, Stanisława Karpińskiego, Mariana Piechotę, nie licząc Kiepuła i Ireny Popielarczykównę.

Siedzieliśmy jak mysz pod miotłą czekając na swoją kolej. Ustały już na Szelkowie "nocne rodaków rozmowy" to znaczy beztraskie dyskonty polityczne, pofolgowano też w niepotrzebnych spacerach i waleśnianiu się po okolicy i w picu bimbru. Nieraz ostrzegałem, nie zbierać się po domach, nie urządzać niepotrzebnych zebrań i pogawędek tak jak to zwykle bywało u Bobińskich, przytrzymywać języki za zębami, a nade wszystko skończyć z bimbrem. Należałem do konspiracji w I wojnie światowej a więc wiedziałem co może zdekonspirować organizację. Na nic się zdąży ów-

czesne moje przestrogi, uważany byłem za zbyt bojaźliwego, a oni za bohaterów. Uwaga ta odnosi się do Bobińskich, a oni zbyt pochopnie traktowali konspirację. Rodziny aresztowanych nawiedziła udręka oczekiwania na wyniki badań, niepewność co do losu uwięzionych. Kobiety wybierały się co pewien czas do Pułtusk, to z ciepłą odzieżą to z żywnością i wystawały bezskutecznie pod murami więzienia. Przynosiły wieści, że więźniowie są w nieludzki sposób traktowani. Sięgano do różnych sposobów i forteli by coś niecoś dowiedzieć się a szczególnie czy uwięzieni śpią i kogo. Żonie Władysława Skowrońskiego udało się kilka słów zamienić z mężem na chwilowym i dobrze opłaconym widzeniu. Przez żonę swą Skowroński zapewnił, że moje nazwisko dotychczas jeszcze nie padło na zeznaniach, że mężnie tortury znosi i nikogo nie wydaje Zygmunt Kamiński. Sarnicki, a też i inni, natomiast nie może nic powiedzieć na temat Bobińskich i innych. To zapewnienie pokrzepiło mnie trochę na duchu, może nie wpadłem pomyślałem i da się to wszystko przetrzymać.

W Pułtusk prawie co drugi dzień bywała samolubna pani Bobińska żona Henryka, którą obchodził tylko jej mąż, a szczególnie jej Kochany synek Tadzio. Waleśała się przy więzieniu i siedzibie gestapo i molestując, narzucała się każdemu Niemcowi ze strażnicy więziennej lub gestapo, błagając o uwolnienie jej synka jako niewinnego chłopaka. Podziemie w Pułtusk dawało znać do Szelkowa, ażeby tej pani nie puszczać do Pułtusk bo w swej głupocie ciągniona za język może przysporzyć większego nieszczęścia. Skamianie Bobińskiej pod więzieniem i gestapo było dla Pułtuszczan już wstrętne.

Po jakimś czasie badań w Pułtusk wszyscy aresztowani wywiezieni zostali do więzienia w Płocku.

W tym dniu, kiedy aresztowanych w Szelkowie odwieziono do Pułtusk, Komisarz Faust przyglądając się nam pozostałym w gminie pracownikom powiedział: Wy miejcie się teraz na baczności i uważajcie byście nie podzielili losu tamtych. Jesteście naiwni, wam się zdaje, że my nie wiemy o waszej tajnej organizacji, myślicie, że niemiecka policja jest tak nieudolna, że nie potrafi was wykryć. Grubo się mylicie, a ja wam radzę od razu się do wszystkiego przyznać. Kiedy ten sap ratą swoją reprimendę do nas wygłaszał, robiliśmy miny niewiniątek dając pozory, że o niczym nie wiemy, ale dreszczyk strachu nieprzyjemnie łaskotał po kościach.

Niedługo weszli do biura gminy żandarmi z miejscowego posterunku, którzy odwodzili do Pułtusk aresztowanych, a był też wśród nich komendant posterunku Austriak Pachner. Gdy komisarz przed którym żandarmi czuli duży respekt wyszedł z biura, żandarmi grzejąc się przy piecu wszczęli pogawędkę. Jeden z nich Volksdeutsch Dobensztajn odzywa się do nas w te słowa: Myśmy o wszystkim już od dawna wiedzieli. Widzieliśmy raz przez nieprysłonięte dokładnie okna jak u Batogowskiej siedział przy stole jakiś gość a przed nim na stole leżał rewolwer. Nie chcieliśmy go wówczas płoszyć bo wywiązałyby się walka, woleliśmy poczekać i obserwować dalej. Bywaliśmy też pod oknami u Bobińskich i innych widywaliśmy wasze zebrańia. Nie możecie więc mieć do nas pretensji, że wasi koledzy zostali

aresztowani, bo sami włożyli nam w ręce. Dobensztajnowi potakiwali inni żandarmi. Dobensztajn pod moim adresem powiedział: Jo... pan Sikora to pewnie przetrzyma wojnę, bo jest ostrożny, niech się pan tak dalej trzyma żebyśmy nie mieli dowodu przeciw panu. Zdumiony byłem tą wypowiedzią polskiego Niemca, a w duchu pomyślałem: czyżby tym powiedzeniem chciał mnie uprzedzić, że w ich mniemaniu też jestem konspiratorem, czy jest to zwykłe głędzenie.

Zastanowiło mnie też to, że komendant Pachner, który nie rozumiał po polsku przez cały czas głędzenia Dobensztajna w zamyśleniu mnie się przyglądał, wreszcie pokławał głową i wyszedł. O czym ten Antoniak myślał, nie wiem.

Powiązałem zamiar ulotnienia się z Szelkowa mając lewą legitymację na nazwisko Zygmunta Grodzkiego, lecz temu zamiarowi stanęła moja choroba iszjaszu.

Nieznośny ból targał mi nerw od biodra wzdłuż nogi do pięty. Choroba powaliła mnie na łóżko. W Szelkowie nie było lekarza, a do Makowa gdzie było skupisko Niemców nie było po co jechać, wreszcie skuteczne lekarstwa były „Nur für Deutsche”. To też leczyłem się u naszego szefa służby zdrowia w Gnojnie chorążego Kwiatkowskiego, który tam uprawiał praktykę lekarską. Jemu też zawdzięczam, że zostałem coś niecoś wyleczony i mogłem już kuśtykać o lasce po mieszkaniu. Komisarz podczas choroby odwiedzał mnie kilkakrotnie w mieszkaniu sprawdzając zapewne czy nie uciekłem. Po jakimś czasie zakuśtykałem się do biura i wznowiłem pracę odrabiając znaczne zaległości.

Po aresztowaniu, żandarmeria w dalszym ciągu penetrowała zawsze teren gminy, a w terenie m.in. ukrywali się spaleni konspiratorzy z NSZ Nowak i Krasucki i dawny komendant PZP, a później NSZ Piaseczny Aleksander „Makary”. Przed ostatnim aresztowaniem jeszcze, czy też już po ostatnich aresztowaniach, tego już nie pamiętam nastąpił w Cepielewie, okryty do dziś jeszcze tajemnicą mord Konikiewiczów, to jest ojca i syna. Jacyś osobnicy przybyli nocą do mieszkania Konikiewiczów wyciągnęli z łóżek ojca i syna, wyprowadzili poza wieś i zastrzelili.

To zdarzenie było na okolicę wstrząsem i zagadką do rozwiązania dla żandarmerii. Różne kursowały o tym szeptane pogłoski. Jedno, że niewinni, inne, że wykonany za zdradę wyrok itp., wreszcie pogłoski pod wpływem jakichś ostrzeżeń, ażeby o tym dużo nie gadać, przycichły.

Żandarmeria penetrując teren natknęła się na ukrytych w zbożu i uzbrojonych- Nowaka i Krasuckiego. Nowak i Krasucki uciekając ostrzeliwali się i niestety żadnej krzywdy swoim ostrzeliwaniem się żandarmom nie uczynili, a sami od celniejszych strzałów żandarmów polegli. Tak po głupiemu oddali swoje życie.

Podobnie jak i oni zginął Aleksander Piaseczny „Makary” w Szwelicach. Jak ówczesne wieści głosiły Piaseczny wraz ze swym kompanem, a kto to był nie wiem wyszli z ukrycia i podążyli do mieszkania jednego z tamtejszych gospodarzy, zaproszeni na uroczystość rodzinną tego gospodarza zdaje się chrzciny. Gdy „Makary” tak sobie wśród gości siedział za stołem biesiadnym, przed dom zajęchali tamtejsi żandarmi na rowerach. W chwili, kiedy żan-

darmi wchodzili do izby, a być może tylko po to, ażeby sobie popić, bo zwabił ich gwar biesiadnych rozmów „Makary” wyprysnął przez okno, zadekował się w chlewie i ostrzeliwując się uciekł. Niestety, celniejsze strzały żandarmerii dosięgły go. Tak zginął dobry patriota i organizator podziemia. Aleksander Piaseczny „Makary” jemu to poświęcę oddzielny artykuł moich wspomnień.

Mniej więcej w tym czasie kiedy opisywane wypadki się rozgrywały, aresztowani zostali, nie wiem na jakim podłożu czterej synowie ówczesnego sołtysa wsi Ciepielewo Aleksandra Łaski. Najstarszy był już żonaty, a najmłodszy liczył kilkanaście lat. Wszyscy czterej synowie Łaski zostali zamordowani przez gestapowców w Pomiechówku.

Tadeusz Bobiński i inni wracają z więzienia.

Wspomnieć tu należy o krewnych Bobińskiego Pszczółkowskich z Ostrołki. Pszczółkowski był szwagrem Starogo (Henryka) Bobińskiego, bowiem miał jego siostrę za żonę. Przed wojną młody Pszczółkowiak przyjeżdżał na wakacje do wujostwa w Szelkowie, był uczniem gimnazjalnym tak jak i syn Bobińskiego Tadzio.

Tenże młody Pszczółkowski (imienia nie znam), kiedy Tadzio Bobiński siedział w niemieckim więzieniu w Płocku, zjawił się jednego razu w Szelkowie i to nie tak jak inni młodzieńcy z plecakiem i torbą na żywność, ubrani na lichy z przystosowaniem się do pieszej podróży, jakie widziało się często na wsiach w poszukiwaniu żywności, lecz młody pan Pszczółkowski zajeżdżał przed naszą gminę limuzyną Landrata z Makowa elegancko ubrany z oznaką hitlerowską na klapie marynarki. Ten młody adept hitlerowskiego reżimu chciał się widzieć z komisarzem, ale go nie zastał i pojechał zdaje się w odwiedziny do swojej ciotki Bobińskiej. Taką relację zdali mi gminni, bowiem w tym czasie przebywałem w mieszkaniu cierpiąc na isziasz (ischias). Zdziwieni pracownicy wraz ze mną powiadający, ach to tak jest. Pani Bobińska nie wskórała nic swoim skamlaniem pod murami więzienia i gestapo w Pułtusku i zwróciła się do niewątpliwie volksdeutschalej rodziny Pszczółkowskich w Ostrołęce o pomoc, młody Pszczółkowski już działa. Rozmawiając o tym, przypominałem sobie jak to na kilka lat przed wojną Żandarmeria Wojskowa (polska) przesłuchiwała mojego wówczas pomocnika Henryka Bobińskiego, ale na jakie okoliczności Bobiński mi tego nie chciał ujawnić (przesłuchiwanie było sam na sam z Bobińskim). Po jakimś czasie wpadła mi w oczy w prasie wzmianka, że jakiś Pszczółkowski został na mocy wyroku sądowego powieszony za działalność szpiegowską na rzecz Niemiec. Pszczółkowskich jest wielu w Polsce, toteż nie zastanawiałem się więcej nad tą wiadomością.

Dziś jednak, a właściwie wówczas (podczas okupacji) domyślałem się, że to może być ten szwagier Bobińskiego, a stąd nie dziwota, że młody Pszczółkowski tak jak i jego tatuś musieli być Niemcami lub zwyrodniałymi Polakami. Po upływie jakiegoś czasu od tej bytności młodego Pszczółkowskiego w naszej gminie komisarz Faust ironicznie i z zadowoleniem mówi do nas pracowników w biurze „Teraz powinniście się cieszyć, będziecie mieli plecy, bo pan Tadeusz Bobiński jest funkcjonariuszem naszego gestapo, a przede wszystkim Niemcem, dziś lub jutro przyjdzie do Szelkowa

i będzie na tym terenie pracował, powinniście go przywitać. Kogoś mogła ta wiadomość zważyć z nóg, ja w duchu pomyślałem: to przecież mogło być do przewidzenia, kiedy pani Bobińska, kiedyś do kogoś wyraziła się, że choćby po trupach, ale syna swego musi wyrwać z więzienia.

Na drugi dzień po południu istotnie Tadzio Bobiński wysiadł przed posterunkiem żandarmerii z autobusu „Nur für Deutsche”. Na powitanie nowego adepta gestapo wylegli wszyscy żandarmi, był też komisarz i o dziwo i zgrozo, wręczając Tadziovi bukiet kwiatów witali go Stasio Karpiński i Irena Popielarczykówna - pracownicy gminni. To niewątpliwie był z ich strony gest z ramienia NSZ by sobie zaskarbić łaski. Gazetki NSZ już wówczas głosiły, że wrogiem Polski No.1 jest Związek Radziecki.

Czerwona Armia szybkim już krokiem wyzwała wówczas wschodnie tereny Polski. W tym zdaje mi się czasie na mocy ogólnych postanowień nastąpiło połączenie PZP. z NSZ w jedną organizację pod znakiem AK. Szczegółów w tej sprawie nie znam.

Zjawienie się T. Bobińskiego w nowej roli wywoływało u członków podziemia zgrzytanie zębami i postanowienia rozrachunku. Tadzio otrzymał od swych nowych władz zwierzchnich miesięczny urlop wypoczynkowy dla poratowania nadszarpniętego w więzieniu zdrowia, zamknął się w domu unikając wzroku ludzkiego. Mimo takiego zabezpieczenia się jacyś członkowie, którzy tułali się po lasach, złożyli mu pewnego dnia nocną wizytę i przykładając rewolwer do skroni kazali się wypowiedzieć z nimi czy z Niemcami. Jak tę wizytę przeszedł Tadzio i czy musiała nie błągała przybyłych o litość nie wiem, wiem tylko, że Tadzio zniknął z Szelkowa i stał się „chłopcem z lasu”. Jaki to był „oddział partyzancki”, w którym Tadzio miał się znajdować, nie wiem.

Równocześnie ze zwolnieniem z więzienia Tadzia Bobińskiego wróciły też do domu aresztowana Batogowska Irena i Żbikowski (ów, co szpiclował) o których nic ciekawego nie wiem.

W czasie gdy urlop Tadzia się kończył, zwycięskie wojska radzieckie zdobywały przedmieścia Warszawy, a w naszych stronach twar-do stanęły na linii Narwi.

Stary Bobiński (ojciec Tadzia) „Pan z pana Bobiński z Bobina” jak często o sobie mówił, siedział nadal w więzieniu w Płocku, bo rogata w nim polska „ślachecka dusza” nie dała się swojej małżonce namówić do pójścia śladem syna. Zresztą stary Bobiński znany był powszechnie jako dobry Polak i patriota i nikt przeciwko niemu żadnych zarzutów dziś nie ma.

Koniec okupacji i wyzwolenie

W sierpniu 1944 r. Szelków i okolice zamieniły się w olbrzymie zbiorowisko ludzi, zwierząt, pojazdów, maszyn, czołgów, armat itd. Spędzani do kopania okopów ludzie z odległych stron koczowali przez noc w stodołach, szopach i odrutowanych pracach, zamykani też byli w kościołach. Obserwujemy coraz to większe kolumny samochodów wojskowych,

czołgów, armat przesuwających się w różne strony. Drogi ze wschodu na zachód wyglądają jak wezbrane rzeki tłumów ludzkich, maszyn i sprzętu, wojska, oddziałów własowców jeńców radzieckich, ewakuujących się Niemców i różnych uciekinierów. Szelków w tym wszystkim wygląda jak wrzący kocioł. Nie ma tu mowy o jakichkolwiek kontaktach organizacyjnych to też odnoszę wrażenie, że resztki podziemia rozlały się.

W dniu 4 września 1944 r. po pierwszych bombardowaniach Szelkowa przez radzieckie samoloty porzucam moje miejsce pracy w Amtsberinku i więję wraz z rodziną do lasu, szukając schronienia przed przymusową ewakuacją wraz z urzędem na zachód. W tym czasie o czym mi doniósł ówczesny sołtys wsi Smrock i członek podziemia Władysław Rzepiński poszukiwany byłem przez żandarmerię i gestapo. Po spędzeniu kilku tygodni pod frontem (na koloniach Smrocka) przedostałem się przez front na stronę radziecką, skąd po czasowym pobycie w Drodzowie ewakuowany zostałem przez wojskowe władze radzieckie do strefy pozafrontowej, to jest do Poręby w powiecie Ostrow Mazowiecka. Będąc w Ostrowi, zetknąłem się z Tadeuszem Bobińskim, gdy chciałem ze mną rozmawiać, odwróciłem się od niego.

Nie będę tu opisywał szczegółów pobytu mojego pod frontem, ewakuacji pozafrontowej, które acz ciekawe stanowią osobiste przeżycia i nie wiążą się ze sprawami podziemia, wspomnę tu jeszcze o Tadeuszu Bobińskim. Tenże filar miejscowego NSZ zgłosił się na ochotnika do Wojska Polskiego, dostał się do KBW, gdzie dosłużył się stopnia kapitana. Przeszłość jego z czasów okupacji została jednak ujawniona, został wydalony z wojska i sądzony przez Sąd Okręgowy w Warszawie. Byłem dwudziestym którymś świadkiem na tej sprawie sądowej. Przewód sądowy jednak nie stwierdził jego działalności jako agenta gestapo (nie miał już czasu na to; bowiem front szybko przybliżył się, wreszcie poszedł do „lasu”). Nie mniej jednak zasądzony został na 3 lata więzienia z pozbawieniem praw na jakiś czas. Obecnie jest jakimś pracownikiem umysłowym na wyższym stanowisku.

Przypomina mi się tu Antoni Wilhelm Guckler nauczyciel z Ciepiewa, który w początkach okupacji piastował stanowisko Sekretarz gminnego w Szelkowie. Ten ober sekretarz Antoni Wilhelm Guckler za nadużycia finansowe skazany został przez Sąd niemiecki na 3 lata. Z więzienia złożył podanie do władz niemieckich o przyjęcie go na łono niemieckiej macierzy, gdyż zawsze czuł się Niemcem i jako taki był przez Polaków prześladowany. Po uwzględnieniu jego podania Guckler jako pracowity Niemiec powiększył sobą szeregi Wehrmachtu, następnie jako nie bardzo waleczny, a broniący własnej skóry wykiwał Fuhrera i dostał się do niewoli angielskiej skąd jako wierny Polak zjawił się w szeregach wojskowych formacji polskich będących pod dowództwem generała Andersa, gdzie przebywał w stopniu porucznika pod nazwiskiem „Ciepielewiak”. To się nazywa zmienianie rękawiczek w zależności od koniunktury od kuda wietr duje, a gdzie Honor Polaka i godność osobista?

Kończąc te wspomnienia myślę nad tem, czym może się pocieszyć podziemie Szelkowa i okolicy w walce z wrogiem i dochodzę do tego, że z rąk konspiratorów nie zginął ani jeden Niemiec, a z rąk wysp zginęło wielu Polaków. Przyczyną tego, że AK na terenie powiatu nie przejawiała żadnej walki zbrojnej z okupantem, był rozłam w organizacjach podziemnych dokonany przez Nakoniecznikoff-Klukowskiego („Gryfa”, „Wuja”) wsypy i aresztowania przez to ostateczne rozbiście podziemia. Od pozostałych resztek podziemia nie wychodziła inicjatywa walki zbrojnej, nie było komu jakąś akcją pokierować. Nie wiem jak było w innych rejonach powiatu, ja wspominam tu tylko Szelków i okolicę.

Szelkowskie podziemie, a ściślej grupa pracowników gminnych poszczycić się może następującą akcją sabotażową w czasie okupacji:

a) podstępne zdobycie od żandarmów blakietów tymczasowych dowodów tożsamości (placówek) i zaopatrywanie w nie zbiegów z Warszawy i „Spalonych” członków podziemia i innych poszukiwanych przez władzę niemieckie;

b) fabrykowanie różnych dokumentów potrzebnych podejrzanym i poszukiwanym, fałszowanie podpisów komisarza na bekszszajnach, przepustkach, kartach rowerowych itp. i zaopatrywanie w nie miejscowej ludności;

c) rozpowszechnianie prasy podziemnej i podtrzymywanie społeczeństwa na duchu;

d) ułatwienie młodzieży ucieczki z transportów tejeż młodzieży wywożonej na przymusowe roboty do Niemiec;

e) uwolnienie z aresztu poszukiwanego przez gestapo Kazimierza Gawrońskiego, inspektora samorządu gminnego w Ostrołęce, późniejszego już w wyzwolonej Polsce naczelnika wydziału samorządu w województwie warszawskim;

f) i wiele różnych drobnych akcji sabotażowych. O niektórych akcjach spiszę oddzielne wspomnienia, bowiem akcje te obfitowały w ciekawe nieraz wydarzenia.

Wspomnienia te zatytułowane będą:

1) Placówki

2) Becukszajny i Fahnkarty

3) Żandarm Heindreich i uwolnienie Gawrońskiego, poza tym ciekawe będą wspomnienia p.t. „Dwaj Radomscy” i inne.

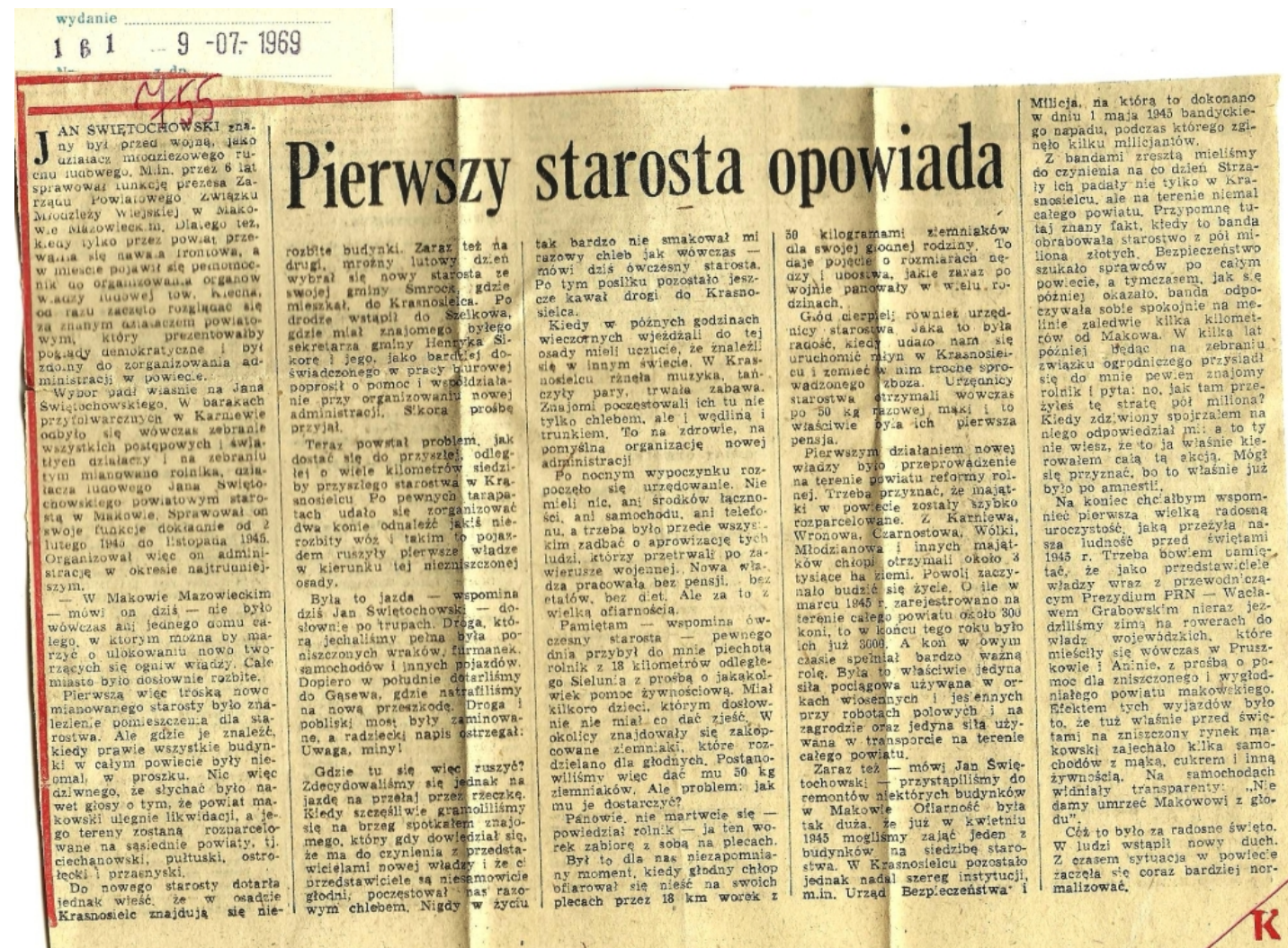
Na tym wspomnienia kończę, które być może nie są wyczerpujące, a mogą być poprawione lub uzupełnione przez współtowarzyszy konspiracji.

Henryk Sikora

Od Redaktora wydania:

Jako zapowiedź kontynuacji druku dalszych wspomnień Henryka Sikory, zamieszczam poniżej artykuł opublikowany w mazowieckiej gazecie w latach 60-tych, autorstwa pierwszego starosty makowskiego - Jana Świętochowskiego, który tworzył starostwo wspólnie z naszym Henrykiem. Tekst artykułu otrzymany dzięki uprzejmości Pana Krzysztofa Kacprzyckiego.

Stawomir Rutkowski





Wczesnośredniowieczny kompleks osadniczy w Sypniewie

część 1: Historia badań archeologicznych

Paweł WŁODARSKI

Sypniewo to miejscowość gminna w powiecie makowskim, o czym wszyscy, mieszkańcy gminy Krasnosielc, doskonale wiemy. Bez większych problemów potrafimy coś o niej powiedzieć, szczególnie o jej historii współczesnej. Natomiast przy zapytaniu o bardziej odległą przeszłość wielu z nas miałoby problemy z udzieleniem jakiegokolwiek odpowiedzi.

Tymczasem ok. 2 km na zachód od Sypniewa znajduje się niezwykle stary i cenny relikw o wielkim znaczeniu dla dziejów (nie tylko) naszego regionu. Jest to grodzisko wraz z położonymi w jego pobliżu osadami otwartymi i cmentarzyskiem szkieletowym, które liczy sobie ponad 1000 lat istnienia. Tak więc wiele wskazuje na to, że miejsce to pamięta jeszcze czasy sprzed sformowania państwa polskiego. Ten obiekt archeologiczny jest w stanie wiele wyjaśnić nam o życiu mieszkańców tego regionu w tamtym okresie. Wiedza na ten temat została jednak na długi czas pokryta piaskiem, spod którego na nowo wydobyli ją archeolodzy.

Poniżej prezentuję historię „odzyskiwania” tych informacji, licząc, że w najbliższym czasie uda mi się przybliżyć już samą wiedzę związaną z tym tematem.

Prace weryfikacyjne – 1959 r.

Pierwszymi pracami, jakie przeprowadzili archeolodzy na tymże stanowisku były prace weryfikacyjne, które odbyły się w roku 1959. Wykonali je pracownicy Zakładu Atlasu Archeologicznego Instytutu Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk (IHKM PAN). W trakcie tych prac do kompleksu osadniczego oprócz znanego wcześniej grodziska dołączono cmentarzysko szkieletowe oraz osadę podgrodową.

Wykopalka – 1959-1964 r. Prace mileijne

Zasadnicze prace wykopaliskowe rozpoczęły się w tym samym roku. Zaczęto badania od najbardziej zniszczonej części cmentarzyska. Dalsze badania objęły także osadę podgrodową i grodzisko (na grodzisku prace wykopaliskowe rozpoczęto w 1961 r.).

Cmentarzysko badano do roku 1964. W trakcie prac wykopaliskowych kierowanych przez mgr. Irenę Górską przebadano metodą archeologiczną 830 grobów. Wiele pochówków było zniszczonych wskutek rolniczego wykorzystania terenu cmentarzyska.

Równolegle do badań prowadzonych na cmentarzysku odbywały się wykopaliska na terenie grodziska i osad przygrodowych, przy czym badania osad prowadzone były sondażowo, tj. poprzez założenie kilku wykopów o niewielkiej powierzchni.

W trakcie wykopalisk przebadano 410 m² powierzchni grodziska. Wykop I usytuowano



Sypniewo. Wewnątrz czerwonego kwadratu grodzisko. Źródło: <https://maps.google.pl/maps>

na majdanie grodziska, miejscu gdzie znajdowały się siedziby jego mieszkańców, odciętych od świata przy pomocy wału grodziska. Wykop ten obejmował niemal $\frac{3}{4}$ powierzchni majdanu.

Wykop II przecinał wał i fosę. Przylegał on do wykopu I od strony wschodniej, miał 24 m długości i dochodził do 4 m szerokości. Takie usytuowanie wykopu pozwoliło badaczom na ustalenie konstrukcji w jakiej wzniesiono wał i jego umocnienia.

Kolejny, wykop III poprowadzono na południe. Dzięki niemu możliwe było zbadanie umocnionego podgrodzia. Długość tego wykopu wyniosła 53 m przy 2 m szerokości.

Teren cmentarzyska, i znajdującej się pod nim osady, został objęty wykopem IV. Wykop ten posiadał 2400 m².

Badanie te włączone były do badań milenijnych, związanych ze zbliżającymi się wówczas obchodami Tysiąclecia Państwa Polskiego. W tamtym czasie przebadano wiele różnego typu stanowisk związanych z okresem wczesnego średniowiecza i początkami Polski. W trakcie tych badań pozyskano ogromne ilości cennego materiału zabytkowego, przede wszystkim była to ceramika, także duże ilości kości.

Wykopalka – 1983-1988 r. Wykopalka ratunkowa

Po niemal dwudziestu latach od zakończenia wykopalisk Wojewódzki Konserwator Zabytków w Ostrołęce zlecił kontynuację badań. Powodem były prace rolnicze stale niszczące nieprzebadaną jeszcze część cmentarzyska. Prace prowadzono zarówno na cmentarzysku jak i na osadzie „Portyka”, ze względu na współwystępowanie grobów jak i obiektów mieszkalnych i gospodarczych należących do osady.

W trakcie tych wykopalisk przebadano 875 m² i wyeksplorowano 493 groby szkieletowe, które datuje się na XII-XIII w. oraz na wiek XIV-XVII.

Publikacje

Niestety, przez bardzo długi czas badania wczesnośredniowiecznego mikroregionu osadniczego nie doczekały się solidnej publikacji. W latach 60. i 70. były to krótkie sprawozdania autorstwa Ireny Górskiej. Podstawowe informacje o grodzisku znajdowały się także w opracowaniach encyklopedycznych (np. w Mapie grodzisk w Polsce, 1964).

Dopiero w roku 2006 ukazała się szeroka publikacja poddająca głębokiej analizie materiał odnaleziony na stanowisku. Takie opracowanie możliwe było dzięki współpracy z Niemcami, dokładniej rzecz ujmując, za pomocą stypendium jakie otrzymał Felix Biermann.

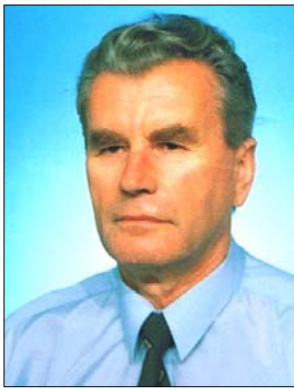
Bibliografia

Biermann Felix, Sypniewo. Wczesnośredniowieczny kompleks osadniczy na północnym Mazowszu. Obiekty, zabytki i ich interpretacja. IAI PAN, Warszawa 2006.

Chmielewski Waldemar, Kurpiowszczyzna. Identyfikacja – Odmienność. Ostrołęckie Towarzystwo Naukowe im. Adama Chętnika, Ostrołęka 2000.

Paweł Włodarski /Karolewo/

Od Redakcji: Paweł Włodarski studiuje obecnie na Wydziale Archeologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.



Wspomnienia

Zdzisław JABŁONOWSKI

Urodziłem się na wsi mazowieckiej w Napiórkach Ładnych pow. Maków. Była w tym czasie bardzo mroźna zima, 25 lutego 1933 r. Z opowiadań taty wiem, że gdy już pilno mi było wyjść na ten świat, to chciał pospieszyć zaprzęgnąć konie i jechać po wiejską akuszerkę (około 800 m). A że była to noc i silna zawaiewa śnieżna pomyślał, nie nim odśnieży bramę i zaprzęgnie konie, to może prędzej zajdzie pieszo i tak zrobił. Akuszerka była już starszą panią i nie bardzo chciała chodzić pieszo, więc powiedział jej, że przyjechał saniami, ale konie uwiązał w zaciszu pod lasem. Poszli, więc pod las i szukali koni, ale tata mówił, że chyba jeszcze trochę dalej, potem powiedział, że musiały uciec i tak doprowadził panią Konopińską (akuszerkę) do domu i wszystko się dobrze skończyło.

Lata dziecięce spędziłem przy rodzicach na gospodarstwie. Miałem dwie siostry, starsza o 5 lat miała na imię Kazia, a druga to Halinka, która była o 2 lata starsza ode mnie. Siostry potem chodziły do szkoły, a ja bawiłem się z dziećmi sąsiadów. Jak mamy nie było w domu to pilnowałem ogrodu, gdzie rosły ogórki i inne warzywa. Pamiętam, że pewnego razu bawiłem się przy naszym ogródku. Przyszedł do mnie kolega Zygmunt Siennicki i bawiliśmy się razem. Przyszedł potem także jego ojciec i pyta, czy moja mama jest w domu, a jak odpowiedziałem, że nie ma, to on mówi: „Popilnujecie, czy nie będzie szła, a ja urwę trochę ogórków w waszym ogrodzie”. No i ja się na to zgodziłem. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że ten sąsiad był koniokradem i miał wyroki sądowe za kradzież koni w innych miejscowościach. Potem, gdy już miałem 5-6 lat to często pomagałem rodzicom wypędzać na pastwisko krowy, cieleta i owce. Bawiłem się też z kolegami w różne zabawy, a najczęściej jazdę fajerką po ścieżkach. Lubiłem też trzymać za lejce konie, gdy jechaliśmy na pole czy nawet do Różana - też mi tatuś dawał powozić. Pamiętam, że zawsze mieliśmy piękne konie i często małe żrebaki.

Do szkoły jeszcze nie chodziłem i tak czas przeleciał do sierpnia 1939 r. Już 31 sierpnia 1939 r. słyszałem jak tata mówił, że może być wojna z Niemcami. Następnego dnia, tj., 1 września z rana tata dostał kartę powołania do rezerwy a już po godzinie podjechał konwój z rezerwistami. Miał dołączyć do niego tata. Gdy siadał na wóz, zmarła moja babcia na atak serca - mama mojej mamy - Marcelina Napiórkowska. Konwój z rezerwistami trochę zaczekał. Tata zamknął babci oczy. Potem w wielkim żalu, płaczu i krzyku pożegnaliśmy naszego tatusia, który odjechał na zgrupowanie jednostki. My zostaliśmy ze zmarłą babcią i z bo-



Zdzisław Jabłonowski, ...

jażnią, że Niemcy idą, że już przekroczyli granice, że są już za Mławą.

Wieść o wojnie i o naszej zmarłej babci szybko rozeszła się po wsi, zaraz przyszli do nas dobrzy ludzie, a między innymi Józef Napiórkowski, który trudnił się stolarstwem, zrobił natychmiast prowizoryczną trumnę i 3-go września zawieziono babcię na cmentarz w Różanie. Następne dwa dni były przygotowaniem do ucieczki przed Niemcami do lasu.



Zdzisław Jabłonowski, koniec lat 40-tych.

Mieliśmy załadowany wóz różnymi rzeczami domowymi, również żywnością. Do wozu były uwiązane dwie krowy, a trzy krowy i owce szły za wozem luzem. Ja mając w tym czasie 6,5 roku kierowałem końmi, a mama i dwie siostry popędzały rogaciznę za wozem. W lesie prze-nocowaliśmy jedną noc słysząc strzelaninę i wybuchy bomb z kierunku Różana. Rano Mamusia z sąsiadką Chrzanowską poszły pod miejscowość Boruty, żeby przynieść wody od rolnika mieszkającego bliżej lasu. Nabrały ze studni wody i miały wracać do lasu, gdy usłyszały „halt!” i zobaczyły niemieckich żołnierzy. Niemcy podeszli do kobiet i chcieli dowody tożsamości, ale one nie miały ze sobą, więc Niemcy je zamknęli do takiego chlewika. Jeden żołnierz pilnował, a drugi gdzieś poszedł. Po godzinie wrócił z żołnierzem, który mówił po polsku i drugim, ich przełożonym. Po 1,5 godz. mama i Chrzanowska przestraszone wróciły do naszych wozów z wodą.

Nad lasem przeleciało kilka samolotów. Potem na leśnej drodze zobaczyliśmy, że Niemcy uzbrojeni w ręczne karabiny przedzierają się w poprzek drogi i już są na naszych tyłach. Od strony Różana nadal było słychać strzały artyleryjskie i wybuchy bomb samolotowych. Nad kolejny raz przeleciały 2 samoloty. Zrobił się popłoch, po chwili przybiegł do nas sąsiad - Stefan Chrzanowski - i woła: „Zbierajcie się! Wracamy do domu, bo Niemcy są już w lesie i nakazują wracać”. Mieliśmy wszystko przygotowane, więc wracamy. Po przejechaniu około 200 metrów słuchać było strzały z ręcznych karabinów i w tym czasie padła na ziemię moja siostra Kazia. Ja zatrzymałem konie. Mamusia z Halinką wołają, że Kazia jest ranna. Nad nami znowu przeleciał dymiący i spadający samolot a nad nim leciał i strzelał drugi samolot. Ten pierwszy spadł na ziemię. Zobaczyliśmy biegnących żołnierzy niemieckich w stronę rozbitego samolotu, ale gdy zobaczyli leżącą na ziemi naszą ranną Kazię to podbiegli do nas. Zobaczyli krew, więc ją częściowo rozebrali i trzymali, a za chwilę pojawił się sanitariusz. Zabandażował wokoło jej brzuch, a z naszego wozu zrzucano większość rzeczy, na dół położono pierzyny, potem na to ranną Kazię. Jeden z żołnierzy odebrał mi lejce. Na wóz wsiadła Mamusia, jeszcze jeden żołnierz i ja, i popędziliśmy w stronę Napiórk. Tam stał samochód sanitarny, włożyli, więc Kazię i razem z mamusią pojechali do szpitala. Ale po trzech godzinach wrócili z niezżyjącą już Kazią i bolejącą i łkającą z żalu mamusią. Był to 7 września 1939 r.

Żołnierze niemieccy, którzy byli w lesie i przy samochodzie sanitarnym myślę, że pochodzili z Prus Wschodnich, bo między sobą rozmawiali po niemiecku, a z nami trochę łamaną polszczyzną. Niemcy odeszli, a my po siedmiu dniach, tym razem już tylko w trójkę, tzn., Mamusia, Halinka i ja zostaliśmy w wielkim smutku i płaczu z naszą nieżyjącą już Kazią. Front na Narwi między Różanem a Pułtuskim stał dalej i nie można było poza Napiórkami się poruszać. Postanowiono pochować Kazię pod figurą. Znowu przyszedł do nas Józef Napiórkowski, a z nim Paweł Napiórkowski i Aleksander Gosiewski i chcieli coś pomóc, aby godnie pochować ciało. Józef i Paweł zajęli się wykonaniem trumny, a Jan Ponikiewski i Aleksander pomagali w stajni, oborze i na podwórku. Gdy trumna była już gotowa, to przynieśli do mieszkania, ułożyli ciało, a wieczorem przyszli na podwórko chyba wszyscy mieszkańcy Napiórk. Część z nich weszła do mieszkania, ale większość stała na dworze i wspólnie z prowadzącymi odmawiali różaniec, modlitwy żałobne i śpiewali. Następnego dnia sąsiedzi wykopali dół przy wspomnianej figurze i tam zostało tymczasowo pochowane ciało naszej kochanej siostrzyczki. Przychodziliśmy potem tu codziennie i modliliśmy się ze wzruszeniem i płaczem.

Ale w domu i gospodarstwie też trzeba było coś robić. Wspólnie - mamusia, Halina i ja, wypędzaliśmy bydło na pastwisko, karmiliśmy konie i świnię. Konie często brali od nas rolnicy i uprawiali swoje pola, a i nasze też uprawiali. Tej jesieni nie było już dla mnie czasu na zabawy, ani na fajerkę.

Zaczął się czas okupacji naszych ziem przez Rzeszę Niemiecką. Na mocy dekretu Hitlera z 8 X 1939 r. między innymi północna część okupowanej Polski wraz częścią północnego Mazowsza, została bezpośrednio włączona do Rzeszy. Z tego obszaru, wydzielono tzw. Regencję Ciechanowską. W jej skład wchodziły powiaty: makowski, przasnyski, ciechanowski, pułtuski, płoński, sierpecki i działowski. Kadra administracyjna, policyjna i gospodarcza rekrutowała się z Niemców przybyłych z Prus Wschodnich. Wójtowie też byli Niemcami, ale sekretarze gmin w większości byli Polakami. Polskie miejscowości otrzymały niemieckie nazwy, np. Maków nazywał się Mackein, Różan - Rosan, Krasnosielc - Rotenburg, Drażdewo - Drombach, Raki - Krabsbach. Postanowiono rozprawić się z Polakami i uczynić te tereny rdzennie niemieckimi. Zorganizowano obozy pracy przymusowej.

W połowie listopada 1939 r. obolały, głodny i strudzony powoli wracał nasz kochany tata z niemieckiej niewoli. Był jeszcze kilkanaście kilometrów od domu, ale już dowiedział się o śmierci córki. Do Napiórk doszedł już pod wieczór, ale najpierw poszedł pod figurkę na grób Kazi i tam płakał klęcząc, aż sąsiedzi dojrżeli, że to nasz tata i powiedzieli mamusi. Zaraz pobiegliśmy we trójkę tam i znowu był wielki płacz radości i żalu. Następnego dnia tata trochę dochodził do siebie, oglądał dobytek, potem znów modlił się pod figurą. Jeszcze w tym samym tygodniu pojechali rodzice do Różana zamówili trumnę i grabarza, potem przywiózł tata trumnę. Odkopali poprzednią trumnę spod figurki, przełożyli ciało i zawieźli do Różana do Kościoła, potem na cmentarz i pochowali obok babci Marcysi. Po dniach za-



Zdzisław Jabłonowski – traktorzysta.



Jako instruktor na kursie traktorzystów w Marwałdzie Gętlewie 1954 r. - za kierownicą.

łoby cieszyliśmy się z powrotu taty i mniej było płaczu w domu, czuliśmy się lepiej. Ale nie długo. Po kilku dniach przyjechali do nas na koniach dwaj żandarmi niemieccy. Legitymowali tatusia, a tatuś miał braki w dokumentacji, ponieważ uciekł z obozu - czegoś mu brakowało. Zabrali go, więc na posterunek do Rzewnia, ale jakoś się wytłumaczył i pod wieczór wrócił. My już się bardzo martwiliśmy, ponieważ słysząc było, że Niemcy za byle co rozstrzelują Polaków. Nakładano na Polaków różne represje, wysiedlono z własnych gospodarstw, wprowadzono kartki na żywność i odzież. Rolnicy oddawali kontyngent. Wprowadzono zakaz zawierania małżeństw, zakaz nauczania i zgromadzeń, zwalczanie religii i likwidację Żydów. Pozbawiono niezbędnej opieki lekarskiej. Regencja Ciechanowska została uznana za obszar walk partyzanckich i wprowadzono działania przeciwpartyzanckie. Nawet sam fakt przynależności do jakiejś grupy niebezpiecznej dla Rzeszy wystarczył do likwidacji Polaka. Kara śmierci lub obóz groził za zabicie świni, handel mięsem, mielenie ziarna w żarnach. Już 7 września 1939 r. zostali aresztowani i rozstrzelani w Młynarzach Feliks Milewski, Rozalia i Marian Ogonowscy, Stanisław Samsel i Maria Gerwatowska z Sielunia. Ze wsi Rupin,

zastrzelono Antoniego Głazewskiego, ze wsi Głazewo Świążki rozstrzelano Michała Żebrowskiego, Jana Biedrzyckiego, Leokadię Biedrzycką i wielu innych, o których dobrze wiem. W dniu 8 września 1939 r. w Krasnosielcu rozstrzelano 41 Żydów. Czesław Biedrzycki ze wsi Chrzczony został rozstrzelany za zabicie świni, a Ludwik Rogowski z Magnuszewa za połów ryb na tzw. sznury. Jednym z cięższych przejawów represji okupanta w Regencji Ciechanowskiej stały się obozy pracy przymusowej. Było ich ponad 50. Poza tymi obozami istniały więzienia powiatowe. Na przykład w Nowej Wsi gmina Syniewo, w obozie przebywało 400 osób. Życie codzienne Polaka określone zostało ogromną liczbą nakazów, które wprowadzały władze okupacyjne. Poruszanie się między tymi nakazami było ciągłym ocieraniem się o śmierć.

Pierwsze komórki oporu powstały w pow. makowskim w grudniu 1939 r. Jedną z takich grup składających się z 7 osób zorganizował Witold Zduniak - nauczyciel. Byli to przeważnie podoficerowie. Komórki te nie miały ośrodka dyspozycyjnego, istniały na dziko.

Pod koniec grudnia przybył do powiatu makowskiego Franciszek Kazimierzczak, delegat centrali organizacyjnej w Warszawie, spotkał

się z tą grupą i utworzyli organizację Komenda Obrońców Polski (KOP). Komendantem tej grupy został Witold Zduniak i organizacja ta szybko się rozwijała. Wiosną 1940 r. liczyła już 400 członków. Siatkę organizacyjną stanowili nauczyciele oraz podoficerowie WP. Głównie z dawnego garnizonu w Róźnie. Organizacja ta działała we wszystkich gminach. Powiatowym kwatermistrzem był Henryk Sikora, Sekretarz Gminy Szekłowo. Siedziba sztabu mieściła się w Róźnie. Komenda Obrońców Polski istniała do listopada 1940 r. W grudniu tego roku została włączona do Związku Walki Zbrojnej. ZWZ powstał w powiecie makowskim pod koniec 1940 r. Pierwszym komendantem obwodu został chorąży z garnizonu różańskiego Alexander Piaseczny (Ps. Makary) zamieszkały w Szekłowie, a zastępcą został sierżant Wł. Jabłoński, też z garnizonu różańskiego oraz Mieczysław Żytowiecki z Róźna. Jedną z grup ZWZ istniała też w Napiórkach. Należeli do niej Bogumił Jabłonowski, Stanisław Napiórkowski, Józef Napiórkowski, Jan Ponikiewski, Wiktor Mroczkowski, Adam Makowski, Franciszek Gosiewski. W powiecie makowskim znajdował się również sztab Inspektoratu II AK. Sprawami wywiadu w Inspektoracie zajmował się Wojciech Małecki, podchorąży zawodowy z garnizonu w Róźnie. Szefem kierownictwa Dywersji był Wacław Nawrocki ze wsi Dyszobaba. W trudnej służbie łączności organizacyjnej pracowały - Helena Ziółkowska, Krystyna Chrzanowska i dwie siostry Wąsowskie (na trasie Maków, Szekłów, Różan). Jedną z tras w kierunku Warszawy prowadziła przez Narew i przez kilka miejscowości, jak Żerań Mały, Ogony, Sielun, Dyszobaba, Różan, Dzbądz, Napiórki, Łachy, Drozdowo i za Narwią - Lubiel i inne.

Szef „Kedywu” Inspektoratu kierował kilkoma grupami żołnierzy na różnych trasach i w różnych miejscowościach. Magazyny i meliny „Kedywu” mieściły się we wsi Chrzanowo u Bolesława Chrzanowskiego, we wsi Dyszobaba u Tadeusza Kołodziejskiego, we wsi Miłony u Beldyckich. Główną bazą łączności i przerzutów była stacja kolejowa Pasieki.

Organizacja kobieca miała swój ośrodek kierowniczy w postaci Referatu Kobiecego przy komendancie obwodu ZWZ-AK, potem była zorganizowana w Pogotowie Polek, a od wiosny 1944 r. przybrała postać Wojskowej Służby Kobiet.

Po rozłamie dokonanym przez „Kmicicę” w szeregach AK latem 1943 r. powstała w pow. makowskim silna organizacja NSZ. Najsilniejsza była w gminach: Szekłów Stary, Perzanowo, Sielc, Płoniawy i Różan. Skrzynki łączności znajdowały się m.in. w Róźnie u H. Reczko i Antoniego Kiepskiego.

Jednym z ważnych odcinków walki konspiracyjnej z okupantem było dokonywanie sabotażu i dywersji w urzędach i instytucjach gospodarczych i pracujących na potrzeby wojska. Sabotażu dokonywano głównie w magazynach żywnościowych, zwłaszcza w zbożowych. W magazynach zbożowych w Róźnie, skąd wysyłano zboże do Rzeszy, sypano do czystego ziarna piasek. Tu również za pomocą kombinacji księgowych organizowano zboże i oddawano je ludności polskiej, żyjącej w ciężkich warunkach. Na stacjach kolejowych w Grabowie i Pasiekach po załadunku zboża robiono



Studium przygotowawcze na wyższe studia na UMK w Toruniu.

w podłogach wagonu dziury i zatykano je lekko papierem tak, aby otwały się, gdy pociąg przejedzie granicę Prus Wschodnich. Sabotażu w Róźnie i Grabowie dokonywał m.in. Tadeusz Daszewski, pracujący oficjalnie jako magazynier w Róźnie. Zarażano również zboże larwami wołka zbożowego. Niekiedy mąkę ładowaną do wagonów tuż przed odejściem transportu ze stacji kolejowych w Pasiekach, Grabowie i Ostrołęce oblewano naftą. Wielkie kopce ziemniaków, przeznaczonych dla wojska niszczone w ten sposób, że przed nadejściem mrozów robiono w pokrywie ziemnej dziury. Do dziur tych dostawała się woda, która powodowała gnienie ziemniaków. Dziury te zasypywano potem piaskiem dla zatarcia śladów. Podpalano również stogi siana dla Wehrmachtu, niszczone planckie pokrywające stogi w ce-

lu zawilgocenia, a następnie gnicia paszy. Patrole dywersyjne „Kedywu” niekiedy likwidowały żandarmów lub oficerów. Starano się zaskakiwać Niemców, zwłaszcza wyprawiających się na wieś pojedynczo po żywność lub będących pod wpływem alkoholu. Takich „turyistów” likwidowano bezgłośnie, zabierano im dokumenty, a do ich rodzin oraz władz wysyłano zawiadomienia, że uciekli do partyzantki. Powodowało to zwykle duże zamieszanie. Jesienią 1943 r. czterech żołnierzy dowodzonych przez Wacława Nawrockiego wykradło z Arbeitsamtu w Makowie dokumenty setek Polaków, którzy mieli być wywiezieni do Niemiec na roboty przymusowe.

Tajne nauczanie. Powstało ono w wyniku zlikwidowania szkolnictwa polskiego na północnym Mazowszu. Rozpoczęło się wkrótce po zakończeniu działań wojennych. Nauczyciele byli niecierpliwi i chcieli, żeby dzieci nie traciły czasu. Wierzano zresztą wówczas, że za kilka miesięcy kraj odzyska niepodległość, ponieważ Aljanci zachodni pomogą nam w walce z Niemcami. Jednak zorganizowaną pracę zahamowały aresztowania w środowisku nauczycielskim w kwietniu 1940 r. Niektórym nauczycielom udało się uciec i od tego czasu działali w konspiracji zbrojnej, pracując również w tajnym nauczaniu. Nie wszędzie jednak odbywało się tajne nauczanie, dużo nauczycieli było aresztowanych, a niektórzy bali się tego podjąć. W Napiórkach podjął się tajnego nauczania jeden z kurierów, który przechodząc przez granicę został ranny w rękę, ale uciekł, wyleczył się i zaniechał wypraw kurierskich do Warszawy. A po namowie naszych podjął się nas nauczać. Nie był on nauczycielem, ale przed wojną ukończył gimnazjum a więc czytać, pisać, liczyć i opowiadać różne historie potrafił i tego nas uczył. Nauka odbywała się w domach prywatnych, najczęściej w naszym domu, po dwie godziny dziennie. Przychodziło 7 lub 8 dzieci, z tym, że jedno z nich stało na czatach i patrzyło czy od strony posterunku lub innej strony nie jadą żandarmi. Gdy na horyzoncie pojawił się żandarm, to książki prędko chowano do piekarnika, w którym wypiekano pieczywo. Dzieci się powoli rozchodziły i w tym dniu już nauczania nie było. Tym nauczającym był Henryk Górka, mieszkaniec Na-



Zdzisław Jabłonowski, ...

piórk, który w 1945 r., poszedł na Mazury, zorganizował i otworzył szkołę w Tułodzia-dzie, w powiecie Ostróda i tam przepracował do emerytury jako nauczyciel i kierownik szko-ły.

Gdy nie było zajęć w nauczaniu, to razem z siostrą Halinką pomagaliśmy w gospodarstwie. Ja najczęściej pilnowałem bydła, a Ha-linka pomagała mamusi. Często jeździłem z ta-tą na pole i niekiedy bronowałem zaorane wcześniej pola, grabiliśmy siano i wiele róż-nych robót się wykonywało. Gdy byliśmy na polu za Butnym Lasem, to przychodził do nas Szydlik mieszkający pod Łachami, niezbyt da-leko od naszego pola. Słyszałem często jak rozmawiali o różnych sprawach, o przybyszach z Warszawy, co przynieśli i kiedy znowu przyjdą. Szydlik przyniósł tatusiowi kilka pa-czek wypełnionych butelkami spirytusu i dwie ćwiartki spirytusu. Do nas do domu też przy-chodził kurier z Warszawy i przynosił tatusio-wi gazetki i jakieś tam ulotki oraz artykuły monopolowe. Tata to wszystko potem chował w stodole w niewidocznych miejscach. Przy-chodzili potem do nas koledzy taty i rozmawia-li o sytuacji w kraju i na froncie. Często wy-prawiali się do miejscowości Brzuze i Mrocзки Rębiszewo oraz Różana.

Miejscowość Łachy położona była blisko Narwi za lasem i tam mieszkali przewoźnicy, którzy łodziami przewodzili ludzi przez Narew do kościoła w Lubielu, a między nimi przepra-wiali się też kurierzy i różni handlarze, którzy przemycali w naszą stronę różne towary a w powrotną drogę przemycali mięso. Były to po-sunięcia bardzo ryzykowne, ponieważ za taki przemyt mięsa lub innych towarów groziła kara śmierci bez wyroku. Ale niekiedy tylko utratę towaru i jeszcze okup w gotówce. Niemcy mo-że wiedzieli, że tam się różne rzeczy dzieją, ale chyba bali się tam podchodzić, bo było to mię-dzy lasem a rzeką. Pewnego razu utopili tam jednego żandarm, a drugi ostrzeliwując się uciekł na koniu. Ale po kilku dniach Niemcy rozstrzelali dwudziestu Polaków.

Przychodziła też do nas z Warszawy Regina Napiórkowska, kuzynka naszej mamy i siostra mojej chrzestnej (Krupka, mieszkała w Go-



Żniwa - już na nowym miejscu.



Żniwa 1954 lub 1955 r. – Ruskowo. Zdzisław siedzi w środku w ciemnej koszuli.

siach). Ona (Regina) przynosiła z Warszawy różne towary, a w zamian brała mięso, przyno-siła też różne wieści i gazetki, w których pisa-ło, że Rosjanie zamordowali w Katyniu kilka-naście tysięcy Polskich oficerów.

Pewnego razu podsołtys z Napiórk roznosił jakieś pismo do podpisania i gdy wychodził od nas z domu to na podwórkę wchodziła Regina. Podsołtys powiedział do niej, że pani coś się tu często kręci i niech pani uważa, bo wpadnie w ręce żandarmów - i się rozeszli. Jak weszła do naszego domu, to się pyta kto to był, a tata mówi, że to podsołtys. A Regina na to, że „Pan Bóg rządzi światem, starosta powiatem, sołtys wsią, a podsołtys dupą psią”!

Pewnego razu jesienią 1942 r. z samego rana przyjechało do nas na koniach dwóch żandar-mów: Zimmerman (Cymerman) i Rego i zrobi-li rewizję w mieszkaniu. Poprzewracali w łóż-kach, w szafach i w piecu, a potem poszli z tatą do stajni i obory i tam się rozglądali. Potem wchodzili do góry nad stajnię i grzebali w sianie. Gdy nic nie znaleźli to zabrali tatę pieszo do Rzewnia na posterunek, tam pytali o różne rzeczy, spisali protokół i wypuścili. Po kilku dniach sołtys Kacprzykowski przyniósł tatusiowi pismo, że ma się stawić przed starostwem w Makowie z wozem zaprzężonym w dwa konie, na podwozy. Na drugi dzień tata zaprzęgnął konie, wziął trochę jedzenia i poje-chał. W Makowie dali mu 3 pracowników. Był z nimi niemiecki wachman czy żandarm w żółtym mundurze. Wszyscy wsiadli na wóz i pojechali do Karniewa. Tam było budowane lotnisko, było dużo furmanek i ludzi. Wozili żwir i kamienie. Pracowali tam od świtu do nocy, do jedzenia dostawali żupę i spali w ba-rakach lub w stodole na sianie. Po dziesięciu dniach tata zaczął narzekać na bóle żołądka, jeden dzień potem drugi, a na trzeci konie dali innemu woźnicy, a tata poszedł do punktu sa-nitarneho. Dostał tam jakiś lek, ale do koni już nie wrócił, tylko udał się do domu. Następnego dnia przyszedł do Napiórk, w domu mieliśmy jeszcze jednego młodego żrebaka, który już trochę chodził w zaprzęgu przy kłaczy, która go urodziła. Gdy taty nie było, to ja za-przęgałem tego konika do mniejszego wozu, który został w domu i jeździliśmy na pole ko-pać motykami ziemniaki i przywoziliśmy je do

domu. Jak mieliśmy coś więcej do przewiezie-nia to pomagali nam sąsiedzi: Stefan Chrz-a-nowski i Aleksander Gosiewski. Jak tata wró-cił, to pojechaliśmy w tego żrebaka do Rupina, do mojego stryja Stanisława Jabłonowskiego i on dał nam jednego ze swoich trzech koni, i w ten sposób przyjechaliśmy do domu w dwa ko-nie. Roboty jeszcze było dużo, bo trzeba było skończyć wykopki ziemniaków i buraków i za-orać. Na zimę oddał tata konia do Rupina i przez zimę byliśmy z jednym, a wiosną 1943 r. kupiliśmy konia i były znowu dwa. Ale już w lipcu 1943 r. znowu dostaliśmy nakaz, żeby dać jednego konia do zaprzęgu, przy wo-zie Konopińskiego razem z jego koniem. Woź-nicą miał być znowu tata. Wynajął, więc za siebie człowieka, Wacława Karpińskiego i on pojechał na roboty drogowe w stronę Pułtusk-a. Po jakimś czasie Wacek wrócił bez koni, ale już się ukrywał przed Niemcami. Znowu tata kupił jednego konia i półszorek. I mieliśmy dwa do końca sierpnia 1944 r. Potem już nic nie mieliśmy.

Ja chodziłem w międzyczasie na tajne na-uczanie, ale już mniej w naszym domu, a raczej w innych. Do rodziców przychodzili jeszcze niekiedy kurierzy, ale już trochę mniej. Ciotka Regina też jeszcze przychodziła i przynosiła wieści z frontu pod Stalingradem i inne wia-domości, np. ze spotkań Wielkiej Trójki.

W połowie września 1943 r. wyszło zarzą-dzenie, żeby wykastrować wszystkie ogiery w naszej gminie. Punkt wykonywania tego za-biegu wyznaczono na naszym ogrodzonym pa-stwisku, blisko naszych zabudowań, przyjecha-li tu Polscy lekarze weterynarii i kastrowali przyprowadzone przez rolników ogiery, starsze i młodsze żrebaki, naszego też wykastrowali. Ogółem było może 14-15 kastratów. Piszę to tylko dlatego, że pierwszy raz widziałem jak ci lekarze weterynarii rozpalili ognisko, położyli cegły, na nich postawili przywiezioną ze sobą patelnię i smażyli pokrojone jadra. Ja się tam blisko kręciłem i oni zapytali, czy mógłbym przynieść trochę chleba. Przyniosłem i oni już usmażone jadra jedli i dawali mnie. Ja z po-czątku nie chciałem, ale oni mi wytłumaczyli, że to dobre, więc trochę wziąłem, zjadłem i by-ło dobre. Resztę usmażonego kazali mi zabrać

dla psów czy kotów i ja tak zrobiłem wg ich zaleceń.

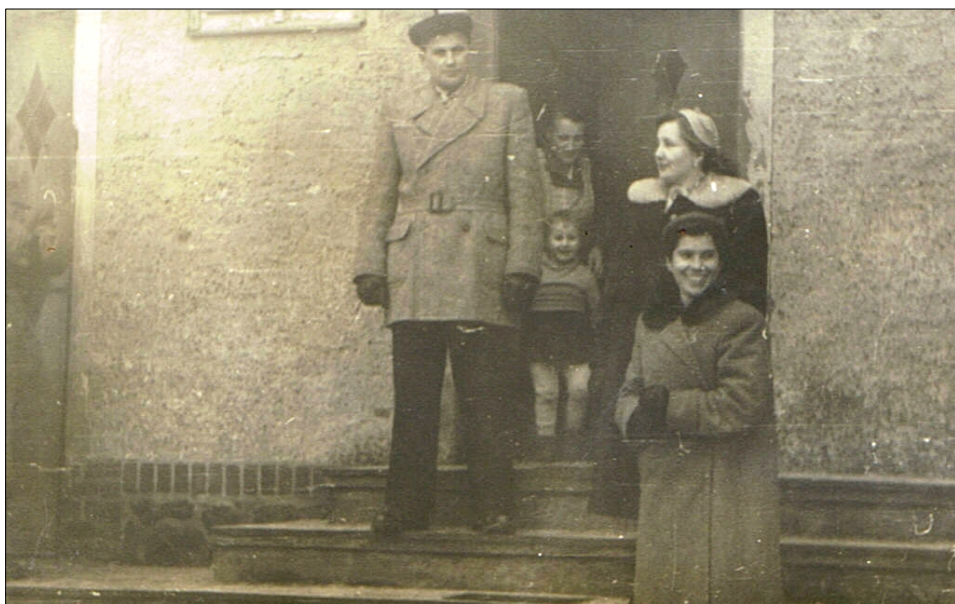
Lekarze odjechali, a my pracowaliśmy dalej w gospodarce. Czasem przyszedł Henryk Górka, trochę się uczyliśmy, wieczorem graliśmy w karty, z rana zawsze była robota z bydłem, potem wykopki i zwózka ziemniaków, rąbanie drzewa. Niekiedy przyszedł kurier z Warszawy. Coś tam przyniósł. Porozmawiali z tatą, coś wziął i odszedł.

Niemcy rękami polskiej ludności, większości mężczyzn, rozpoczęli kopać rów przeciwczołgowy wzdłuż Napiórk, 50 m za naszym domem od strony Narwi. Sprowadzili tu mnóstwo ludzi z okolicznych miejscowości i kopali po 10-12 godz. dziennie. Robotników pilnowali wachmani niemieccy w żółtych mundurach. Często widziałem jak bili pracowników i głośno krzyczeli na nich. W naszym domu zabrali nam 1 pokój i zrobili tu punkt sanitarny. Robotnicy często się kaleczyli i tu byli opatrywani.

Gdy wykopy rowu przeciwczołgowego posuwały się w kierunku Brzozego i Dzbądz, do Napiórk przybyło dość dużo wojska niemieckiego. Dowództwo zakwaterowało się w szkole, a żołnierze w namiotach i część w domach prywatnych. Przygotowywali oni plany okopów (rowów żołnierskich) oraz budowy bunkrów w lesie po drugiej stronie Napiórk. Wojsko rozpoczynało kopanie, potem znowu przyszli cywile i pod nadzorem armii i wachmanów w żółtych mundurach kopali dalej.

U nas w domu tata mówił, że my też musimy sobie wykopać schron w innym lesie od strony Łachów. Potem mówił, że trzeba też wykopać doły do przechowania rzeczy domowych. Część wojska odeszła, ale okopy kopano jeszcze długo. Pewnej niedzieli pojechaliśmy wozem na cmentarz i do kościoła w Różanie, potem wstąpiliśmy do ciotki Masłowskiej, która miała sklep z różnościami. Tata już wcześniej uzgodnił z Masłowską, że gdy będzie zbliżał się front, to weźmie od niej część kosztowności do przechowania w Napiórkach. Po ukończeniu wiosennych prac na polu, a było to jeszcze przed żniwami, zaczęliśmy kopać w lesie dół na schron i wycinaliśmy drzewa z własnego lasu na zadaszenie. Dół był w kształcie prostokąta a przed nim od czoła kilkumetrowy rów do wchodzenia. Ja ze ściętych drzew obcinałem siekierą gałęzie, a tata z sąsiadem robili strop nad bunkrem, przykrywając belkami drzew trzciną, słomą, sianem i ziemią. Po dwóch dniach schron był gotowy i zamaskowany. Po dwóch dniach przerwy wykopaliśmy dwa doły w ogrodzie między śliwkami, tata przykrył je gałęziami i tak zostały. W niedzielę znowu rodzice pojechali do Różana i w powrotnej drodze wzięli od Masłowskiej dwa prostokątne kosze różnych rzeczy. Przywieźli je i zakopali razem z naszymi domowymi. Nowe kożuchy i inna garderoba była w ten sposób zabezpieczona i schowana. O tych schowkach oficjalnie wiedział tylko jeden człowiek, nasz sąsiad.

Wieczorem przyszedł sąsiad, coś tam przyniósł, długo z tatą rozmawiali, potem poszedł spać na siano. Rano już go nie widziałem. Natomiast do mnie tata mówił: „Weźmiesz ten woreczek za koszulę, założysz starą bluzkę, nie zapinaj i zaniesiesz do Mariana Pruszkowskiego.” Mieszkał on pod Pruszkami w stronę Gosiów, około 2 km od Napiórk. Potem tata mówił: „Może lepiej będzie jak weźmiesz ze sobą



Ruszkowo, początek lat 50-tych.

krowę, którą chcesz i jakby się kto pytał dokąd ją prowadzisz, to powiedz, że do byka”. Poszedłem do Mariana, oddałem, co miałem, podziękował i mówił: „Weź dla ojca tę torebkę dobrej tabaki i bibułkę do skręcania. Wziąłem i we dwójkę z krową wracamy. Ale jak już byliśmy blisko domu, to zobaczyłem, że od strony Rzewni jedzie na koniu żandarm. Już miałem zamiar wyrzucić torebkę, ale myślę, że on mnie już widzi i może obserwuje. Idę więc prosto. A on nadjeżdża z prawej strony, stanął i pyta: „Gdzie z tą krową idziesz.” Pokazałem mu na naszą stodołę i mówię mu, że tam.

Powiedziałem, że wyskoczyła z podwórka i poszedłem ją przyprowadzić. W tym czasie tata wypędzał resztę bydła, żeby zagnać do grudzi. Żandarm popatrzył i powiedział: Idź. Ja powiedziałem „danke schon” i na tym się skończyło. Ale strachu miałem, co nie miara, bo za tytoń też mogłem dostać kopniaków, utracić to i tata też miałby kłopoty. Ten żandarm nazywał się Kopa i mówił niezłe po polsku.

W połowie lipca 1944 r. rozpoczęliśmy żniwa zbóż ozimych. Pan Konopiński, który mieszkał na wybudowaniu (kolonii) obok naszego pola na „Ciężkich”, wypożyczył nam żniwiarkę (garściówkę) do skoszenia żyta ok. 2,5 ha w jednym kawałku. Wiązać snopy trzeba było ręcznie, ale to już była duża ulga. Przyszli sąsiedzi, pomogli wiązać snopy i ustawiać w dziesiątki (stygi). Po wyschnięciu tata poprosił Grabowskiego z Pruszk, który bardzo dobrze ustawiał stogi o pomoc w stogowaniu. Do pomocy przyjechali jeszcze sąsiedzi: Aleksander Gosiewski i Stefan Chrzanowski oraz nasza rodzina z wozem, i dowoziliśmy snopy, a Grabowski i Adam Karpiński układali na stogi. Wprawdzie nasza stodoła była jeszcze prawie pusta, ale tata powiedział, że front się zbliża i może w stogach na polu prędzej się przetrzyma zboże i będzie bezpieczniejsze. Zboża było jeszcze dużo: pszenica, jęczmień, owies, gryka, seradela. Potem jeszcze woziliśmy do stodoły, chociaż nie wszystko zdążyliśmy zwieźć.

Pewnego słonecznego popołudnia przypędziłem rogaczną z pastwiska, wszedłem do domu i słyszę, jak rodzice rozmawiają, że Armia Czerwona idzie do przodu, że weszli już na polskie ziemie i 23 lipca 1944 r. zajęli Lublin.

W tym też dniu Radio Moskwa oficjalnie nadało komunikat, że dzień wcześniej, tj. 22 lipca w Chełmie Lubelskim utworzono Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN). Tata mówił, że będzie to jak gdyby tymczasowy rząd polski podległy Moskwie.

W naszej okolicy Niemcy umacniali swoje pozycje obronne, ok. 3-4 km od Narwi, najbardziej na przyczółku różańskim, tj. przy miejscowościach: Brzoze, Drozdowo, Napiórki, Łachy, Bieńduska, tj. tam gdzie Narew robiła zakola z kierunku północnego na zachód, i znowu płynęła w kierunku Pułtusza. Jak już wcześniej wspominałem, były tam rowy przeciwczołgowe i rowy strzeleckie (okopy) oraz bunkry duże i małe. Niemcy zbudowali tam 3 mosty na Narwi między Łachami a Bieńduszką. Domyślałem się, że chcieli umożliwić Rosjanom przejście przez Narew i zdusić ich w tym przyczółku czy zakolu.

My w domu też zwiżyliśmy się, żeby jeszcze coś zrobić najbardziej potrzebnego. Mieliliśmy taką maszynę do wymłócania zboża, napędzaną kieratem. Wymłóciliśmy trochę pszenicy i trochę żyta i po oczyszczeniu na wialni, było po dwa worki czystego ziarna. Potem jeden worek pszenicy i jeden żyta zmieliliśmy na młynku też obracanym przez kierat. Zmielona w młynku mąkę mama czyściła przesiewając przez przetak, potem przez sito i sitko i ustalała klasę pierwszą i drugą. Klasa druga nadawała się do wypieku chleba, a pierwsza na placek drożdżowy.

Pod koniec sierpnia 1944 r., gdy Armia Czerwona zbliżała się do Narwi między Różanem a Pułtuskim, moi rodzice byli już przygotowani do ucieczki z Napiórk do pobliskiego lasu. Mieliliśmy nadzieję bezpieczniejszego dla nas przejścia frontu, i że tam doczekamy się wyzwolenia spod katorgi niemieckiej. Mama napiekła kilka blach chleba, zgromadziła przygotowaną żywność, konwie z wodą i pustę do mleka. Załadowaliśmy wszystko, co było przewidziane jako przydatne w lesie. Ja wsiałem na wóz, wziąłem za lejce konie, mamusia usiadła przy mnie, tata uwiązał do wozu dwie krowy, a reszta bydła szła luzem za wozem popędzana przez tatusia i Halinkę. Gdy dojeżdżaliśmy do lasu, to od strony frontu przeleciało nad nami kilka radzieckich samolotów myśliwskich, a za nimi kilkanaście bombowców. Prze-

leciały nad naszymi Napiórkami na pozycje niemieckich umocnień, skąd wystrzelono kilkanaście pocisków artylerii przeciwlotniczej. Bombowce zrzuciły kilkanaście bomb i wróciły z powrotem za Narew. My dojechalśmy z wielkim niepokojem do lasu do naszego schronu. Za Narwią słychać było silne wybuchy bomb artyleryjskich, a w koło nas było spokojnie. Zdjęliśmy, co trzeba do schronu, konie tata upalał na polanie, a krowy chyba chodziły luzem. Niemców w lesie nie było, a Rosjanie wciąż byli na Narwi. My byliśmy między frontami. Nadchodził wieczór 30 sierpnia 1944 r. Znowu usłyszeliśmy, że lecą samoloty od strony Narwi na pozycje niemieckie. Po niedługim czasie samoloty wróciły. Potem, może za godzinę, rozpoczął się bardzo silny atak artyleryjski zza Narwi na pozycje niemieckie. Nad nami przelatywały czerwone kule.

Nad ranem wkoło nas było w miarę spokojnie. Gdy wyszliśmy ze schronu, to widać było, że w Napiórkach spaliły się niektóre zabudowania, było silne zadymienie. Naszych budynków nie było widać. Ok. godz. 16.00 znowu rozpoczęły się silne i krwawe zmagania dwóch przeciwnych frontów. Ciężka artyleria radziecka non stop atakowała pozycje niemieckie a Niemcy radzieckie. W lesie też spadały pociski. Gdy tata wychodził ze schronu, to powiedział, że palą się nasze Napiórki, a było to tylko 1,5 km od naszego schronu. Chwilowo uciły armaty, ale za godzinę poszły w ruch radzieckie katjusze i strzelały do 5 rano. Jak zrobiło się w miarę cicho, to nasz tata wyszedł ze schronu zobaczyć co się dzieje, zaraz wrócił i powiedział, że las się pali a nasze zwierzęta leżą pozabijane i wóz też rozwalony. Myśleliśmy, że zaraz będą Rosjanie, ale tata znowu wyszedł i nie wraca. Za chwilę do bunkra podeszło dwóch Niemców z karabinami i krzyczą „Raus!” Wyszliśmy porozbierani, bo w bunkrze było gorąco. Mama wzięła jedną blachę chleba, a Niemiec wszedł do bunkra i wyrzucił moją marynarkę i bluzę, i coś Halinki, kazał nam to ubrać i pokazuje, żeby iść do przodu, gdzie stało już kilku ludzi i przy nich Niemiec. Ja buty miałem w rękę, bo bolał mnie palec, tatusia naszego nie ma, a Niemcy krzyczą: „Schneider!” i jeden idzie przodem a drugi za nami. I idziemy w poprzek rowu przeciwczołgowego i przez zgłiszcz naszych Napiórk. Nie widać, żeby gdziekolwiek stał jakiś ocalały budynek ani komin. Przechodzimy przez jeszcze gorącą ziemię. Zaraz za naszym siedliskiem był 30 letni las, a za nim pełno rozbitych niemieckich czołgów. Wokół leżały trupy niemieckich żołnierzy. Las był tak zbity i spalony, że zostały tylko krótkie i porozdzierane pnie, które jeszcze się paliły. Naszego taty jeszcze nie było, a Niemcy pędzą nas dalej. Odprowadzili nas w kierunku przeciwnym do frontu, ok. 10 km w okolice Perzanowo, Ponikiew, Zawady - tam gdzie nie było zniszczeń pofrontowych. Niemcy zostawili nas przy stertach ze zbożem i wrócili. My byliśmy zmęczeni i głodni. Usiedliśmy pod stertami, mama łamała chleb, którego mieliśmy tylko jedną blachę i zaczęliśmy płakać, bo nie wiadomo było, co dalej. Taty nie ma i nie wiadomo było gdzie iść, co jeść, i w co się ubrać. Po krótkim czasie zobaczyliśmy, że idą w naszą stronę wygnańcy spod frontu i dołączyli do nas pod stertami. Byli to mieszkańcy wsi Mroczy Kawki, niektórzy znajomi naszej



Zdzisław z kolegą szkolnym w pobliżu stacji w Ostródzie; w tle panorama miasta widziana z okolic ulicy Batalionów Chłopskich.

mamy. Oni też zostawili cały swój dobytek, ale zdążyli wziąć trochę więcej jedzenia. Zbliżał się wieczór, oni też byli głodni i pod stertą zaczęli jeść, co mieli, a i nam dali po plasterku solonej słoniny. Nie było, czym popić. Ja chodziłem po rżysku, zbierałem listki odrastające młeczu, żeby zwilżyć sobie w ustach. Przybysze powiedzieli nam, że za laskiem w okolicy Czerwoni, rozlokowała się dość duża grupa wozów konnych z Ukraińcami i przy nich umundurowanych Kozaków. Byli to ludzie Gen. Własowa, który z wieloma oddziałami Kozaków i ludnością ukraińską przyłączył się do armii niemieckiej i walczył przeciwko Armii Czerwonej. My spod sterty wyrzucaliśmy snopy, żeby zrobić otwór do schowania nóg, a resztę przykrywaliśmy snopkami zboża. Wokół nas było w miarę spokojnie, ale w oddali na Narwi, w okolicy Różana, od strony Białegostoku czy Siedlec, wciąż słychać było zmagania bojowe. W nocy było widać czerwone łuny pożarów. W nocy przeleciały nad nami 3 kukuruźniki, w okolicy wystrzeliwały rakiety świetlne i wracały za Narew w kierunku Różana. Niemcy wystrzeliwali z p. lotek pociski do kukuruźników, ale nie trafiali. Potem też było słychać w oddali samoloty bombowe, które zrzuciły kilkanaście bomb i spowodowały ogromne wstrząsy.

Nad ranem 3 września, niedaleko od naszych stert, od strony Cieciorok, do Szelkowa przemieściła się przez pole ogromna ilość czołgów i armat niemieckich. Ok. godz. 10.00 rozpoczęły się silne zmagania wojsk radzieckich z niemieckimi na Narwi między Różanem a Kleszewem. Ok. godz. 16.00 przerwano walki. Było już pod wieczór, kiedy przy stertach pojawił się nasz tato. Radości było, co nie miara, ale i płaczu. Tata opowiadał, jak Niemcy chcieli go zastrzelić, bo wzięli go za szpiega. Po wyjściu z naszego schronu Niemcy złapali go i odprowadzili dalej, kazali położyć się twarzą do ziemi i jeden pilnował, a inni czegoś szukali. Gdy tata tam leżał, przechodziła obok stara Chrzanowska, nasza sąsiadka, i powiedziała, że to mój syn i on tu pilnował bydła. Przyszło więcej Niemców, tata wstał i widział jak żołnierz wrzucił granat do naszego schronu i nastąpił wybuch. Tata widział to i powiedział, że

została utracona reszta wszystkiego, co w życiu posiadał i mocno zapłakał. Niemcy zatrzymanych mieli jeszcze kilku mężczyzn, wzięli ich i zawieźli do Łasi. Przez dwa dni pracowali oni przy naprawie szosy, żeby zasypać leje po wybuchach bomb samolotowych. Potem ich puścili. Tata nie wiedział, co się z nami stało, ale nas odnalazł. Opowiadał jeszcze, że chciał zobaczyć, co się stało z naszymi końmi i krowami i mówił, że widział nasze konie rozszarpane od pocisków i widział trzy krowy nieżywe, a dwóch blisko nie widział i owiec w ogóle nie widział. Natomiast wóz, który był załadowany różnymi rzeczami domowymi i żywnościowymi był rozbity i w większości spalony.

Potem zatrzymali go Niemcy i na tym skończyły się poszukiwania. Gdy wzięli ich przez Napiórki, to widział, że była to pustynia bez śladu budynków, gdzie nawet brak było ruin, sterczących kominów, a lasów po drugiej stronie drogi był spalony i rozkopany bombami.

Noc spędziliśmy razem pod stertą zboża bez żadnej pościeli, a przykrywaliśmy się niewymłóconymi snopami zbóż.

Rankiem 5 września 1944 r. tata mówił, że musimy dalej odsunąć się od frontu i pójdziemy w stronę Biedrzyc i Poświętnego. Tam w Biedrzycach tata miał dawnych znajomych, a nawet „po rodzinie” trochę.

Gdy doszliśmy, to zobaczyliśmy, że w Biedrzycach jest bardzo dużo wojska niemieckiego. Ale wojsko nas się nie czeptało i zaszliśmy do gospodarstwa Witolda Olkowskiego. U nich w domu kwaterowało dwóch oficerów i na podwórku stał namiot żołnierski. Ciotka Olkowska przyjęła nas i nakarmiła, a przy studni na podwórku umyliśmy się. Przyjechał potem Witold i z tatą ucałowaliśmy się z nim, a zobaczył to wychodzący z domu oficer i też podszedł do nas i podał rękę tatusiowi, i mnie i Witold mu wytłumaczył, że jesteśmy rodziną. Witold mówił, że u nich też jest ciężko, bo ciasno i poprzedni oddział wojska zabrał mu 3 krowy, zawiózł do rzeźni, ale póki można będziemy się ratować.

Pierwszą noc spaliśmy na sianie w kuchni. Następnego dnia Witold z tatusiem przywieźli z łąki wielką furę siana, złożyli w stodole i drugą noc spaliśmy już na tym świeżym sia-

nie przykrytym jakąś płachtą a na sobie też mieliśmy przykrycie. Było co jeść i czym popić. Mieli tylko jedną krowę i mleka było niewiele. Przy kolacji ciotka Olkowska postawiła dzbanek z mlekiem na stół i mówi: „Opatrzność Boga mojego, co kto złapi to jego”. Wieczorem zeszło się trzech oficerów w pokoju i zawołali naszego tatę, żeby grał z nimi w karty. Tata grał ostrożnie i wygrywał z nimi, w co grali nie pamiętam. Następnego dnia też tatę wołali i grali w oczko. Tata znowu wygrywał, a gdy zebrała się duża pula, to ostatni grający zagrał o całość i przegrał. Powiedział, że ma mało marek i da tatusiowi konia. Na drugi dzień rano żołnierz przyprowadził konia i dał tatusiowi.

6 września 1944 r. krwawe zmagania Armii Czerwonej i Wojska Polskiego doprowadziły do odrzucenia wojsk niemieckich z przyczółka różańskiego i sowietci weszli na prawy brzeg Narwi, na teren o niewielkiej głębokości w pasie od Różana do Gnojna. A potem został on rozszerzony. 8 września trwały silne naloty samolotów radzieckich na pozycje niemieckie w pasie: Perzanowo, Dąbrówka, Ponikiew. Następnego dnia czołgi radzieckie wypuściły się daleko na Północ i stoczyły wielką bitwę na obszarach od Czerwonki po Biedrzyce i cofnęły się. Następnego dnia samoloty radzieckie zbombardowały Biedrzyce, gdzie stacjonowały wojska niemieckie, a w tym czołgi, transportery opancerzone na gumowych kołach i pojazdy odkryte, lecz na gąsienicach. My także przebywaliśmy jeszcze w Biedrzycach w czasie nalołów wpadliśmy do kamiennej piwnicy. W pobliżu tej piwnicy stały dwa czołgi. Po przelocie samolotu zrobił się krzyk przed piwnicą i za chwilę wojskowi wnieśli do nas bardzo ранego w brzuch żołnierza i on mocno krzyczał, potem ucichł, a mnie zachciało się wymiotować. Pchałem się do drzwi wyjściowych i w tym czasie rozerwała się bomba i zostałem lekko draśnięty. Opatrzył mnie i obandażował wojskowy lekarz niemiecki.

Następne dni były spokojne, ale nasz tato



Bogumił i Czesława Jabłonowscy z dziećmi Haliną i Zdzisławem koniec lat 40-tych.



mówił, że tyle tu wojska, i że jest niebezpiecznie, może lepiej pójdziemy gdzieś w zacisze. Mieliśmy już konia, dostaliśmy od Witolda derkę do przykrycia, trochę żywności, ja dostałem sweter, a tata kurtkę i spodnie i wybraliśmy się w dalszą tułaczkę.

Miało się już ku wieczorowi, gdy przy drodze zobaczyliśmy opuszczoną chałupę. Weszliśmy do środka i zobaczyliśmy, że w mieszkaniu jest wyścielone słomą. Postanowiliśmy tam przenocować. Ale już w nocy poczuliśmy, że oblaży nas wszy. Jak tylko się rozwidniło, to zaczęliśmy się rozbierać i wytrzępywać. Zostawiliśmy Kuchny i szliśmy dalej polnymi drogami, aż doszliśmy do lasu. Kawalek drogi był od strony słonecznej, było dość ciepło, rozebraliśmy się. Konia na długim sznurku uwiązaliśmy do drzewa i on skubał sobie trawę a my zaczęliśmy się odswszawiać. Najpierw wytrząsaliśmy kijami wierzchnie okrycia, potem bieliznę, potem derkę z konia. Odpoczęliśmy trochę i ruszyliśmy dalej. Ja wsiałem na konia, a mama, Halinka i tata szli piechotą. Po niezbyt długim czasie zobaczyliśmy przed sobą miejscowość, a szliśmy drogą poprzeczną w stosunku do zabudowań. Przy drodze były duże budynki gospodarcze i dobry duży dom. Weszliśmy na podwórkę. Nikt do nas nie wychodził, więc rodzice weszli do mieszkania. Ja i Halinka czekaliśmy przy koniu. Po niedługim czasie wyszedł tata i mówi, że konia wprowadzi do stajni, da mu siana a my pójdziemy do mieszkania. Było tam dwoje dziadków, niezbyt zdrowych i mówili, że kilka dni temu było we wsi trochę uchodźców spod frontu, ale Niemcy przyjechali dwoma samochodami i zabierali miejscowych i przybyłych zdrowych do pracy i dzieci też zabierali, a pozostawiali tylko starszaków. Wcześniej zabrali im też krowy i został tylko jeden lichi koń. Nam powiedzieli, że możemy tu zostać. Tata narąbał drzewa, kobiety nagrzały wody i na podwórku w bali wyprały naszą bieliznę i umyły głowy. Babcia dała nam ręczniki, wytarliśmy się i tak odświeżeni usiedliśmy odpocząć. Mama nagrzała wody w garnku na kuchni i zaparzyła kawy zbożowej. Mieliśmy z Biebrzyc jeszcze trochę żywności i tak się posililiśmy. W tym mieszkaniu była duża

kuchnia i duży pokój przy kuchni i jeszcze jeden z wejściem od sieni i tam właśnie dziadkowie kazali nam przenocować. Był tam kaflowy piec i jedno łóżko z siennikiem. Napaliliśmy w piecu i powiesili przy piecu bieliznę. Babcia dała nam koc i jeszcze jakąś płachtę. Przynieśliśmy ze stodoły dwa pęki słomy, rozłożyliśmy na podłodze. Ja z tatą spaliśmy na słomie, a Halinka z Mamą na łóżku.

Ta miejscowość, w której byliśmy nazywała się Zamość. W trzecim dniu naszego pobytu przyszedł do mieszkania sołtys, rozmawiał z dziadkami, a nam powiedział, że Niemcy mogą znowu zrobić tu łapankę, ponieważ część młodzieży tu zamieszkałej ukryła się i mogą ich szukać. Bylibyśmy bardziej bezpieczni gdzieś w mniejszej wiosce, pośród lasów przy piaszczystej drodze, bo Niemcy tam nie jeżdżą.

Następnego dnia z samego rana dowiedzieliśmy się, że z jednej i drugiej strony wsi stoją niemieckie samochody. A my byliśmy pośrodku wioski. Tata krzyknął, żeby łapać swoje kłamoty i biegiem do stodoły. W stodole po jednej stronie klepiska były ułożone pęki słomy, a po drugiej niewymłócone zboże. Schowaliśmy najpierw swoje rzeczy, potem my w trójkę schowaliśmy się pod leżące snopy słomy, każdy w innym rogu zasieku, a tata po drugiej stronie pod zbożem. Po niedługim czasie słyszeliśmy, że podjechał samochód, i Niemcy weszli najpierw do mieszkania, potem do stajni, a na końcu do stodoły. Jeden Niemiec wszedł na lewy zasiek, a drugi na prawy. Ten po naszej stronie miał widły i szturchał w snopy słomy i wołał, żeby wychodzić, ale nikt z nas się nie odezwał. Ja tylko czułem, że wszedł nogami na sноп, pod którymi ja leżałem, ale widłami we mnie nie szturchał. Coś tam poszwargotali i poszli. My się jeszcze nie odzywaliśmy, ale tata wyszedł i powiedział, że pojechali. Jeszcze staliśmy w stodole i patrzyliśmy przez szpary czy się gdzieś nie kręca, ale był spokój, więc wyszliśmy.

Kobiety poszły do mieszkania, a ja i tata nakarmiliśmy swojego i ich konia, przynieśliśmy do mieszkania drzewa na opał, coś tam zjedliśmy. Mamusia gorącym żelazkiem z podgrzаными węglami drzewnymi starała się podobi-

jać, resztę wszy praszając naszą garderobę i bieliznę. Przenocowaliśmy jeszcze w Zamościu.

W dalszej podróży wstąpiliśmy jeszcze do pewnej miejscowości, ale zapomniałem jak się nazywa. Tam w pewnym gospodarstwie poczęstowali nas obiadem i poszliśmy dalej po godzinnym odpoczynku.

Doszliśmy do wsi Lipa. W tej Lipie przyjęli nas pod swój dach państwo Szmitowscy. Gospodarz tej rodziny był kowalem, a jego żona krawcową. Mieli też dwie córki, jedna była w moich latach (11-12) i jedna starsza, która miała już narzeczonego. W domu było bardzo przyjemnie, czysto, nakarmili nas, wieczorem zapalili dwie naftowe lampy, było widno i przejrzyste. Słuchali opowieści naszych rodziców i wszystko byłoby dobrze, tylko, że ja już wczesnym wieczorem zacząłem się drapać pod pachami swędziało mnie też w pachwinach. Gdy mama wychodziła na podwórko, to ja też i mówię, że mam takie swędzenie, a mama mówi: „O Boże!, to chyba będzie świerzb”, że musiałem się gdzieś zarazić w poprzednich miejscach. Prosiła mnie, żebym się nie drapał, bo to tylko pogorszy i ludzie zobaczą.

Przy kolacji gospodarze domu powiedzieli, że będziemy spać w kuchni, ale mają tylko jeden siennik i że trzeba przynieść trochę słomy, to się przykryje, a jutro zrobimy już dwa sienniki. Państwo Szmitowscy oprócz domu mieli jeszcze niewielkie budynki gospodarcze, trzymali jedną krowę, świniaka i kilka królików. Dla naszego konia nie bardzo było miejsca, więc uwiązali go pod takim zadaszeniem, dostał wody, siana i tam nocował.

Na drugi dzień tata pod pozorem, że chce go sprzedać pojechał szukać apteki, żeby przywieźć lekarstwo od świerzby. No i przywiózł. Po obiedzie Pan Szmitowski mówi, że jeżeli naprawdę chce sprzedać tego konia, to jest kupiec blisko i jutro przyjdzie do kuźni po narzędzia, to mu powiem. Kupiec przyszedł, dogadali się z tatą, zapłacił za konia markami, i jeszcze przywiózł kawał mięsa i torbę pszennej mąki. Mama się ucieszyła, że już nie będziemy tylko na ich garnuszkach. Ja natomiast miałem trochę mniej zadowolenia, ponieważ po kolacji musiałem wychodzić z mamą za stodołę i smarowała mnie przy zdjętej koszuli pod pachami rąk, a ja się smarowałem między nogami przy zerowej temperaturze. Popijałem jeszcze z butelki jakieś świnstwo, bardzo niesmaczne.

Po trzech dniach swędzenie ustąpiło i jakoś szczęśliwie, że nikt się nie zaraził. Nasz tata przez pierwsze trzy dni pomagał panu Szmitowskiemu w kuźni i obejściu. Potem często chodził do rolników młócić zboże i do innych robót, za co otrzymywał groch, mąkę, ziemniaki, a mama pomagała gospodyni w przyrządzaniu posiłków i tak razem spożywaliśmy te posiłki. Ci gospodarze byli dla nas bardzo dobrzy, widać było, że nas polubili.

W połowie grudnia, gdy byliśmy jeszcze w Lipie dotarła do nas wiadomość, że w Raszujce zmarł mój dziadek z Rupina (ojciec mojego taty). Przebywał on tam czasowo u swego brata. Tata wybierał się tam pójść, i powiedział, że jak chce to mogę z nim iść. No i niezwłocznie poszliśmy pieszo, potem od tyłu nadjechał konny wóz. Woźnica wziął nas z sobą i niecałą godzinę jechaliśmy. Potem znowu szliśmy pieszo i późnym popołudniem dotarliśmy do Raszujki. Gdy weszliśmy na podwórko



zobaczyliśmy, że mój dziadek ten, co miał umrzeć chodzi po podwórku i po przywitaniu się z nami i krótkiej rozmowie powiedział, że wczoraj mieliśmy pogrzeb, bo zmarł mój brat, który był tu gospodarzem. Tata nie powiedział, że przyszliśmy na pogrzeb dziadka, tylko w odwiedziny.

Była tam też razem z dziadkiem siostra taty Konstancja z mężem Franciszkiem Napiórkowskim. Oni, jak i dziadek, też byli uchodźcami spod frontu i zatrzymali się tu na przetrwanie. Na pewno było im lepiej niż nam, bo trafili do rodziny, przyjechali swoim wozem, przywieźli żywność i odzież. Po kolacji siedzieliśmy jeszcze długo i opowiadali nam, że w Rupinie i okolicy też były ciężkie walki, że spalili się ich dom i stodoła, a z murowanej obory zostały tylko gołe ściany. Tata znowu opowiadał o naszych przygodach. Po przespanej nocy zjedliśmy śniadanie razem z gospodarzem tego domu młodym Jabłonowskim - synem zmarłego. On pracował na kolei i powiedział, że dzisiaj ma wolne, ale w swojej sprawie jedzie do Parciaków pociągami i my też tym pociągami możemy trochę podjechać, i że potem będziemy mieli bliżej do Lipy. Uszykowali nam torbę z żywnością, trochę odzieży i poszliśmy do pociągu w Raszujce.

Jechaliśmy tylko do następnej stacji w Parciakach, razem z kuzynem wysiedliśmy, i on został, a my poszliśmy w bok od linii kolejowej w prawą stronę. W pobliżu stacji kolejowej w Parciakach stacjonował duży oddział niemieckich wojsk pancernych i piechoty. Nas nie zaczepiali, więc szliśmy jak tata prowadził w stronę Jednorozca. Nie trzymaliśmy się lepszej drogi, a szliśmy gorszymi, żeby było prościej i bliżej. Pola i drogi były zamarznęte, więc wszędzie dało się iść. W oddali widać było las. Tata mówił, że tam przy drodze pod lasem będzie leśniczówka, bo już kiedyś tam był. Gdy podeszliśmy bliżej, to było widać, że kręca się tam wojskowi. Nie wypadało już schodzić z trasy i szliśmy dalej prosto. Gdy zbliżyliśmy się do leśniczówki, to naprzeciw nas stanęło dwóch uzbrojonych żołnierzy niemieckich, w hełmach na głowach i zatrzymują nas. Jeden z nich mówił względnie po polsku, pytali nas o dokumenty, dokąd idziemy i co przenosimy. Tata pokazywał jakieś papierki i jeden

z nich podprowadził nas bliżej do bramy a tam wyszedł starszy stopniem i kazał wyłożyć na ziemię wszystko, co mamy w torbach i w kieszeniach. Więc opróżniliśmy te nasze niewielkie torebki. Ja w kieszeni miałem nowy pasek do spodni, który dał mi kuzyn, gdy odchodziliśmy z Raszujki. Na tym pasku była przymocowana taka żółta blaszka i były na niej jakieś litery. Nie zdążyłem jeszcze tego paska wyjąć, a Niemiec rozpiął mi guzik od bluzy, postukał po kieszeniach, wyciągnął pasek, rozwinął go z rulonika i pyta skąd go mam. Tata chciał coś odpowiedzieć, ale on nie pozwolił, i dalej pyta mnie. Ja mówię, że znalazłem przy pociągu i wziąłem, bo mam taki słaby w spodniach. Żołnierz, poszedł z tym paskiem na dyżurkę i wrócił z oficerem. Przepytali tatę gdzie byliśmy, dokąd idziemy i o zawartość w torebkach, a ten, co miał w rękę mój pasek, podeszedł do mnie, pogroził mi palcem i trącił mnie po nosie odwrotną stroną dłoni. Mi z nosa pociekła krew. Zobaczył to ten oficer, przyszedł do mnie i pokazał mi, żebym sobie palcami zaciśnął nos. Temu żołnierzowi coś powiedział po niemiecku i on poszedł na dyżurkę, odczepił tę blaszkę a pasek przyniósł mi i oddał. I dał mi nieduży rulonik papieru toaletowego do wytarcia nosa. Zabraliśmy wszystko swoje i odeszliśmy. Stacjonował tam sztab niemiecki.

Po odejściu od leśniczówki szliśmy drogą przy lesie, ale niedługo, bo las się skończył, droga skręcała w prawo obok lasu, a my poszliśmy przez łąkę, że będzie prościej. Po niedługim czasie widzimy przed sobą, że w poprzek tej łąki rosną olszyny, więc myśleliśmy, że będzie poprzeczna droga. Dochodzimy bliżej i patrzymy, że tu przebiega rzeka szerokości ok. 3-4 m. Była zamarznęta. Nie wiadomo jak gruby jest lód. Przeskoczyć będzie trudno. Znalazłem grubą suchą gałąź i próbujemy nią stukać w lód i wydaje nam się, że nie jest gruby. Chcieliśmy złamać wyższą olchę, żeby położyć dla zabezpieczenia, ale to było trudne. Złamaliśmy dwie cieńsze. Położyliśmy je w poprzek rzeki i mieliśmy próbować przechodzić. Ja chciałem wchodzić, a tata woła - poczekaj! Cofnąłem się i patrzymy, że wzdłuż rzeki w naszą stronę idzie człowiek z siekierą. Podeszedł do nas i mówi, że strach przechodzić, bo rzeka jest głęboka do mostu jest niecałe

2 km i lepiej jest pójść tam. Ale tata mówi, że by pan dał nam siekierę, to wytniemy to grube drzewo, bo i tak jest uszkodzone i będzie dla zabezpieczenia. Wyrąbał tata drzewo, położyliśmy je na lód i ja przechodzę. Przeszedłem, nawet nie trzeszczało, wróciłem z powrotem, wziąłem jedną torbę, zaniósłem, potem drugą potem przechodził tato. Trochę lód się ugiął, ale przeszedł. Ta rzeka, przez którą przechodziliśmy nazywała się Orzyc, niedaleko była miejscowość Jednorożec.

Przechodząc przez wieś spotkaliśmy dwoje ludzi i tata zapytał czy mogliby nam zrobić herbaty. Oni zaprosili nas do domu, zrobili herbaty i dali nam zjeść chleba ze smalcem. Odpoczęliśmy ok. pół godziny i poszliśmy w stronę Lipy. Pod wieczór byliśmy na miejscu.

Przychodzi Armia Czerwona

Armia Czerwona po zdobyciu przyczółka różańskiego robiła tylko wypadły na pozycje armii niemieckiej i wracali na swoje stanowiska przynarwiańskie i tam stacjonowali do 14 stycznia 1945 r. Front się nie posuwał, wracać nie mogliśmy i przesiedzieliśmy w tej Lipie od końca września do 18 stycznia 1945 r. Od południa 17 stycznia przemieszczało się przez Lipę dużo niemieckich dużych pojazdów na gąsienicach i kołach gumowych. W pobliskiej okolicy nie było słychać żadnych strzałów. Poszliśmy spać. Rano, gdy się zbudziłem i poszedłem na podwórko na drodze zobaczyłem bardzo dużo wojska armii radzieckiej. Zaraz następnego dnia szykowaliśmy się całą rodziną do wyjścia w drogę powrotną do Napiórk. Wdzieliśmy, że tam nie ma nic na powierzchni ziemi, ale w dołach jest zakopanych dużo rzeczy i czym wcześniej wrócimy tym więcej uratujemy. Tata już wcześniej z pomocą kowala zrobił ręczne dość duże sanki, bo to była śnież-



Czesława i Bogumił początek lat 80-tych.



Jubileusz ślubu Bogumiła i Czesławy - za nimi Zdzisław.

na zima, i poukładaliśmy na nie to, co mieliśmy: groch, trochę mąki, chleba, solonej słoniny. I pieszo ciągnęliśmy te sanki ok. 30 km, myślę, że jeszcze z hakiem.

Podróż z Lipy do Napiórk była ciężka. Było ślisko i zimno. Przechodząc przez pewną miejscowość gdzie było kilka niezniszczonych domów, wydaje mi się, że była to Czerwinka Włościańska, poprosiliśmy o nocleg. Przed południem wyszliśmy w stronę Napiórk. Po długim czasie przechodzimy przez szosę łączącą Różan z Makowem, potem przez szosę Pułtusk - Różan. Na polach w tej okolicy była znikoma ilość śniegu. Widoczne były leje po bombach lotniczych i wybuchach artyleryjskich. Pola rozkopane rowami strzeleckimi. Idziemy dalej i wszędzie podobny widok. Do Napiórk podchodzimy od strony Pruszk. Wdziemy, że laszek tuż przed Napiórkami jest zniszczony i rozkopany rowami strzeleckimi i bunkrami. Przy drodze prowadzącej przez Napiórki, blisko naszych zabudowań, była mурowana kapliczka, i też jej nie ma. Dalej na skrzyżowaniu z drogą do Różana stał wysoki krzyż z mosiężnym wizerunkiem Pana Jezusa, i też go nie ma. Po naszych zabudowaniach i w ogóle Napiórkach nie ma śladu. Weszliśmy na nasze siedlisko i podchodzimy do miejsca gdzie był ogród owocowy, a tam między śliwkami, w dużym prostokątnym dole zakopane były nasze najcenniejsze rzeczy domowe i garderoba oraz rzeczy ciotki Masłowskiej. Mama i Halinka rozplakały się - niczego nie znaleźli, ale idziemy dalej, bo tam między wiśniami bliżej domu była zakopana i zabezpieczona żywność. W miejscu pierwszego schronu były bardzo szerokie rozkopy i ani śladu naszych rzeczy i tak samo w drugim miejscu - nic nie znaleźliśmy. Poszliśmy jeszcze w trzecie miejsce, gdzie były zakopane cztery nowe koła do wozu, lepsza uprząż, różne narzędzia gospodarcze, a na wierzchu położone były brony polowe. Tam też nic nie było.

Na horyzoncie pojawił się człowiek, był to Roman „Bolków” - myślę, że nazywał się Napiórkowski, ale nazywali ich Bolkami. Dzień chylił się ku zachodowi. Gdy Roman podszedł

do nas, zapytaliśmy go gdzie mieszka i czy można tu gdzieś przenocować. Roman odpowiedział, że mieszkają w ziemiance i mają bardzo ciasno, że w nocy leżą jeden przy drugim jak śledzie. Powiedział też, że w Napiórkach mieszka jeszcze kilka rodzin, ale też w ziemiankach albo w bunkrach i wszędzie jest bardzo ciasno. Ale na Łachach zostało kilka budynków i może tam coś znajdziemy. Poszliśmy w tamtą stronę i zobaczyliśmy, że nieopodal drogi kopci się z komina za krzakami i nie widać żadnego budynku. Podeszliśmy tam i wdzimy, że jest to duży bunkier. Z bunkra wyszedł Pan Szydlik. Zналиśmy go, ponieważ niedaleko od niego mieliśmy łąkę. Powiedział, że ma już na nocleg przechodniów, ale musimy się jakoś pomieścić. Przenocowaliśmy tam na siedząco, ale było ciepło.

Na drugi dzień poszliśmy na Łachy. Tam przyjął nas pod swój dach pewien gospodarz o nazwisku Prusik. Na Łachach stacjonowali też polscy saperzy, który rozminowywali pola i drogi. Tata dużo rozmawiał z wojskowymi o przebiegu frontu, gdzie są miny i dowiedział się, że w Napiórkach dwóch ludzi jest okaleczonych przez miny. Jeden nazywał się Śledziwski, drugiego nie pamiętam. Powiedział też, że w Napiórkach nie wszędzie jest rozminowane i że trzeba uważać na oznakowania. U pana Prusika dostaliśmy jeden pokój i tam we czwórkę mieszkaliśmy. Ja już od kilku dni, odczuwałem niezbyt mocny ból w pierś po lewej stronie mostka. Nic nikomu nie mówiłem, ale później poczułem, że rośnie mi guz w miejscu, w którym miałem ranę jeszcze w Biedrzycach od odłamka rozerwanej bomby. W nocy bolało mnie gorzej i rano powiedziałem to rodzicom. Tata zaraz biegiem udał się do wojskowych, wytłumaczył jak sytuacja wygląda i pytał o lekarza. Dowódca tych saperów powiedział, że jutro będą jechać do Pułtuską zawieźć jednego żołnierza do szpitala a dwóch przywieźć ze szpitala. Na drugi dzień przyjechał samochód z czerwonym krzyżem na drzwiach. Kierowcą był polski żołnierz i sanitariusz. Zabrali żołnierza z chorą nogą a także wzięli mnie na badanie i tatę do opieki. Lekarz

wojskowy zbadał mnie i powiedział, że dopiero jutro zrobią prześwietlenie i będzie wiadomo, co robić. Tata chciał zostać ze mną, ale lekarz powiedział, że nie ma potrzeby i niech przyjedzie za cztery lub pięć dni. Zaprowadzili mnie na salę, gdzie było pięciu żołnierzy, tata podpisał jakieś karty, kazał mi się nie martwić i odjechał z żołnierzami. Na drugi dzień, koło godz. 10 - zrobili mi prześwietlenie i zawieźli wózkiem na salę. Obiadu mi nie dali, chociaż byłem głodny. W czasie roznoszenia kolacji przyjechali z wózkiem, zabrali mnie, i zawieźli na salę operacyjną. Potem uśpiłi mnie i jak się przebudziłem to byłem obandażowany i leżałem na sali, gdzie było dwóch żołnierzy, a jeden z nich miał skróconą nogę. Następnego dnia dostałem trochę śniadania. Czwartego dnia przyjechali moi rodzice. Tata był niedługo, gdzieś poszedł i znowu przyszedł i powiedział do mamy, że na noc ma iść do krawcowej Batogowskiej, a tata idzie na Łachy i przyjedzie po nas za dwa dni. Szóstego dnia po operacji tata przyjechał z tym żołnierzem, co mnie przywiózł i wróciliśmy na Łachy. Po kilku dniach przyszedł do mnie pewien wojskowy lekarz, trochę popytał, pobałał, posłuchał i powiedział, że jest dobrze.

Gdzieś po trzech tygodniach znowu żołnierze jechali do Pułtusza i sanitariusz wziął mnie do kontroli, przebadali mnie i wróciliśmy razem.

W połowie marca, gdy czułem się już zupełnie zdrowy, poszliśmy z tatą do Napiórk. Spotykaliśmy się z niektórymi ludźmi co mieszkali z bunkrach lub ziemiankach i tata pytał co mają zamiar dalej robić, jak żyć, i czy może wiedzą co stało się z naszymi rzeczami zakopanymi w ziemi. Ale ich odpowiedzi były, że to zniszczyły bomby - bo to było najłatwiej powiedzieć.

Wracając z Napiórk szliśmy z naszego dawniejszego podwórka, przy granicy z Chrzanowskimi, gdzie dawniej była wewnętrzna droga na łąki i pastwiska. W pewnym miejscu, w takim dole, gdzie zawsze była woda, widzimy ludzkie nagie ciała wystające częściowo z lodu, a przy gruncie była już woda. Tata powiedział, że to na pewno żołnierze niemieccy, bo ruskich i Polaków to zbierali i chowali na tymczasowym cmentarzu, gdzie były najcięższe walki i zginęła ogromna ilość żołnierzy z obu frontów. Przeszliśmy dalej ok. 300 m. i widzimy na ziemi leżących obok siebie dwóch radzieckich żołnierzy umundurowanych, ale bez butów i bez czapek. Widok tych żołnierzy bardzo mnie przestraszył, bo ich twarze były ciemne, wargi bardzo powykęcane i duże oczy na wierzchu. Wyszliśmy na lepszą drogę i idziemy w stronę naszej kwatery, bo już zaczynał się zmierzch. Ale gdziekolwiek przechodziliśmy przy krzakach, to czepiałem się ręki taty, bo ciągle miałem ten straszny widok dwóch twarzy przed oczami. W nocy też się budziłem, bo śniło mi się, że oni wciąż na mnie patrzą.

U pana Prusika mieszkaliśmy jeszcze długo. Pewnego wieczoru, a było to już w kwietniu, tata powiedział, że pójdzie do Rupina jutro, odwiedzić dziadka i siostry mieszkające w okolicy i za 2-3 dni wróci. Minął czwarty dzień a taty nie ma. Martwiliśmy się, że może gdzieś go mina rozerwała. Bo jak wcześniej wróciliśmy z Napiórk i tata powiedział wojskowym, że widzieliśmy leżące na polach trupy żołnierzy to go wykrzyczeli, dlaczego tam chodziliśmy, że tam pola są jeszcze nierozminowane. Ale piątego dnia tata wrócił, przyniósł od ro-



Wigilia 2012.

dziny trochę lepszej żywności i już było trochę lepiej. Przedtem jadaliliśmy przeważnie bezmięsną grochówkę, lub jakąś inną zupę.

Na Ziemie Odzyskane

Tata powiedział, że niektórzy ludzie ze zniszczonych terenów rozważają, żeby niedługo przenieść się na „odzyskane” tereny Prus Wschodnich i my też musimy o tym pomyśleć. Pod koniec kwietnia tata po rozmowie z oficerami powiedział, że Prusy Wschodnie przyłączono do Polski i wielu Niemców opuściło już swoje gospodarstwa. Można, zatem się tam osiedlać. Ze względu na to, że w Napiórkach nie zostało nam nic, oprócz rozkopanych i zaminowanych pól, rowów przeciwczołgowych, okopów i pustych dołów na siedlisku postanowiliśmy przenieść się na ziemie odzyskane.

W pierwszym etapie podróży z Łachów do Makowa przytrafił nam się pojazd konny (wojskowy tabor), którym żołnierze jechali do Makowa i nas podwieźli. Potem z Makowa w stronę Przasnysza zamierzaliśmy iść pieszo, z tym że po przejściu kilku kilometrów jechał w naszą stronę pewien człowiek, zabrał nas na wóz i jechaliśmy ok. 3 km i znowu pieszo. W drodze z przeciwnego kierunku spotykaliśmy ludzi, którzy wracali już (jak wspomnieli) od Działdowa, i opowiadali, że są już za Działdowem opuszczone przez Niemców gospodarstwa, które można by zająć, ale grasują tam bandy szabrowników i mordują ludzi, a sami rabują i wywożą, co tylko jest. Rodzice nasi przestraszyli się, a szczególnie mama, i dyskutowali ze sobą, że chyba trzeba wracać, ale ja odszedłem kilkanaście kroków do przodu i powiedziałem, że ja się nie wracam! Za mną poszła Halinka, no i rodzice nie mając innego wyjścia poszli za nami.

I tak pieszo doszliśmy do Przasnysza. Z Przasnysza kolejką wąskotorową dojechaliśmy do Mławy. Dalej pociągiem dojechaliśmy do Działdowa. Tam tata dowiedział się w starostwie, że w miejscowości Wysoka jest opuszczone przez Niemców gospodarstwo

i można się tam osiedlić. Było to duże gospodarstwo ok. 40 ha, była tam duża stodoła, dwie obory, do mieszkania były dwa wejścia od podwórka. Widzieliśmy już, że to gospodarstwo jest przeznaczone dla dwóch użytkowników. Gdy dotarliśmy do Wysokiej i sołtys zaprowadził nas do celu to widzimy, że połowa domu jest już zajęta przez pewne małżeństwa, a dla nas było drugie pół. Oborę też miałby każdy swoją, a stodoła miała dwa klepiska i można było rozdzielić. Podwórko było wspólne, co też można zagrozić. Warunki do zagospodarowania były dobre i eleganckie z czerwonej cegły dom. Wszystko byłoby dobrze, ale na ówczesny czas był i minus, że te zabudowania były umiejscowione pod lasem, daleko od wsi, chociaż blisko szosy. Po rozmowie z sąsiadami, którzy też dopiero trzy dni tam mieszkali, to mówili, że słyszeli o grasujących bandach i rabusiach, ale w tych zabudowaniach nie ma już wiele do zabrania, bo całe zboże już wykradzione. I lepszego sprzętu rolniczego też tu już nie ma. Powiedzieli, że też się boją, ale mają zamiar tu zostać.

Przenocowaliśmy tam pierwszą po przybyciu noc i rano mama mówi, że słyszeli w nocy jakieś krzyki w lesie i nie mogła do rana spać. Rano rodzice dyskutowali, że może gdzieś dałoby się znaleźć bezpieczniejsze gospodarstwo. Ale na razie nigdzie się nie wybieraliśmy. Tata natomiast musiał pójść do starostwa w Działdowie, załatwić formalności związane z objęciem tego gospodarstwa.

Gdy w Działdowie przechodził blisko dworca kolejowego spotkał dawnego znajomego, byłego mieszkańca Borut (w pobliżu Napiórk) pana Feliksa Obrębskiego, który powiedział, że już się osiedlił na Mazurach w Raushen (Ruszkowo), ale są tam jeszcze opuszczone gospodarstwa i żeby tam przychodzić, bo jest piękna wieś.

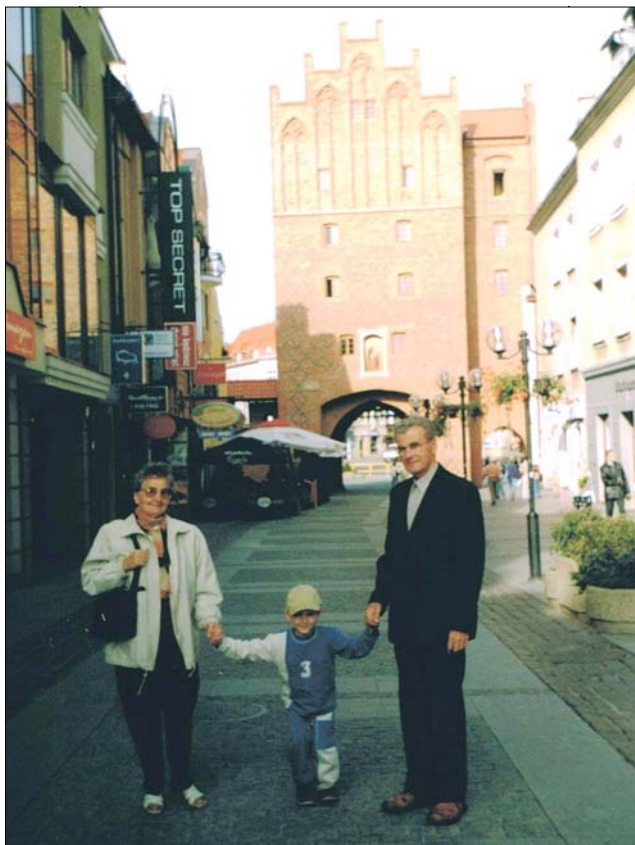
Tata wrócił do Wysokiej i w porozumieniu z mamą i z nami – dziećmi, postanowiliśmy, że jutro z rana będziemy się przemieszczać do Ruszkowa odległego o 17 km od Działdowa.

Po drodze minęliśmy miejscowość Uzdowo, Była to ostatnia wieś po stronie polskiej. Za nią

znajdowała się nieważna granica polsko-niemiecka. Na niej były jeszcze połamane szlabany i rozbite butki przygraniczne. Do Ruszkowa dotarliśmy o godzinie 15.00 w dniu 5 maja 1945 r.

Zeszliśmy najpierw do pana Obrębskiego, tam zjedliśmy najpierw jakiś posiłek, potem Obrębski zaprowadził nas do obok mieszkającego sołtysa Gołębiewskiego. Sołtys wskazał nam znowu obok siebie - posiadłość z pięknym domem, w którym do wczoraj kwaterowali dwaj oficerowie armii radzieckiej. W tej posiadłości przed dojściem frontu mieszkał Niemiec Fleishmeister, który prowadził zakład rzeźniczy i sklep mięsno-wędliniarski. W domu było czysto, dobre meble, dwie kanapy, na łóżkach materace, na kuchni czyste garnki i czajniki. No i tu się rozlokowaliśmy. W pomieszczeniu gospodarczym było drzewo i węgiel. Mama z Halinką rozpałyły w kuchni, nagrzały wody. Tata rozpałył w piecu, wieczorem umyliśmy się i poszliśmy spać. Na drugi dzień poszliśmy z tatą zobaczyć jak wygląda całe Ruszkowo, gdzie są dobre i nie zajęte budynki gospodarcze, bo tam gdzie się rozlokowaliśmy był dobry dom, ale nie było dobrej obory i stodoły. Były tylko takie trzy pomieszczenia na rzeźnictwo i wędliniarstwo. Obok niewielka obora i małe stodoły. Należało do tego trzy ha ziemi. Naprzeciw tego - po drugiej stronie ulicy były duże dobre budynki gospodarcze, nowa obora wybudowana w 1943 r., (bo jest na niej napis ukończenia budowy, istniejący do tej pory), dobra duża stodoła z dwoma wjazdami i klepiskami. Dom z zewnątrz był gorszy, pod papą i już starszy, ale wewnątrz było ładnie i dobrze. Dwa większe pokoje, jeden mniejszy, dwa przedpokoje i kuchnia. U góry przy kominiarce była wędzarnia i na strychu było dużo powierzchni na różne rzeczy. Pod stodołą była duża piwnica na ziemniaki na różne warzywa i pod oborą tu gdzie były żłoby dla bydła, pod spodem była piwnica na brukiew i buraki pastewne. Nad oborą było dużo pomieszczenia na siano, a od czoła u góry był spichrz, a na dole pomieszczenie na przygotowanie paszy i parnik.

Po dokładnym przeglądzie tych zabudowań postanowiliśmy, że się tam przeniesiemy. Tata uzgodnił to z sołtysiem. Oczyszcziliśmy mieszkanie i przeszliśmy tam. Na początku Ruszkowa od strony południowej był majątek ziemski, później PGR. Była też tam czynna gorzelnia. Pracowali w niej dawniejsi pracownicy, mieszkańcy Ruszkowa, którzy nie uciekli przed wojskami radzieckimi. Mieli też kilka dobrych koni, których używali do przewozu ziemniaków z kopców do gorzelni i do innych robót gospodarczych. Stacjonowała tam też duża grupa żołnierzy radzieckich. Nadzór nad całością w tym majątku sprawował wyższy stopniem oficer radziecki i kilku z niższym stopniem.



Wanda, Wojtuś i Zdzisław w Olsztynie przed Wysoką Bramą.

Nadzór nad cywilami pracującymi przy koniach i na posesji sprawował cywil niejaki pan Aleksander Garost. On przychodził tam do sołtysa zapoznać się też z naszym ojcem i dogadali się, że tata będzie mógł od nich wypożyczać konie do robót polowych i na noc odprowadzać. Pole, które należało do naszego gospodarstwa należało obsiać. Było na zimę zaorane, ale trzeba było wykonać wiosenne uprawki, zasiać zboże jare i zabronować. Zboża ozime były obsiane jesienią przez Opalkę. Konie braliśmy na zmianę. Raz jedną parę, a na drugi dzień drugą parę. I tak od poniedziałku do czwartku wykonaliśmy roboty wiosenne i posadziliśmy ziemniaki. Po niedługim czasie wojsko radzieckie odchodziło, a na zarządcę majątku P.N.Z. (Państwowe Nieruchomości Ziemskie) przybył cywil, nazywał się Wójcik. Natomiast do gorzelni, tam gdzie przedtem kwaterował dowódca wojsk radzieckich, przyjechało trzech polskich milicjantów. Jeden z nich był komendantem i powstał Posterunek Milicji Obywatelskiej w Ruszkowie.

Po wykonaniu pilnych prac wiosennych tata wziął resztę posiadanych marek, pojechał z nimi do Olsztyna i w banku wymienił na złotówki. Z Olsztyna pociągiem przez Szczecino pojechał do Chorzela, tam na jarmarku kupił konia i na nim wrócił do Ruszkowa. Wóz był już w domu przygotowany, bo znaleźliśmy go w stodole przykrytego słomą i złożyliśmy. Dwa półszorki znaleźliśmy schowane w sianie na oborze i bardzo się przydały. A jak jest wóz, koń i półszork to już można jechać.

Po jakimś czasie z przydziału otrzymaliśmy piękną klacz z UNRRA. Mieliśmy już dwa ko-

nie i jęździliśmy na rynek do Działdowa do młyna w Dąbrównie, do lasu po drzewo, no i gdzie była potrzeba. Pracowaliśmy też na polu.

We wrześniu 1945 r. rozpocząłem naukę w szkole podstawowej w Ruszkowie. Wprawdzie wcześniej, w czasie okupacji niemieckiej uczestniczyłem w tajnym nauczaniu, trochę też wiadomości otrzymywałem od rodziców i starszej siostry, ale świadectwa żadnego nie miałem i teraz zaczynałem od pierwszej klasy. Nie chodziłem po całym roku do jednej klasy, ponieważ już w pierwszym roku szkolnym 1945/46 otrzymałem świadectwo ukończenia klasy trzeciej. Następnie w roku 1946/47 ukończyłem klasę piątą, dalej w 1947/48 r. ukończyłem klasę szóstą a w roku 1948/49 ukończyłem siedmioklasową szkołę podstawową.

28 marca 1949 r. rodzina nam się powiększyła, ponieważ w tym dniu przyszła na świat nasza kochana siostrzyczka Eulalia. Rodzice byli zadowoleni, ponieważ wyrównał się stan rodzeństwa sprzed 7 września 1939 r. Natomiast ja z siostrą Halinką bardzo się cieszyliśmy, że mamy jeszcze jedną siostrzyczkę i bardzo ją kochamy.

Ja w latach 1949-1952 ukończyłem 3-letnią szkołę zawodową mechaniczną specjalności tokarz.

Posłowie

Opisałem tu w skrócie najtrudniejszy okres moich lat dziecinnych oraz moich rodziców i siostr. Były to lata smutne, tragiczne i bolesne. Do opisu niektórych faktów terroru okupacyjnego oraz wydanych przez Hitlera dekretów ucisku, zakazów i nakazów posiłkowałem się notatkami Witolda Zduniaka. Był on z zawodu nauczycielem, ale też działaczem ruchu oporu. Współzałożycielem tajnej organizacji K.O.P, potem ZWZ - przekształconej w Armię Krajową, na okręg różański.

Wiele też wątków jest z opowieści mojego taty. Potem, już po wojnie, w latach 50-70-tych spotykałem się często ze wspomnianymi już wcześniej Henrykiem Górką i Stanisławem Napiórkowskim, którzy podobnie jak my w Napiórkach przeżywali czas wojny i okupacji. Byli oni obaj po 11 lat ode mnie starsi, ale byliśmy kolegami. Mieszkali w gminie Dąbrówno w Tułodzadzie i przy spotkaniach opowiadaliśmy o swoich przeżyciach w czasie wojny i okupacji.

(-) Zdzisław Jabłonowski
Współpraca Adam Jabłonowski



Z Mazowsza na Warmię Moja droga życia

Ryszard DOBEK

Wszedłem już w jesień życia i wydarzenia dawnych lat, które poznałem dzięki opowiadaniom rodziców i starszych krewnych, coraz bardziej zaciera się w mojej pamięci. Podobnie jest z własnymi przeżyciami. Dlatego często zastanawiałem się, jak ująć wspomnienia, by nie stracić nic z tego, co się wydarzyło w życiu mojej rodziny.

Zdaję sobie sprawę, że niejedno zdarzenie mogło ulec zapomnieniu i nie wszystko uda się odtworzyć. Pamiętam bowiem powiedzenie dramaturga i poety angielskiego Oskara Wilde'a: „Życia nie można opisać, można je tylko przeżyć”.

Zanim zabrałem się do pisania, nurtowało mnie wiele wątpliwości. Czy warto podejmować ten trud? Kogo może zainteresować biografia człowieka przeciętnego, choć żyjącego w trudnych, a jednocześnie ciekawych czasach? Przekonał mnie fakt, że istnieje wiele podobnych zapisów, jak pamiętniki, wspomnienia, dzienniki, listy ludzi zazwyczaj prostych, pochodzących czasem z nizin społecznych. Ponadto jest rzeczą naturalną, że każdy człowiek, nawet najskromniejszy, pragnie po sobie zostawić ślad. Ważną rolę odegrała też świadomość zbliżania się do kresu życia. Jest to zwykle czas podsumowań i przemyśleń nad przebytą drogą.

Jestem ostatnim mężczyzną z rodu Dobków wywodzących się z linii Adama. Ta świadomość, że wraz ze mną skończy się historia tego rodu mobilizowała mnie do pozostawienia w pamięci następców, moich wnuków i prawnuków, choć trochę historii z mego życia i tej linii rodu Dobków.

Czasy, w których żyłem, zapewniam - nie były łatwe. Działo się wtedy tak wiele, że błędem byłoby o tym zapomnieć, nie dzieląc się swoimi przeżyciami z potomnymi. Dzieje jednej rodziny to zaledwie fragment tego okresu. Jednak są istotną częścią historii Polski od XIX do XXI wieku.

Do opracowania tej publikacji zainspirował mnie też przyjaciel z lat młodości, Stanisław Pajka z Ostrołki, który w wydanej w 2010 roku własnej monografii zachęca ziomków do zakładania kronik rodzinnych, które „pozwołyby zachować pamięć o naszych przodkach i jednocześnie umacniałyby naszą kurpiowską tożsamość”.

W odtwarzaniu wspomnień opierałem się na własnej pamięci oraz na dokumentach rodzinnych, na przekazach ustnych rodziców i starszego rodzeństwa, a także krewnych. Przedstawiam je w układzie chronologicznym, ukazując moją drogę życia od najwcześniejszych lat do dzisiejszej już starości. Zamieszczam krótkie wzmianki o osobach mi najbliższych:



Ryszard Dobek, 1959 r.

o rodzicach, żonie, dzieciach, wnukach, krewnych, przyjaciółach i kolegach. Dołączam też fotografie – niepodważalne świadectwo minionych lat.

By z należytej perspektywy przedstawić moje życie na tle pozostałych członków rodziny Dobków, trzeba było sięgnąć najgłębiej, jak to możliwe. Do korzeni. Należało ich szukać na północnym Mazowszu. Konieczne też było zajrzenie do materiałów źródłowych w księgach parafialnych w Goworowie w powiecie Ostrołęka. Wiele skorzystałem z monografii Jerzego Dziewirskiego „Goworowo i okolice”, podającej wiele faktów o osobach i czasach, o których wspominam. Znalazłem tam wiele danych ułatwiających odtworzenie drzewa genealogicznego mej rodziny. Pomocne były wizyty na cmentarzach w Ostrołęce, Goworowie i Sypniewie.

Starłem się przedstawić przebieg mego życia wraz z radościami i smutkami. Poszczególne okresy opisuję w kontekście czasów, w jakich przyszło mi żyć. Niekiedy dzielę się ogólniejszymi refleksjami dotyczącymi danego okresu, wspomagając się „Przewodnikiem po źródłach historycznych z dziejów ziem województwa ostrołęckiego” pod redakcją Józefa Kaźmierskiego i Małgorzaty Pleskaczyńskiej.

Jestem rad, a nawet szczęśliwy, że udało mi się opisać swoją drogę życia. Publikację niniejszą opracowałem głównie z myślą o wnukach i prawnukach z nadzieją, że zachowają oni pamięć o przodkach i trudnych czasach, w jakich

oni żyli i z jakim trudem osiągnęli swoją pozycję społeczną, gdyż zgodnie z łacińską maksymą: „Słowa uciekają, zapiski pozostają”. Młodzi żyją teraz w innych czasach, a przysłowio- wy „wyścig szczurów” przysłania im inne ważne sprawy, istotne dla człowieka. Chciał- bym, by moi następcy podtrzymywali stare więzi rodzinne, zachowali tradycje i cieszyli się ze swego życia oraz z tego, co osiągnęli.

Dziękuję rodzinie za zrozumienie i pomoc w odświeżeniu wspomnień i udostępnienie dokumentów. Dziękuję zwłaszcza siostrze Kry- stynie i szwagrowi Kazimierzowi Nartonowicz za udostępnienie zdjęć i uzupełnienie wspomnień. Dziękuję też córkom Annie i Elżbiecie za mobilizowanie mnie do pracy i pomoc w opracowaniu komputerowym.



Ryszard Dobek z prawnuczkami – Tosią i Anielką, 2012 r.

Dziękuję też żonie Janinie za cierpliwość oraz wszystkim kolegom i przyjaciółom, którzy inspirowali mnie do prowadzenia zapisów, które pozwoliły zachować pamięć o moich przodkach. Szczególne słowa podziękowania pragnę wyrazić koledze redaktorowi Jerzemu Pantakowi za życzliwe rady i redakcyjną pomoc w przygotowaniu do druku niniejszej publikacji.

Z ziemi nasz ród

Odległe początki rodziny Dobków giną w mroku dziejów, jednak już w XIX wieku wylania się postać mego pradziada, który miał trzech synów oraz sześć córek. Wszyscy synowie byli rolnikami. Adam (1863-1939) miał gospodarstwo w Jaworach, Kazimierz (1869-1930) w Jaworach Starych, a Józef (1871-1929) w Kruszewie.



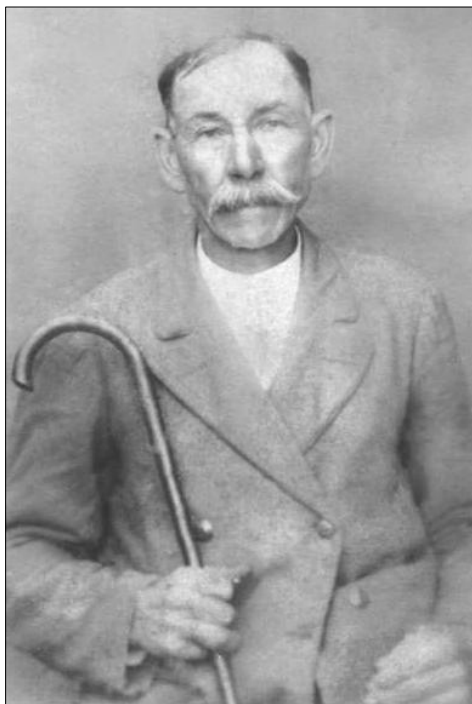
Dziadek Stanisław Karolak w wojsku carskim.

Józef z Kruszewa miał dwie córki i czterech synów: Franciszka, Kazimierza, Tadeusza i Adolfa (1919-2006) – wszyscy byli rolnikami. Natomiast Kazimierz w Jaworach Starych miał pięć córek i trzech synów. Najstarszy z nich, Czesław (1905-1940), jako kapitan 6 pułku artylerii Wojska Polskiego podczas II wojny walczył na wschodnich terenach i dostał się do niewoli sowieckiej. Przebywał w obozie jenieckim w Kozielsku, skąd w 1940 roku został wywieziony do lasu katyńskiego i rozstrzelany. Wacław (1907-2000), podobnie jak ojciec i dziadek, był rolnikiem w Jaworach, a najmłodszy Ludwik (1917-1982) skończył studia i pracował w Warszawie.

Najstarszy z synów pradziadka, Adam, był moim dziadkiem. Ożenił się z Apolonią Karolak zmarłą w 1928 roku. Mieli liczne potomstwo, gdyż wychowali trzech synów i cztery córki. Ale mój ojciec Władysław wspominał, że dwoje jego rodzeństwa zmarło w wieku niemowlęcym. Ojciec, urodzony 28 lutego 1900 roku, był najstarszym z chłopców, następnym był Zygmunt (1906-1951), a najmłodszym z rodzeństwa był Tomasz (1914-1998).

Wszystkie siostry mego ojca wyszły za mąż za rolników i posiadały kilkunastohektarowe gospodarstwa w sąsiednich wsiach powiatu Ostrołęka: Ewa Daniłowska w Załężu, Janina Majkowska w Chelstach, Anna Skierkowska w Kacze, a Bronisława Olszewska w Goworówku.

Dziadek Adam miał duże gospodarstwo w Jaworach. Sam nie byłby w stanie gospodarować, więc stale zatrudniał parobków, a w okresie nasilenia prac – najmował więcej ludzi.



Adam Dobek, (1863-1939 r.) - mój dziadek.

Był pracowity i bardzo oszczędny. Kiedy zakończono pracę w gospodarstwie wszystkich domowników wysyłał do pracy u dziedzica Glinki w Szczawinie, by zarobić dodatkowo trochę rubli. Mając liczne potomstwo, pragnął zabezpieczyć im należyta przyszłość, a przede wszystkim wyposażyć córki.

Swoje oszczędności odkładał w złotych rublach. Zebrała się tego niezła sumka. Kiedyś zaczęto rozgłaszać, że lokowanie w złotych rublach nie opłaca się, bo łatwo je zgubić. Złoto wyciera się i lepiej wymienić je na banknoty. Tak zrobił i mój dziadek. Przez pewien okres wymieniano złote ruble na banknoty i odwrotnie. W niedługim jednak czasie przestano banknoty wymieniać na złote ruble. Aż przyszła rewolucja październikowa i „wszystko diabli wzięli” – z kilkunastoletnich oszczędności dziadka została tylko kupka papierów. Podczas remontu domu rodziców w 1945 roku znalazłem na strychu pliki wielkich carskich banknotów z podobizną Piotra I i Katarzyny II. Kiedy zapytałem mego ojca, co za te pieniądze

można było kupić odpowiedział, że więcej niż warte jest nasze gospodarstwo.

Praca na wsi była wówczas ciężka. Większość robót na przełomie XIX i XX wieku wykonywano ręcznie. Zboże koszone sierpami, a kiedy zaczęto stosować kosę, która znacznie przyspieszała pracę, to początkowo dziadek był temu przeciwny. Twierdził, że nie można tak łać i niszczyć słomy. Słoma zboża koszonego sierpem była równo ułożona i snopki mogły być stawiane pionowo. Ponadto po kosie pewna ilość kłosów pozostawała na ścierniskach. Jednak szybko przekonał się do kosy, bo przyspieszała pracę.

Szczególnie uciążliwe w gospodarstwie dziadka były sianokosy, bo wiązały się z kilkudniową wyprawą. Łąki były położone nad Narwią i oddalone od gospodarstwa o kilka kilometrów. Wszyscy nocowali tam w szałasach, gotowali posiłki i pracowali cały dzień. Bardzo często trzeba było całe pokosy trawy wynosić na wyższe miejsca, by przeschły. Stogi były stawiane na wzniesieniach, a zwózka siana mogła odbywać się tylko wtedy, gdy łąka zamarzyła.

W lecie nawet dzieci nie miały wolnego czasu, każdy miał jakieś obowiązki. Nauka na wsi w języku rosyjskim odbywała się tylko zimą. Niewiele wynikało z nauki języka rosyjskiego, bo niewiele dzieci chciało się go uczyć. Gdy do szkoły przyjechał wizytator, to zostawała tylko grupka umiejająca czytać po rosyjsku, a popisowym numerem było śpiewanie w języku rosyjskim pieśni „Boże cara chroń”. Zaborcom rosyjskim też nie zależało na uczeniu Polaków. Im potrzebni byli pokorni robotnicy i mężczyźni do wojska.

Dorośli żyli w ciągłej pracy i krzątaniu. Jedynymi jaśniejszymi dniami w tej szarej codzienności były niedziele, święta i odpusty. Bywały też wesela u krewnych, sąsiadów i znajomych oraz zabawy wiejskie, na których grali miejscowi muzykanci. Szczególną formą odrywania się od codzienności było wspólne spędzanie wieczorów przy kiszeniu kapusty, przędzeniu lnu czy darcie pierza. Przy tych okazjach toczono długie rozmowy, opowiadano o dawnych czasach oraz o tym, co działo się

ostatnio w najbliższej okolicy. Jednocześnie były to okazje do nawiązywania sympatii między młodymi.

Ten jednolity i w miarę sielski spokój zakłócony został wybuchem I wojny światowej. Rozpoczęły się branki do wojska, chłopów zabierano z furmankami na podwozy do wojska rosyjskiego. Przez teren gminy Goworowo przechodziły raz wojska rosyjskie, raz niemieckie. Nikt nie był pewien swego dnia.

Dopiero odzyskanie wolności pozwoliło na trochę spokoju. Nie trwał jednak zbyt długo.



Babcia Ewa Karolak z moją mamą i jej młodszym rodzeństwem.

Mego ojca powołano do wojska w 1919 roku. Służył w kawalerii w Przeworsku, jako ułan walczył z bolszewikami, między innymi przeciwko kawalerii generała Budionnego. Dostał się do niewoli, uciekł i dalej walczył. Do cywila został zwolniony dopiero w 1921 roku i powrócił do swych rodziców w Jaworach.



Władysław Dobek (1900–1976 r.) - Mój Tata.

W stanie kawalerskim wytrwał do 1926 roku – wtedy ożenił się z Marianną Karolak (1908–1992), córką Stanisława Karolaka i Ewy Dudziec z Rębisz – moją mamą. Dziadek Karolak był wtedy wójtem w Goworowie.

Mama była najstarszą córką w wieloosobowej rodzinie. Miała trzy siostry i czterech braci: Stefana (1909–1972), Antoniego (1914–1982), Jana (1924–1970) i Józefa (1924–2003). Stefan, Jan i Józef gospodarowali w Rębiszach, a Antoni studiował w Warszawie. Później służył w Wojsku Polskim w stopniu porucznika. W Warszawie ożenił się z Janiną Klim, a w 1940 roku urodziła się im córka Maryla.

Antoni działał w konspiracji (Armii Krajowej) i ukrywał się przed Niemcami. Jego żona z niemowlęciem przebywała w Rębiszach, zmarła w 1941 roku na zapalenie płuc. Wujek Antoni w 1944 roku wstąpił do II Armii Wojska Polskiego i brał udział w walkach pod Budziszynem. Tam awansował do stopnia kapitana i pracował w Wojskach Ochrony Pogranicza w Kowalach Oleckich i Kętrzynie. W 1954 roku, jako przedwojenny oficer, został zwolniony z wojska i wyjechał do Wrocławia.

Siostry mojej mamy wyszły za mąż za rolników: Ewa Dziełak miała gospodarstwo w Rębiszach, Helena Jaskólska w Gerwatach, a Józefa Mierzejewska w Damiętach. Tak to połączyły się dwie duże rolnicze rodziny.

Tereny, gdzie żyli moi dziadkowie i rodzice, latem 1920 roku zajęli bolszewicy. Już 7 sierpnia w Goworowie utworzyli „Gminny Komitet Wojskowo-Rewolucyjny”. Nastąpiły aresztowania. Aresztowano 21 osób, a wśród nich

księdza Leona Gościckiego oraz księdza wikariego Stefana Nowakowskiego. Przetrzymano ich w budynku poczty zamienionym na areszt.

Zebrał się tłum, domagający się zwolnienia kapłanów. Zbierano podpisy pod petycją o zwolnienie. Z tą petycją dziadek, jako wójt



Marianna Karolak (1908–1992) – moja mama, na zdjęciu ze swoją koleżanką, 1926 r.

mówiący po rosyjsku, wraz z właścicielem młyna oraz rabinem udali się do „czerezwyczajki”. Skutek był niespodziewany. Księdza Gościckiego i... rabina wypuszczono, a pozostałych, łącznie z wójtem, zatrzymano i wywieziono do Różana. Uwolniono ich dopiero po tygodniu. Na szczęście już 22 sierpnia 1920 roku bolszewicy zostali wypędzeni z Goworowa.

Jak wynika z monografii Jerzego Dziewirskiego „Goworowo i okolice”, dziadek Karolak wójtem został zaraz po odzyskaniu niepodległości w 1919 roku i funkcję tę sprawował do 1927 roku. W następnych latach był członkiem rady gminy. Wcześniej, w pierwszych latach XX wieku, dziadek Karolak służył kilka lat w armii carskiej i dlatego dobrze znał rosyjski.

Rodzinna sielanka

Po ślubie rodzice gospodarowali razem z dziadkiem Adamem w Jaworach. Tam w 1927 roku urodziła się moja siostra Irena. To wspólne gospodarowanie trwało do 1931 roku, kiedy zdecydowali się gospodarstwo sprzedać, a kupić dwa samodzielne. Nadarzyła się okazja na dobrego kupca, którym był pan Bielarczyk (vel Belak). Wrócił on do kraju po kilkunastu latach pobytu w Stanach Zjednoczonych i chciał nabyć większe gospodarstwo.

Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży gospodarstwa w Jaworach nabyto dwa w Sypniewie, powiat Maków Mazowiecki. Dziadek – dla siebie i najmłodszego syna Tomasza – kupił gospodarstwo z budynkami we wsi, natomiast moi rodzice nabyli tylko ziemię. Zgodnie

z umową zawartą z dziadkiem, mieli przez dwa lata prawo mieszkania w jego domu. W tym czasie mieli wybudować sobie dom i budynki gospodarcze.

Budowę rozpoczęli w 1931 roku na niewielkim wzniesieniu w środku działki na kolonii. Najpierw wzniesli budynek inwentarski i stodołę. Następnie zaczęli stawiać dom. Nielatwo było w tym czasie budować ze środków uzyskanych ze sprzedaży produktów rolnych. Ceny ich nie były wysokie, a handel opanowany przez Żydów nie ułatwiał sprzedaży po wyższych cenach. Ojciec poszukiwał więc innych możliwości zarobku. Nawiązał kontakt z Zakładami Włókienniczymi w Żyrardowie i przez kilka lat skupował len od rolników i wagonami dostarczał do fabryki. W gospodarstwie zatrudnił parobka.

Handel tego typu nie był zbyt bezpieczny. Wszystkie operacje były gotówkowe, więc niebezpieczeństwo utraty gotówki przewożonej ze sobą też były duże. Wystarał się więc tata o pozwolenie na broń krótką. Na szczęście nie musiał jej używać. Z pozwoleniem na jej posiadanie nie miał problemu, bo już od kilku lat był myśliwym i posiadał dubeltówkę. Za pieniądze z handlu lnem rodzice ukończyli w 1933 roku budowę domu oraz zgromadzili materiał na drugą murowaną oborę. Jeszcze przed zakończeniem budowy domu, 25 stycznia 1932 roku, w Sypniewie urodziła się siostra Krystyna.

Po przeprowadzce życie rodziców mogło toczyć się w miarę spokojnie. Nawiązali kontakty z sąsiadami, którzy przychodzili „na radio”, które w tym czasie było na wsi nowością. Słuchali radia, grali w karty i dzielili się wiadomościami z okolicy i kraju.

W nowym domu – 1 sierpnia 1935 roku – w młodej rodzinie urodził się pierwszy syn – to byłem ja. Radość z tego faktu była prawdopodobnie wielka, bo był już następca na gospodarstwie – tak tradycyjnie nazywano na wsi najstarszego syna.



Zdjęcie ślubne rodziców, 1926 r.

Utrzymywano w tym czasie bardzo bliskie stosunki z liczną rodziną. Corocznymi uroczystościami były odpusty na Zielone Świątki i świętego Jana. Natomiast szczególnie, każde chrzciny w rodzinie. Moje zgromadziły kilkadziesiąt osób. Rodzicami chrzestnymi byli: siostra taty Ewa Daniłowska i jego brat, Zygmunt Dobek.

Tego typu imprezy poprzedzone były kilkudniową krzątaniem w domu. Mama z dziewczyną, którą miała do pomocy, przygotowywały produkty niezbędne do pieczenia i sporządzania potraw. Uzupełniano zapasy o różnego rodzaju bakalie, olejki i inne przyprawy. Z czasem pomagały już starsze siostry. Ja jeszcze jako malec, też chętnie chciałem „pomagać” przy tych pracach. Wiadomym było, że przede wszystkim chciałem połasować trochę słodyczy, jajek z cukrem przetartych w makutrze czy innych przysmaków.

Trzeba przyznać, że potrawy mamy były wy-



Jako dwulatek z siostrami: Irena (z lewej) i Krystyną, 1937 r.

śmienite. Nie nauczyła się tego w domu. Kiedy miała 17 lat, zmarła babcia Ewa Karolak, więc mama musiała zająć się pomocą przy wychowaniu dwu najmłodszych braci bliźniaków, Jana i Józefa. Spośród liczego rodzeństwa oni byli najmłodsi i mieli zaledwie po dwa lata. Wprawdzie pomagała jej starsza ciocia, Maria Kucharczyk (1885-1968, cioteczna siostra mego dziadka), zwana „ciotulą”, ale przy ósemce dzieci pracy było wiele.

Mama wyszła za mąż wcześniej – bo w wieku 18 lat – i dopiero w Sypniewie miała więcej



Mam już ukończony roczek, 1936 r.

czasu, by uczestniczyć w kursach organizowanych przez Koło Gospodyń Wiejskich. Dzięki temu mieliśmy piękny ogród przydomowy, wiele kwiatów, warzyw, a także krzewów owocowych i truskawek. W pierwszym roku od zakończenia budowy rodzice posadzili kilkanaście drzew owocowych. Jeszcze teraz pamiętam doskonały smak starych odmian jabłoni, grusz czy czereśni.

Często przyjeżdżał do nas brat taty, Zygmunt, mój ojciec chrzestny. Pracował w Warszawie, w Biurze Ochrony Rządu. Przywoził zawsze najnowsze wiadomości, a także kupował lub namawiał do zakupu nowości. Dzięki temu mieliśmy, jako pierwsi we wsi radio z głośnikami, a także patefon, na którym odtworzano z płyt najnowsze przedwojenne przeboje w wykonaniu Kiepury, Bodo czy Ordonki. Była to lakierowana skrzyneczka z otwieranym do góry wiekiem osłaniającym koło, na które nakładano się bakelitową płytę. Niżej, z przodu, były ażurowe drzwiczki, a za nimi dwa głośniki. Jako malca, intrygowało mnie zawsze kto tak śpiewa i zaglądałem za te drzwiczki, by tego „kogoś” zobaczyć. Byłem zdziwiony, że nie ma tam nikogo.

Stryjek Zygmunt miał aparat fotograficzny.



Jako dwulatek z siostrami: Irena (z lewej) i Krystyną, 1937 r.



Brat Janusz ma już ukończony rok.

Mieliśmy w albumie niezłą kolekcję jego zdjęć. Niestety, nie przetrwały wojny, album został zniszczony, a nieliczne fotografie, które znaleźliśmy w śniegu, były już mało czytelne. Zachowało się tylko kilka z mego wczesnego dzieciństwa, które otrzymałem od stryjka w 1949 roku, kiedy ze szkoły w Ostrołęce wyjeżdżałem do Kętrzyna.

Jak te nieliczne zdjęcia udało się stryjkowi zachować? Otóż miał je ze sobą, gdy we wrześniu 1939 roku razem z Rządem RP przekro-



Ja na rękach stryjka Zygmunta, 1937 r.

czył granicę w Zaleszczykach, by przez Rumunię, Jugosławię i Francję dotrzeć do Wojska Polskiego w Anglii. Mimo że Anglicy namawiali Polaków do pozostania na Zachodzie, stryjek zdecydował się w 1946 roku wrócić do Polski i przywiózł zachowane zdjęcia. Głównym powodem powrotu było to, że w 1940 roku urodził się jego syn Andrzej. Pragnął go zobaczyć i nie chciał żony, Katarzyny, pozostawić samej. Pozwolono mu pracować na podrzędnym stanowisku w Miejskiej Radzie Narodowej w Ostrołęce z obowiązkiem cotygodniowego meldowania się w Urzędzie Bezpieczeństwa. Był tzw. „niepewnym elementem”. W ogóle miał pechowe życie: zginął od pioruna 5 sierpnia 1951 roku, gdy podczas zbliżającej się burzy wyciągał kajak z Narwi na brzeg.

Jak były wizyty, musiały być też rewizyty u rodziny. Jeździliśmy więc na odpusty i chrzciny, bo tych w rodzinie nie brakowało. Przed wyjazdem trzeba było porządnie sprawdzić wóz lub bryczkę, przygotować odpowiednią uprzęż i wyczyścić konie. Do uroczystych wyjazdów była specjalna uprzęż dla koni. Były to chomąta krakowskie z mosiężnymi klamrami i okuciami odpowiednio wyczyszczone, by prezentowały się należycie. W naszych stonach często wygląd koni decydował o opinii gospodarza.

Wyjątkowymi wydarzeniami w domu moich rodziców były polowania. Ojciec dzierżawił do polowań tereny rolników ze wsi Sypniewo. Wychodził więc z domu i był już w łowisku. Obfitowało ono we wszelkiego rodzaju zwierzęcą drobną: kuropatwy, kaczki, zające i lisy. Można było też spotkać sarnę lub dzika. Na myśliwskie wyprawy ojciec zabierał wyżła, który aż drżał z emocji. Nie były to zbyt długie eskapady. Polowanie w promieniu dwu kilometrów od domu gwarantowało – już po dwu lub trzygodzinnym obchodzeniu pól – kilkanaście kuropatw, kilka kaczek czy zające, na które wtedy polowano się na tzw. „deptaka”.

Zazwyczaj dwa razy w roku (jesienią i zimą) zbierało się więcej myśliwych dzierżawiących sąsiednie łowiska: przyjeżdżali nawet goście z Warszawy. Były to przeważnie polowania dwudniowe na zające lub kuropatwy. Same łowy trwały właściwie jeden dzień i kończyły się przyjęciem myśliwskim. Drugi dzień był przeznaczony na wypoczynek, często urozmaicony konkursem strzelania do rzutków. Na takie polowania często przyjeżdżali ze strykiem Zygmuntem pracownicy ambasady włoskiej, którzy byli doskonałymi strzelcami. Czasem przyjeżdżał też proboszcz sąsiedniej parafii Gąsewo. Był to człowiek bardzo towarzyski, a przy tym entuzjasta myślistwa.

Przygotowanie do polowań wymagało w tym czasie sporządzenia amunicji, którą każdy myśliwy robił sobie sam. Pozwalało mi, jako obserwatorowi, brać udział w tym misterium. Były to moje pierwsze doznania myśliwskie. Z nabożeństwem patrzyłem na formowanie naboju, do czego służyła wtedy specjalna maszyna do zawijania łusek, a także woreczki ze śrutem i rożki z prochem. Z podziwem obserwowałem czarne oksydowane lufy, gładką kolbę i pięknie grawerowaną baskilę belgijskiej kurkówki. Cały ten ceremoniał silnie wpływał na moją wyobraźnię. Szczególnie, gdy ojciec przy tej czynności opowiadał, jak to z dziadkiem polowali na kaczki na rozlewiskach Narwi.

W obliczu wielkiej tragedii

W 1937 roku rodzice wybudowali nową dużą oborę z cegły. Wydawało się, że można już żyć spokojniej, są nowe budynki, gospodarstwo nie jest zadłużone i można spokojnie żyć i pracować. W czerwcu 1939 roku urodziła się im następna córka Alina. Zaczęły jednak nadchodzić niepokojące wieści, które mogły ten spokój zakłócić. W sierpniu powołano do wojska stryja Tomasza. Służył on w Dywizji Artylerii Konnej w Ostrołęce. Nie wojował długo, bo po kilkunastu dniach dostał się do niewoli. Z obozu jenieckiego skierowany został na roboty do niemieckiego bauera, gdzie przebywał aż do zwolnienia w 1941 roku. Tych najgorszych



kpt. Czesław Dobek, zginął w Katyniu.

wieści o rozpoczęciu wojny nie doczekał mój dziadek Adam Dobek, który zmarł 10 sierpnia 1939 roku.

Nikt nie spodziewał się, że teraz wypadki potoczą się tak szybko i niekorzystnie. O świcie 1 września obudziła mnie nerwowa krzątająca



Tomasz Dobek w wojsku 1939 r.

w domu. Pamiętam włączone radio i wysłuchiwanie komunikatów z frontu. W komunikatach polecano ludności cywilnej z miejscowości położonych na północ od Narwi wycofanie się za rzekę, bo tam będzie linia obrony. Posłuchaliśmy tego polecenia. Załadowaliśmy co cenniejsze rzeczy na dwa wozy, wzięliśmy część bydła i udaliśmy się za Narew. Z nami ciągnęły kolumny wozów innych uciekinierów. Mijaliśmy wsie Sławkowo, Batogowo, Młynarze, Sielun, przeprawiliśmy się przez rzekę mo-

stem w Różanie, by wieczorem dotrzeć do Rębisza.

Podróż nie była spokojna, bo od czasu do czasu kolumny cywilów ostrzeliwano bronią maszynową z samolotów. Musieliśmy chronić się w przydrożnych rowach. W Rębiszach przed ostrzałem artylerii ukryliśmy się za sterami usytuowanymi za stodolami. Od pierwszego dnia po przyjeździe obserwowaliśmy naloży i wsłuchiwaaliśmy się w armatnie salwy. Niemiecka artyleria ostrzeliwała sąsiednie wsie Chelsty, Jawory i Kruszewo. Już czwartego września Niemcy sforsowali Narew w rejonie Chelst. Polskie oddziały próbowały ich wyprzeć, lecz nie udawało się to na skutek przewagi ogniowej nieprzyjaciela. Polskie jednostki znalazły się w otoczeniu, jednak niektórym udało się wydostać podczas nocnej walki na bagnety. Niemcy bali się walki na bagnety i starali się do niej nie dopuścić. Okrzyki „hurra” i komendy podczas walki słyszeć było z odległości kilku kilometrów.

Wszyscy z niepokojem oczekiwali, co będzie dalej. Dochodziły wieści o aresztowaniach i rozstrzeliwaniu cywilnej ludności. W Goworowie aresztowano dużą grupę Żydów i Polaków. Znaczoną grupę Żydów zapędzono do bożnicy i podpaloną ją. Część Żydów wypędzono na pobliskie łąki i tam musieli koczować. Jednak rodzice po kilku dniach zdecydowali wracać do Sypniewa. Jak się okazało, most na Narwi w Różanie był uszkodzony. Pozostała nam jedynie przeprawa brodami, na szczęście tego roku było upalne lato i rzeka miała niewiele wody. Kilku młodych ludzi, brodząc w wodzie, przeprowadziło wozy przez Narew w rejonie Kruszewa. Dalej, już bocznymi drogami, dojechaliśmy szczęśliwie do domu. Zastaliśmy wszystko w porządku, sąsiedzi którzy pozostali, zajęli się naszym inwentarzem i obyło się bez większych strat.

Nastaly nowe porządki. Zaczął się czas okupacji naszych ziem przez Rzeszę Niemiecką.

Na mocy dekretu Hitlera z 8 października 1939 roku północno-wschodnie ziemie polskie zostały przyłączone do Rzeszy Niemieckiej. Utworzono tzw. Rejencję Ciechanowską (Regierungsbezirk Zichenau), w skład której wchodziły powiaty: makowski, przasnyski, ciechanowski, pułtuski, płoński, sierpecki, mławski i działdowski. Zmieniono nawet nazwy miast i niektórych miejscowości na niemieckie, np. Maków nazywał się Mackein, Różan – Rosen, Krasnosielc – Rotenburg, Ciechanów – Zichenau. Kadra administracyjna, policyjna i gospodarcza rekrutowała się z Niemców przybyłych głównie z Prus Wschodnich. Wójtowie też byli Niemcami, ale w gminach na stanowisku sekretarzy pozostawiono Polaków. W Sypniewie był nim dalej Dionizy Zakrzewski.

Od samego początku okupacji Niemcy przystąpili do ostatecznego rozwiązania „problemu Żydów” poprzez zgromadzenie ich w gettach, a później wywiezienie do obozów zagłady. Po ustanowieniu jednak rozprawić się też z Polakami i uczynić z nich Niemców. Wprowadzono rygorystyczne zarządzenia i za byle co groziło nawet rozstrzelanie. Polaków wysiedlano z własnych gospodarstw, zakazano im wyjazdu bez przepustki poza teren własnej gminy.

Wprowadzono kartki (tzw. punkty) na żywność, odzież i art. higieniczne.

Zakazano zawierania małżeństw, organizowania zgromadzeń i nauczania. Nam udało się ten zakaz nauczania ominąć, bo najstarsza siostra Irena w 1939 roku ukończyła sześć klas szkoły powszechnej (podstawowej) i schowała kilka jej książek. W ten sposób oboje z siostrą Krystyną uczyliśmy się potajemnie. Ponieważ mieszkaliśmy na kolonii, to każde zbliżenie się ludzi do naszego domu było widoczne. Kiedy zbliżał się żandarm czy ktoś nieznany, chowaliśmy książki i zajmowaliśmy się innymi czynnościami.

Rolnikom Niemcy narzucili kontyngenty dostaw produktów rolnych, a wszystkie zwierzęta, za wyjątkiem drobiu, były ewidencjonowane i posiadały kolczyki lub tatuaże. Karą śmierci lub obozem groziło samowolne zabicie świni, handel mięsem czy mielenie zboża. Nawet żarna musiały być zlikwidowane. Naszego sąsiada, pana Bartlewskiego, aresztowano i wywieziono do obozu za sprzedaż parki prosiąt. Zezwolenie na ubój tucznika można było otrzymać dopiero po wywiązaniu się z kontyngentu.

Każdy ubój nadzorował niemiecki lekarz weterynarii, który po przebadaniu mięsa na trychinozę stempłował półtusze, by można było w każdej chwili sprawdzić czy mięso pochodzi z uboju legalnego. Niby wszystko było pod kontrolą, a jednak w wielu przypadkach dokonywano większego uboju niż było w zezwoleniu. Jak to robiono? Otóż po wyjeździe lekarza na ostemplowaną półtuszę nakładano drugą i w ten sposób odciskano na niej pieczęć. Często lekarz, za łapówkę, świadomie stempłował więcej niż było w zezwoleniu. Niemcy też mieli kartki i trzeba było się z nim mięsem podzielić. Przez długi czas myślałem, że do badania daje się szynkę tucznika. Tak mi mówiono, jako dziecku, gdyż widziałem, że po uboju lekarz bierze właśnie szynkę.

Cała nasza dalsza rodzina pozostała za Narwią i znalazła się w Generalnej Guberni. Pozwalamy nam na odwiedzenie jej raz w roku, wydając specjalną przepustkę. Czasem przepustkę otrzymywał też dziadek lub inni krewni mieszkający w Generalnej Guberni. W czasie tych odwiedzin spotykało się wielu ludzi, którzy przemycali przez granicę różne potrzebne do życia towary. Na terenie Rzeszy Niemckiej brakowało ich ze względu na niewielkie przydziały kartkowe. Całkowicie brakowało np. alkoholu, a pędzenie go własnym sposobem mogło się skończyć tragicznie. Natomiast w Generalnej Guberni Niemcy alkoholu Polakom nie żalowali – był w wolnym obrocie i tani. Występowały natomiast braki mięsa, szczególnie w Warszawie.

Nielegalnym zaopatrzeniem rynku warszawskiego w mięso zajmowała się duża grupa młodych ludzi, którzy po przekroczeniu granicy nocami przychodzili po rąbanek do umówionych punktów. Potrafili w dwie noce przynieść w plecakach po 30-35 kg rąbarki. Legalne wizyty, pozwalające przekroczyć granicę Generalnej Guberni, też często były wykorzystywane do przemytu. Stosowano różne sposoby, np. przekupywanie strażników na granicy. Czasem w wozach konnych stosowano podwójne dennice, między którymi ułożona była warstwa mięsa.



Trzej bracia Władysław, Zygmunt, Tomasz.

Rolnicy bali się jednak sprzedawać mięso przemysłnikom, bo w razie wpadki w najlepszym przypadku groził obóz. Niektórzy nocą wyprowadzali tuczniki w pole i tam w zbożu lub w śródpolnych krzakach przemysłnicy sami dokonywali uboju i rozbioru. Pewnego razu i nam mogło się to skończyć tragicznie. Podczas przekraczania granicy złapano jednego z przemysłników. W czasie przesłuchania powiedział, że kupił je u moich rodziców. Już na drugi dzień przyjechali żandarmi i aresztowali mego ojca. Mieliśmy wtedy zezwolenie na ubój jednego tucznika. Zabrali więc wszystko mięso i słoninę, jaka była w domu, i rzeźnikowi kazali składać razem, by stwierdził, czy to jest z jednego czy z większej liczby zwierząt. Jednak rzeźnik, pan Ciak, był Polakiem i po dwu dniach stwierdził, że to mięso na pewno jest tylko z jednej sztuki. Żandarmi nie bardzo w to wierzyli, bo jeden z nich powiedział, że gdyby dołożono jeszcze drugie tyle, to i tak rzeźnik powiedziałby, że to z jednej sztuki.

Codzienne badania ojca poprzedzane były biciem, by zmusić go do tego, by się przyznał.

Ojciec jednak zaprzeczał, że sprzedawał komukolwiek mięso. Mama uruchomiła też wszystkie znajomości i komendant żandarmerii za odpowiednią opłatą w artykułach żywnościowych i alkoholu powiedział, że tatę wypuszczą za kilka dni. Stwierdził: „bić będziemy, ale jak się nie przyzna, to wypuścimy”. Pozwolono mi odwiedzić tatę w areszcie, by przekazać mu tę wiadomość. Z trudem mogłem powstrzymać się od łez, gdy zobaczyłem go skutego z innymi aresztowanymi. Ale to, co miałem powiedzieć, przekazałem. Po kilku dniach komendant słowa dotrzymał i w sylwestra 1943 roku tata wrócił do domu. Byliśmy wszyscy szczęśliwi, choć po tych „badaniach” ojciec musiał dochodzić do siebie przez dwa tygodnie.

Czasami nieszczęścia chodzą parami. Tak było i tym razem, bo na wiosnę przesiedlono nas na mniejsze gospodarstwo należące do pana Matłacha w sąsiedniej wsi – Gąsewie, wsi oddalonej o pięć kilometrów. Jego natomiast wysiedlono – za jakieś drobne przewinienie – do Generalnej Guberni. Na bazie dwóch gospodarstw, naszego i stryja Tomasza, który był w niewoli niemieckiej jako jeńiec wojenny, folwarczek urządził sobie Niemiec, agronom gminny. Jednak w tym czasie zaczęły się już pojawiać pierwsze oddziały Związku Walki Zbrojnej i nie czuł się on bezpiecznie na kolonii. Postanowił wrócić do wsi i zrezygnował z gospodarowania. Po kilku miesiącach wróciliśmy więc na swoje.

I znów wydawało się, że może będzie trochę spokoju. Wybudowaliśmy dużą piwnicę z kamienia i cegły do przechowywania ziemniaków i buraków. Jednocześnie mieścił się tam parnik, w którym gotowaliśmy i przygotowywaliśmy paszę dla świń. Na powierzchni dwóch hektarów posadziliśmy też sad, ogrodzony wysokim płotem z desek. Chronił drzewka przed zającami ogryzającymi je zimą z kory, a także przed nieproszonymi amatorami cudzych owoców.

Dla mnie najbardziej radosną wiadomością było to, że urodził się brat Janusz. Byłem dumny, że nie jestem już jedynakiem i mam brata, a nie tylko siostry. Jednak następnego roku przeprowadzono akcję szczepienia dzieci przeciwko ospie. Wiele dzieci mocno to przechorowało, bo przyplątał się też dziecięcy krup czy koklusz. Zachorowała na to moja siostra Alina



Budynki gospodarcze w Sypniewie 1943 r.

i brat Janusz. Opieka lekarska była marna. Najbliższy felczer był w Krasnosielcu oddalonym o 12 kilometrów, a lekarz aż w Makowie, ponad 24 kilometry. Przeżyła więc tylko siostra, która była starsza i silniejsza, brat niestety zmarł nie ukończywszy nawet półtora roku.

Następne lata były już nieco spokojniejsze. Niemcy spuścili z tonu ze swoimi rygorami. Chyba zaczęli zdawać sobie sprawę, że mogą wojnę przegrać. Oficjalne komunikaty nadal donosiły o sukcesach na froncie, ale wspominały też o wycofywaniu się na z góry upatrzone pozycje. Pamiętam, że po tych komunikatach tata wyciągał ze schowka mapę Europy i próbował zorientować się, gdzie się już wycofali. Po Kursku i Stalingradzie czekaliśmy tylko na koniec wojny. Nie wiedzieliśmy tylko, co ten koniec nam przyniesie.

Jesienią 1944 roku coraz głośniejszy słychać było salwy armatnie i zbliżający się front. W sierpniu Armia Czerwona zdobyła Ostrołękę i posuwała się, na południe od Narwi, w stronę Warszawy. U nas ciągle byli Niemcy. Żołnierze lokowani byli w niektórych wsiach, a ponadto budowano schrony w lesie. Kilkakrotnie naloty lotnictwa radzieckiego także zmusiły nas do wybudowania schronu niedaleko domu, w ogrodzie. Był to głęboki dół, którego boki i strop wyłożono belkami. Na strop położyliśmy warstwę słomy, siano i ziemi. Wejście stanowił stopowo pogłębiający się rów. Schron ten był stosunkowo duży, bo jak się później okazało, czasem musiał pomieścić i kilkanaście osób.

Zaczęły się naloty radzieckiego lotnictwa. Podczas jednego z nich spaliły się prawie wszystkie budynki w Sypniewie, choć nie było tam niemieckiego wojska. W nocy słychać było charakterystyczne głosy rosyjskich dwupłotowców tzw. „kukuruźników”. Głównym ich zadaniem było rozpoznanie, a uzbrojenie stanowiły dwie duże bomby umieszczone pod płacami. Gdy nadlatywały nad obiekt, który chciały zbombardować, to zrzucały obie blisko siebie, bo z jedną traciły równowagę. Pewnej nocy, którą spędziliśmy w schronie, usłyszeliśmy szum takiego samolotu, a następnie olbrzymi huk i wstrząs schronu, aż przez belki z sufitu posypała się ziemia. Za chwilę następny wstrząs, już nieco mniejszy. Rano okazało się, że w odległości niecałych stu metrów od domu, na pastwisku, znajduje się olbrzymi lej po bombie, w niewielkiej odległości od niego drugi, na polu sąsiada.

Z obawy przed wywózką zaczęliśmy kopać doły, by ukryć w nich co cenniejsze rzeczy, które mogły być zabrane przez niemieckie wojsko. W takich dołach chowano też zboże. Żandarmeria wojskowa wypędzała ludność cywilną dalej od frontu. Nas pognano ledwie kilka kilometrów dalej, do wsi Rawy, i wkrótce udało nam się wrócić do domu. Przez kilka następnych dni był spokój, jednak potem zjawilo się wojsko i zajęło wszystkie budynki.

Myśleliśmy, że teraz nas wypędzą. Jednak dowódca jednostki, która kwatrowała u nas, pozwolił nam zostać. Mogliśmy korzystać z letniej kuchni, która była usytuowana w szczycie obory i ze schronu, który sami wcześniej wybudowaliśmy. Kiedy przyjechała żandarmeria polowa i chciała nas wypędzić, to pułkownik Wehrmachtu nie pozwolił na to twierdząc, że im nie przeszkadzamy. Natomiast od ojca powiedział: „Gdzie będziesz uciekał ze

swojego?” Dom zajęli oficerowie, a w budynkach i namiotach byli żołnierze. W pobliżu domu, w sadzie, pod świerkami ułokowali zamaskowane cztery działa przeciwlotnicze. Mielili do końca dobre zaopatrzenie. Każdego dnia obiady przywoziła kuchnia polowa, a co kilka dni były dostawy konserw, chleba, sucharów, mydła, żyłetek do golenia, a oficerowie dostawali słodycze i nawet karty do gry. Była to jednostka saperów, których zadaniem było stawianie min przed przyczółkiem, jaki Rusczy zrobili na północy, w zakolu Narwi opodal Różana.

Pierwsze dwa tygodnie były wyjątkowo spokojne. Jednak Rosjanie namierzali w końcu tę grupę Niemców. Pierwszy nalot nie był skuteczny, nie wyrządził znaczniejszych szkód. Zaskoczył tylko niemieckiego porucznika, który nie zdążył do wojskowego schronu i ukrył się w naszym. Znał doskonale język polski. W czasie nalotu rozkleił się i powiedział, że jest Austriakiem i z tą wojną nic go nie łączy. Skończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i stąd jego znajomość języka polskiego. W wojsku niemieckim był głównie tłumaczem. Jak twierdził, miał syna w moim wieku i dlatego wszystkie słodycze, które dostawał, oddawał mnie.

Drugi nalot był skuteczniejszy. Rozbito dwa działa oraz kuchnię polową, która akurat przyjechała z obiadami. Dwie bomby trafiły w dom, na szczęście nie były zapalające. Po tym nalocie wojsko wyprowadziło się do schronów w pobliskim lesie. Razem z wojskiem niemieckim szły oddziały Ukraińców generała Własowa, którzy przyłączyli się do Niemców, by walczyć z Armią Czerwoną. W obecności Niemców zachowywali się poprawnie, bo się ich bali. Gdy wojsko niemieckie wycofało się, oni zostali i zaczął się okres rabunków. Polski inwentarz szedł na samozapatrzenie własowców. Swoje zajeżdżone szkapę, które ledwie żyły, wymieniali na nasze konie. Pewnego dnia przyjechał kozak i zobaczył trzyletniego ogiera, jeszcze nie ujeżdżonego. Chciał go zabrać. Myśleliśmy, że nie da rady go osiodłać. Jednak udało mu się – choć koń dwa razy go zrzucił to go nie puścił i odjechał na nim. Z czterech koni pozostały nam dwie stare chabety.

Długo sami w domu nie pozostaliśmy. W pierwszej połowie grudnia 1944 roku przyjechała żandarmeria polowa, pojazdem niby zmechanizowanym, bo terenowym volkswagenem, ale zaprzężonym w parę koni. Niemcy nie mieli już wtedy paliwa, a ciężarowe samochody przerabiali na „holc gas”, który uzyskiwali paląc drewnem w specjalnych piecach umieszczonych na skrzyniach samochodów. Dano nam godzinę na załadowanie się na wóz i dołączono nas do kolumny innych rodzin, które jeszcze pozostały we wsi. Niewiele można było zabrać, poza osobistymi ubraniami i niewielką ilością żywności, na wóz ciągniony przez dwie chabety. Bez dodatkowego ładunku było nas sześć osób. Pierwszego dnia przejechaliśmy dwanaście kilometrów i dotarliśmy do Krasnosielca. Tam zapędzono nas do żydowskiej bożnicy, gdzie na słomie musieliśmy nocować. Następnego dnia skierowano nas na zachód, w stronę Przasnysza. Było zimno, drogi zaśnieżone, poruszaliśmy się powoli, ale wieczorem dotarliśmy do wsi Bogate. Przy kościele

zatrzymano kolumnę i każdego wprowadzano na nocleg do kościoła.

Wśród pilnujących nas żandarmów był Mazur o nazwisku Bartel, który wcześniej przez kilka lat był żandarmem w Sypniewie. Poznał nas i powiedział do ojca: „Dobek, psiorunie, gdzie ty jedziesz?” Zaczęliśmy go prosić, by nas puścił. Zapytał, czy mamy złoto. Dostał dwie obrączki rodziców i kazał zatrzymać się przy cmentarzu. Wtedy kilka furmanek jadących za nami skierował na cmentarz przykościelny, a nam kazał uciekać. Pojechaliśmy dalej, lecz baliśmy się, że mogą nas gonić i skreślić w pełną drogę. Dotarliśmy do samotnego domu, gdzie zatrzymaliśmy się na noc, mimo że tam już były dwie rodziny. Następnego dnia znaleźliśmy miejsce we wsi Dobrzan-kowo, gdzie zatrzymaliśmy się na dłużej.

Do swego domu przyjął nas kowal, pan Wenda. Miał on niewielki domek o dwu pokojach i kuchni. Żeby wszyscy się tam zmieścili, a razem było nas dwanaście osób, trzeba było zbudować piętrowe przyce. Obok domu tata z kowalem sporządzili niewielki schron, w którym wszyscy w razie potrzeby mogliśmy się schronić. We wsi prawie w każdym domu byli uciekinierzy, jednak jak kończyły się przywiezione zapasy, to miejscowi pomagali. Okazuje się, że w biedzie ludzie solidaryzują się i pomagają sobie. Pan Wenda nie tylko dał nam schronienie, ale także żywił całą sześcioposobową rodzinę przez okres pobytu w Dobrzan-kowie. Te przyjacielskie kontakty utrzymywał z moimi rodzicami jeszcze przez wiele lat po wojnie i odwiedzał ich w Sypniewie.

Wśród wysiedlonych i miejscowych było wiele dzieci i dla nas najważniejsza była zabawa. Ponieważ zima była śnieżna i mroźna, to podstawową zabawą było zjeżdżanie z górki na skraju wsi, z której dalej sunęło się na oblodzoną rzeczkę. Ja zaprzyjaźniłem się ze starszym o rok Jędrkiem Lewandowskim, kuzynem pana Wendy. Dzięki temu obaj mieliśmy dobre sanki zbite z desek, o płozach podkutych metalową taśmą. Inni zjeżdżali na płozach nie podkutych i ich sanki jechały wolniej.

W Dobrzan-kowie spędziliśmy święta Bożego Narodzenia oraz Nowy Rok. Mimo wojny ludzie nie tracili humoru. Po raz pierwszy spotkałem się tam z tradycją, że w noc sylwestrową robiono sobie kawę. Między innymi było to zatykanie kominów albo wciąganie sań na dach i ustawianie ich na kalenicy strzechy.

Tak stosunkowo spokojnie przetrwaliśmy do 16 stycznia 1945 roku. W tym dniu już od rana od stromy frontu słychać było strzały, a przed południem przez wieś przejechały kolumny niemieckich czołgów i samochodów opancerzonych wycofujących się na zachód. Byliśmy z kolegami jak zwykle, na ślizgawce, więc gdy zobaczyliśmy Niemców, wszyscy uciekliśmy do domów. We wsi panowało podniecenie, bo już wszyscy wiedzieli, że Niemcy uciekają i to będzie dla nas koniec wojny.

Wieczorem położyłem się spać na piętrowym przyce w kuchni i zasnąłem. Obudziło mnie kołatanie do drzwi. Po ich otwarciu zobaczyłem dwu młodych żołnierzy niemieckich w białych ochronnych mundurach. Mielili tylko automaty i po dwa granaty umieszczone za pasem. Widać było, że byli to młodzi chłopcy, może 16 lub 17-letni. Byli głodni i prosili o jedzenie. Pani Wendowa wyjęła coś do jedzenia i podała im do stołu stojącego przy drzwiach.

Siedli, szybko zjedli i tak siedząc, zasnęli. Po pewnym czasie obudziły mnie strzały z broni automatycznej. Żołnierze niemieccy uciekli, jednak nie mieli szczęścia, bo drugiego dnia znaleziono ich ciała w polu za stodołami. Wszyscy szybko schroniliśmy się w schronie. Za chwilę usłyszeliśmy tupot wielu nóg i głosy w języku rosyjskim. Jeden z nich otworzył schron, spytał o „germańców” i rozkazał: „Wychadi”. Tak to zostaliśmy wyzwoleni z niewoli niemieckiej popadając w drugą, o czym jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy.

Kiedy wyszliśmy ze schronu, ujrzelśmy jak przez wieś ciągnął niekończący się sznur kawalerii. Mnie pasjonowały konie i z zainteresowaniem obserwowałem tę dziwną kawalerię. Małe nie podkute koniki doskonale radziły sobie na oblodzonej drodze. Niektóre nie miały nawet siodła, tylko jakąś derkę, na której bez strzemion siedział żołnierz. Część tego wojska zatrzymała się we wsi i rozpalala ogniska. Chodziliśmy po wsi i z ciekawością obserwowaliśmy to nowe wojsko. Na ogniskach żołnierze gotowali sobie strawę z produktów, które zdobyli najbliżej, u rolników. Do niewielkich dwulitrowych kociołków wkładali przede wszystkim drób. Czasem zabijali większą sztukę i dzielili się mięsem. Dzielono się też alkoholem, którego we wsi nie brakowało, bo w co drugiej chacie pędzono bimber.

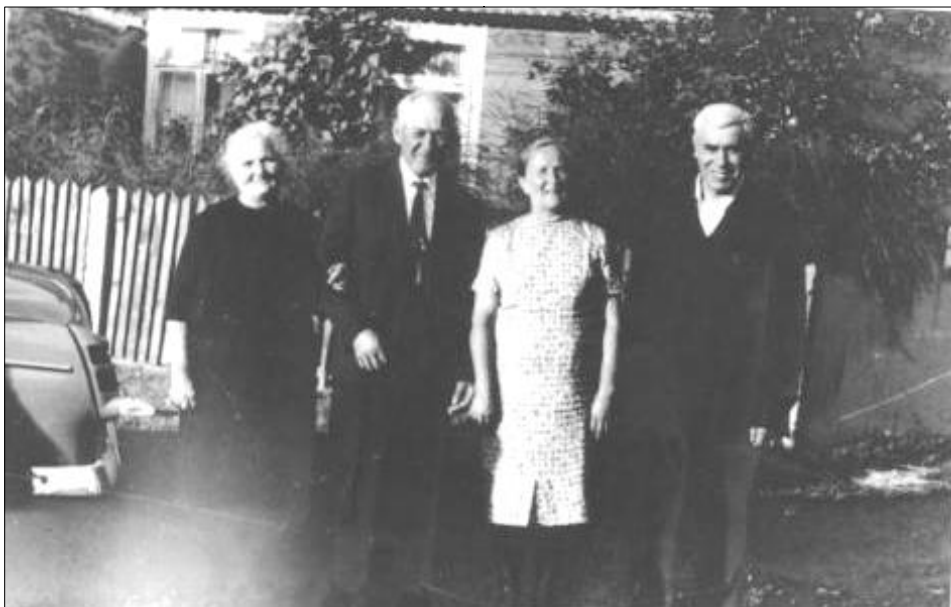
Bardzo szokujący był dla mnie widok, kiedy w sieni do stojącej beczki z fermentującym zacierem podszedł jeden z żołnierzy, podniósł przykrywę, zdjął kociołek przywiązany do plecaka i nabrał do niego tego pianistego rozczynu. Pił go łapczywie, wylewając przy tym strumień płynu na swoją „rubaszkę”. Tak wyglądało samozaopatrzenie Armii Czerwonej na pierwszej linii frontu.

Powrót do domu

Gdy tylko przeszła pierwsza fala wojska, zaczęliśmy myśleć, jak najprędzej wrócić do domu. Liczyliśmy, że może uda się uratować coś z rzeczy zakopanych przed wyjazdem z Sypniewa. Nie mieliśmy już koni, bo oba padły po przyjeździe do Dobrzankowa. Znowu zlitował się nad nami pan Wenda i pożyczył swego jedynego konia. Załadowaliśmy więc wszystko, co nam zostało, na wóz (a były to już tylko rzeczy osobiste i pościel) i ruszyliśmy z wygnania w powrotną drogę. Jechaliśmy drogami drugorzędnymi mijając po drodze wiele trupów żołnierzy, zarówno niemieckich jak i radzieckich, leżących na zaśnieżonych polach.

Z trudem dotarliśmy wieczorem na miejsce. Przywitał nas tylko wierny pies, który znanym tylko sobie sposobem przetrwał na gospodarstwie, sam przez ponad miesiąc. Radość z powrotu przyćmił nam stan zabudowań. Dom bez drzwi, okien, sufitów i podłóg, w dodatku z dziurawym dachem. Drewniane budynki, obora i stodoła rozebrane: pozostały tylko same strzechy. Wszystkie bale z nich Niemcy wywieźli na schrony w lesie. Stała jedynie mrowana obora, choć bez drzwi i z dziurawym dachem. Wprowadziliśmy się więc do schronu, naszego pierwszego powojennego mieszkania.

Najgorszym było jednak to, co stwierdziliśmy rano. Wszystkie doły, w których ukryliśmy różne rzeczy, zostały rozkopane i były puste. Odnaleźliśmy tylko worek kartofli i maszynę do szycia, zakopane obok schronu



Pan Wenda z żoną podczas wizyty w Sypniewie, lata 60-te.

w ostatniej chwili przed przymusowym wyjazdem.

Na podwórku widoczne były ślady po ogniskach, a w nich szczątki spalonych mebli. Dziwiliśmy się, że palono meble, gdy w drewni leżały stopy porąbanego drewna przygotowanego na zimę. Nie wiedzieliśmy wtedy, z jaką kulturą będziemy mieli do czynienia. Obok piwnicy leżał stos różnego rodzaju amunicji rosyjskiej – skrzynie z granatami ręcznymi, zapalnikami do nich, amunicja do karabinów i pepesz w paczkach ze smołowanego papieru – a także granatniki. Karabinów, pepesz, a nawet ręcznych karabinów maszynowych było pod dostatkiem. Można było bez ograniczeń przez długi czas z tego arsenału korzystać. Nauczyłem się wtedy strzelać z karabinu i pepeszy, nie wolno mi było ruszać tylko granatów i zapalników. Broni i amunicji pozostawionej we wsi było zresztą bardzo dużo. Można ją było znaleźć na polach przy poległych żołnierzach. Dopiero po kilku miesiącach wywieziono ten arsenał, choć trochę tego pozostało jeszcze przez pewien czas. Na łąkach w pobliżu grodziska w rowie melioracyjnym Niemcy pozostawili nawet kompletny czołg. Nie mogli go ruszyć nawet za pomocą dwóch lin, które urwały się przy próbie wyciągania. Była to dla mnie ciekawostka i kilkakrotnie go odwiedzałem. Uciekający żołnierze pozostawili nawet rzeczy osobiste. Co tylko dało się wymontować, zabrali miejscowi ludzie. Czołgiem tym nikt z władz się nie interesował i w końcu po roku został, już jako wrak, pocięty na złom.

Sprawą pilną było zwrócenie konia. Tata pojechał więc na nim wierzchem i polnymi drogami szczęśliwie dotarł do Dobrzankowa. Wprawdzie został zatrzymany przez czerwonoarmistów, którzy chcieli konia „wymienić” na swojego, lecz zapobiegła temu znajomość rosyjskiego przez tatę i pół lita samogonu, jaki w zamian dostali.

Po powrocie taty najważniejszą sprawą było przygotowanie jakiegoś lokum, gdzie można by zamieszkać. Bo przebywaliśmy w schronie wybudowanym jesienią 1944 roku. Nie było materiałów ani narzędzi, by podjąć się remontu lub odbudowy gospodarstwa.

W podobnej sytuacji znajdowała się prawie każda rodzina. Z pisma Wydziału Opieki Społecznej Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie z września 1945 roku do Ministra opieki Społecznej dowiadujemy się, iż: na terenie powiatu makowskiego działania wojenne trwały pół roku i spowodowały 90% zniszczenia. Znaczna część powiatu jest do dziś dnia zaminowana (...) Na terenie powiatu znajduje się ok. 53 tysięcy ludzi, w tym około 17 tysięcy dzieci do lat 15. 80% ludności mieszka w ziemiankach, bunkrach. Na terenie powiatu makowskiego zanotowano ponad 100 przypadków śmierci głodowej.

Kiedy wiele wsi zostało całkowicie zniszczonych i brak było jakichkolwiek szans na szybką poprawę, znaczna liczba ludności zdecydowała się jechać na Ziemie Odzyskane, przeważnie na teren byłych Prus Wschodnich. Tych, którzy nie chcieli opuścić swojej ojcowizny, czekały trudne czasy długoletniej odbudowy. Spotkało to też moich rodziców.

Po pewnym czasie ludzie dowiedzieli się, że Niemcy mieli w lesie schrony, które pozostawili uciekając w popłochu. Wybrał się więc tata do oddalonego o pięć kilometrów lasu i na znalezionych tam saniach przyciągnął stół, dwa krzesła trochę sprzętu kuchennego, kluczy, innych narzędzi. Wszystko to bardzo nam się przydało podczas odbudowy. Z doskonałych nożyc do cięcia drutu, których używali żołnierze do forsowania zapór, korzystałem jeszcze teraz. Kilkakrotne wizyty w poniemieckich schronach pozwoliły nam znaleźć odpowiednie drzwi, okna, deski i inne materiały niezbędne przy remontach. Te wizyty nie były bezpieczne. Niektóre ze schronów zostały zaminowane i trzeba było bardzo uważać. Odczuwaliśmy duży brak żywności. Worek kartofli i trochę zboża kończyły się. Wybrał się więc tata za Narew, do rodziny w Rębiszach. Zostało tam tylko dwu najmłodszych braci mamy. Dziadka Karolaka już jesienią 1944 roku Rosjanie wywieźli na Syberię. Pretekstem było to, że dziadek był wójtem w Goworowie. Niemcy we wszystkich gminach Generalnej Guberni na stanowiskach wójtów, sołtysów pozostawili Polaków i zmusili, by pracowali dla nich. Natomiast Rosjanie za tą „współpracę” z Niemcami wszystkich ich wywieźli na Syberię.

Z tej wyprawy tata przywiózł trochę ziemniaków, maki, kaszy i słoniny. Nie było tego wiele, bo wujkowie nie mieli dużo, ale już nie głodowaliśmy. Zapasy mięsa uzupełnialiśmy zajacami i kuropatwami. W tym czasie było ich jeszcze dużo na polach. Na ścieżkach zajęcy zastawiało się żelaza sporządzone przez kowalę, a wcześniej stosowane do łapania szczurów. Kuropatwy natomiast gromadziły się przy pozostałościach stert po zbożu i tam ustawiało się zmyślne pułapki z siatki, w które jednorazowo można było złapać nawet kilka sztuk. Było to zajęcie głównie dla mnie. Z konieczności, żeby nie głodować, stałem się kłusownikiem.

Zaczęliśmy porządkować ruiny. Chcieliśmy jak najszybciej wyjść ze schronu i zamieszkać w domu, choćby tylko w pokoju i kuchni. Ale nie było żadnego pieca, w środku sterczał tylko komin. Trzeba było samemu wszystko budować.

Nie zapomniałem budowy pieca kuchennego, przy murowaniu którego pomagałem. Po skończeniu roboty należało przeprowadzić próbę, czy wszystkie przewody są drożne. Przyniosłem więc trochę słomy, drewna i rozpaliliśmy w kuchni ogień. Do dziś jeszcze widzę zmartwioną minę taty, kiedy dym zamiast kominem ulatniał się przez piec. Po pewnej chwili włożyliśmy więcej słomy głębiej do przewodu kominowego i aż zahuczało, a dym ukazał się z komina. Okazało się, że próbę przeprowadziliśmy zbyt szybko, bo mokre przewody parowały i woda nie przepuszczała dymu. Radość była wielka – okazało się, że jesteśmy jednak dobrymi zdunami.

Kiedy zrobiło się już nieco cieplej, trzeba było naprawić dach. To już była robota, bo tata miał lęk wysokości i nie mógł pracować na wysokościach. Podawał mi dachówki, a ja układałem je na dachu. Nie mieliśmy wtedy gwoździ, więc do przybijania desek używało się gwoździ robionych z pociętego drutu. Przeważnie był to drut ze zniszczonych linii telefonicznych. Po wielu próbach wyspecjalizowałem się w rozbijaniu kamieniami izolatorów na słupach, by zrzucić drut, materiał na gwoździe.

Już w lutym 1945 roku uruchomiono naukę w szkole. Ponieważ we wsi nie było żadnego budynku, gdzie można by się uczyć, szkołę uruchomiono w sąsiedniej wsi Jarzylu. Były to dwa małe pomieszczenia w domu państwa Rawów. Naukę rozpoczęto tylko w czterech klasach – od pierwszej do czwartej. Wiek dzieci też był różny, od siedmiu do dwunastu lat. Siedzieliśmy, ściśnięci jak śledzie, w prowizorycznych ławkach zrobionych z nieoheblowanych desek. Ponieważ w czasie okupacji uczyłem się trochę w domu, to zakwalifikowano mnie zgodnie z wiekiem, do klasy trzeciej. Do czwartej klasy chodziła moja siostra Krystyna. Niezależnie od pogody, po śniegu lub błocie, musieliśmy każdego dnia wędrować ponad trzy kilometry w jedną stronę. Tacy byliśmy pilni, że pewnego dnia, nie zdając sobie sprawy, że jest bardzo mroźno, też poszliśmy do szkoły. Okazało się, że jest nas tylko czworo, bo reszta ze względu na mróz pozostała w domach.

Nie było porządnej tablicy, kredy, ołówków i zeszytów. Zeszyty robiliśmy sobie z dokumentów wydobywanej ze zniszczonego budynku gminy. Atrament można było robić z czerwonych buraków. To nic, że podczas pisania trochę się rozmazywał i po kilkunastu dniach



Mój Tata z koniem.

płował, ale był. Było za to pod dostatkiem różnego rodzaju amunicji, granatów i innych rzeczy do strzelania i robienia huk. Tłumaczono nam w szkole, żeby tym się nie bawić, ale dla niektórych było to zbyt pociągające. Pewnego dnia, kiedy w drodze do szkoły zaczęliśmy odpalać i rzucać zapalniki, dziewczęta poskarżyły się do kierownika, pana Budnickiego. Ten wywoływał kolejno delikwentów do tablicy i publicznie na stołeczku wymierzał karę w postaci kilku gum na pupę. Nikt nawet nie poskarżył się na taką niepedagogiczną metodę wychowawczą, bo w domu byłaby jeszcze poprawka. Okazuje się, że jeśli pewne zasady nie docierają przez głowę, to łatwiej je wpoić poprzez inną część ciała.

W następnym roku było już lepiej i do szkoły bliżej. W Sypniewie postawiono dwa szkolne baraki. Było tam już pięć klas. Nadal brakowało wyposażenia, przede wszystkim ławek. W lecie dostaliśmy ławki z przydziału. Jednak nie dostarczono ich do najbliższej stacji, lecz do Pasiek za Różanem. Trzeba je było stamtąd przywieźć. Pojechaliśmy więc po nie wozami drabiniastymi ze starszym o dwa lata kolegą Stefanem Majkowskim. Na szczęście pojechał też z nami młody nauczyciel, pan Gutowski. Początkowo obaj powoziliśmy spokojnie, lecz wtedy konie bały się samochodów i kiedy pod Różanem pojawiło się kilka ciężarówek, zaczęły się płoszyć. Gdyby nie pomoc nauczyciela, wylądowalibyśmy w rowie razem z ławkami. Dzięki nim dwie klasy wyposażone były w prawidłowe szkolne ławki.

Zbliżały się święta Wielkiej Nocy. Chcieliśmy się spędzić już nie w schronie, a w domu. W kuchni i jednym pokoju przybiliśmy podłogi, a na suficie położyliśmy deski luzem. Jak przygotować tradycyjne świąteczne śniadanie? Mieliśmy sześć jajek, które zniosła nam na wiosnę kura podarowana przez panią Wendową jak wyjeżdżaliśmy z Dobrzanekowa. Ponieważ było nas sześcioro, to każdemu można było dać po jednym lub tylko po połówce, a pozostałe trzy przeznaczyć do ciasta. Zwyciężyła wersja druga. Pozostałe trafiły do ciasta, które mama wyczarowała ze skromnych zapasów. Cieszyliśmy się, że jesteśmy w domu na swoim, choć było to święta najbardziej biedne, jakie miałem w swoim życiu.

Po latach, gdy w czasie urlopu byłem u rodziców z córkami, czteroletnią Elą i sześciolletnią Anią, wspominałem czasy, kiedy byliśmy

głodni. Wydawało im się to nieprawdopodobne, a młodsza Ela stwierdziła: „Wiesz tatuś, ty ładne bajeczki opowiadasz. U babci nie było co jeść?!”. Wiadomo, że każda babcia dogadza wnuczkom smakołykami i w głowie dziecka nie mieściło się pojęcie „głodu u babci”.

Zbliżał się czas rozpoczęcia wiosennych prac polowych. Jak je wykonać, kiedy nie ma nawet jednego konia? Mieliśmy jednak sporo maszyn i sprzętu mechanicznego, bez którego mogliśmy się obyć. Ojciec dowiedział się, że w Białostockiem można kupić konie i inne zwierzęta gospodarskie, a nie mają tam sprzętu. Wynajął więc wagon i jeszcze z jednym rolnikiem z Sypniewa pojechał ze sprzętem do Sokółki. Tam wszystko sprzedał i wrócił wozem w parę koni, wioząc kilkanaście prosiąt. To był już majątek. Część prosiąt sprzedał, bo potrzebował pieniędzy na zakup materiałów do remontów. Niestety, koniki były zbyt słabe na nasze ciężkie gleby, ale płytko można już było orać i jako tako przygotowywać się do siewu. Za to przydatne były do transportu drewna koniecznego do odbudowy. Dlatego latem często opuszczałem lekcje, bo trzeba było jeździć po nie do lasu. Tam nauczyłem się tak podcinać drzewa, żeby upadły we właściwą stronę, a piłą ręczną piłowałem kłose, które wybraliśmy dla siebie. Za to niewiele mogłem pomóc tacie przy załadunku, gdzie wymagana była większa siła niż moja. Mimo wiosny, były problemy z żywnością. Dzieci masowo chorowały, powszechne były biegunki, czerwotka, na którą wiele zmarło. Dzieci jadły wszystko, co tylko pozornie nadawało się do jedzenia – i takie były skutki. Nie mieliśmy krowy i to był największy problem. Mimo że południowe rejony Prus Wschodnich zgodnie z układem jałtańskim przyznano Polsce, Rosjanie wywozili z tych terenów wszystko, co stanowiło jakąś wartość: inwentarz żywy, maszyny rolnicze, wyposażenie fabryk, a nawet szyny kolejowe. Traktowali to jako zdobycz wojenną, pozostawiając nam gołą ziemię. Pod koniec maja przez nasze tereny Rosjanie pędzili bydło – olbrzymie stada po 200-300 sztuk. Co kilka dni musieli jednak zatrzymywać się, by zwierzęta odpoczęły i się najadły. Pod Zamościem, w stronę Sypniewa, był duży kompleks łąk i tam często zatrzymywały się te stada. Wówczas pozwalano kobietom doić te krowy, a mleko zabierać ze sobą. Dla nas była to duża rzecz, bo już nie głodowa-

liśmy, mając mleko, choć tylko okresowo. To dojenie nie było systematyczne, więc wiele z tych krów miało zapalenie wymion. Miejscowa ludność różnymi sposobami próbowała zdobyć coś z tego bydła. Czasem udawało się oszukać straż i nocą ukradł kilka sztuk, które oddaliły się od stada. Trzeba je było tylko ukryć do czasu, aż ta grupa pójdzie dalej. Był nawet przypadek, kiedy kilku młodych uzbrojonych ludzi chciało przepędzić strażników i ukraść krowy. Niestety, to się nie udało i dwóch chłopaków zginęło.

Tata popróbował innej metody. Poszedł z mamą doić te krowy. Przy okazji podjął rozmowę z dowódcą, który tą grupę nadzorował. Powiedział, że chce kupić od niego krowę. Ten się zgodził i zażądał za to zegarka i wódki. Następnego dnia poszliśmy do niego z zegarkiem kieszonkowym, który w 1920 roku otrzymał ojciec w nagrodę za wygranie wojkowych zawodów hippicznych w Przeworsku. Dodatkowo w blaszanej bańce niosłem trzy litry samogonu. Przed dojściem do stada bańkę schowaliśmy w krzakach, bo nie wiedzieliśmy, czy nie spotkamy innego strażnika, który może nam ją zabrać. Szczęśliwie zastaliśmy dowódcę. Jak dostał zegarek i bimber, kazał nam wybierać krowę jaką chcemy. Wybraliśmy bardzo ładną, młodą sztukę i szybko odprowadziliśmy ją za lasek i dalej, do domu. Nie byliśmy jednak pewni, czy nam jej nie odbiorą, bo często szukali tych krów. Wprowadziliśmy ją więc nie do obory, ale do piwnicy i odgradziliśmy ją ścianką z desek. Po kilku dniach, gdy ta grupa Rosjan odeszła, krowę przeprowadziliśmy do obory. Była to bardzo dobra krowa i dawała początkowo ponad 25 litrów mleka dziennie.

Teraz już sytuacja diametralnie się zmieniła: mieliśmy mleko, sery, masło a także serwatke i odwirowane na wirówce mleko, które dodawaliśmy do karmy dla prosiąt. Liczyliśmy, że od tej krowy będziemy mieli dobre jałowice, niestety, przez ponad dwa lata nie można było jej zacielić i później tata musiał sprzedać ją na rzeź.

Nowe porządki

Powoli zaczęliśmy podnosić się z ruin. Przychodziła pierwsza pomoc ze Stanów Zjednoczonych, z tzw. UNRRY. Przydzielano konie, krowy, ubrania i inne rzeczy. Ale nowe władze preferowały tych, którzy nic nie mieli i tylko czekali na pomoc. My nic nie otrzymaliśmy, bo już wcześniej mieliśmy konie i krowę. Tak to zostaliśmy ukarani za przedsiębiorczość i pracowitość. Dalsze działania władzy, zwanej ludową, tylko to potwierdzały. Do władzy w gminie powołano ludzi nie zawsze nadających się na te funkcje, ale uległych. Posterunek milicji obsadziło dziesięciu żołnierzy KBW. Ludność spędzano na zebrania i zaczęto namawiać, by rolnicy zapisywali się do spółdzielni produkcyjnej. Specjalni agitatorzy co pewien czas ponawiali próby, lecz w całej wsi nie mogli znaleźć nawet jednego chętnego.

Wprowadzono obowiązkowe dostawy produktów rolnych i rolnicy musieli sprzedawać do państwowych punktów skupu wyznaczoną ilość zboża, mięsa i mleka. Nie byliśmy tym zaskoczeni, bo już Niemcy wprowadzili kontyngenty. Jednak perfidia władzy ludowej tkwiła w tym, że Niemcy za obowiązkowe dostawy płacili normalną cenę, a teraz cena pro-



Rodzina przy żniwach.

duktów z obowiązkowych dostaw stanowiła tylko jedną trzecią normalnej.

W podatkach też były nieprzewidywalne działania. Jeśli ktoś zapłacił podatek w terminie, otrzymywał... tzw. domiar. Była to dodatkowa kwota podatku. Rozumowanie władzy polegało na tym, że jeśli rolnik zapłacił, to znaczy że ma z czego żyć i może zapłacić więcej. Większość ludzi żyła więc bardzo skromnie i nie miała pieniędzy na artykuły przemysłowe.

Byłem bardzo zdziwiony, kiedy u sąsiada zobaczyłem do jakiego obiadu zasiadła cała czterosobowa rodzina. Były to gotowane ziemniaki polane mlekiem i podane w jednej dużej misce, z której jedli wszyscy jednocześnie. Wieś w tym czasie musiała być samowystarczalna. Podstawową żywność wytwarzano we własnych gospodarstwach: zboże mielono na mąkę, z nasion lnu i rzepaku tłoczono olej. We własnym zakresie ubijano zwierzęta i produkowano wędliny. Dość często pomagałem przy uboju tuczników w domu i u sąsiadów. Później umiejętność ta przydała mi się w kętrzyńskim internacie, gdzie dokonywałem uboju tuczników, bo tuczyliśmy warchlaki na potrzeby stołówek, karmiąc je kielkami słodowymi z browaru.

Szczególne sankcje obowiązywały gospodarstwa większe, należące do tzw. kułaków. Nie wolno było wynajmować ludzi do pracy, częste były domiary i inne kary. Ówczesna polityka rolna kierowała się następującą zasadą: „Opierać się na biedniakach, współpracować ze średniakiem i walczyć z kułakiem”. Rodzice zaczęli się więc zastanawiać, co dalej? Jaka jest przyszłość dla rolnictwa. Tej przyszłości na wsi nie widzieli dla swych dzieci. Postanowili, że będą nas uczyć, bo może wtedy będziemy mieli lepsze życie. W 1946 roku najstarsza siostra Irena poszła do szkoły w Ostrołęce. Skończyła tam tzw. małą maturę. Naukę kontynuowała w Technikum Spółdzielczym w Kętrzynie, gdzie w 1948 zdała egzamin maturalny.

Podobnie jak gospodarcza, tak i sytuacja polityczna nie była pewna. Na naszym terenie wciąż dosyć aktywne były oddziały Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (WiN, NOW-AK i NSZ-AK). Wielu młodych ludzi należało do tych oddziałów. Karmiono ich propagandą,

że za kilka miesięcy Polska odzyska prawdziwą niepodległość, a pomogą nam w tym zachodni alianti. Kazano im czekać „z bronią u nogi”. Dziś wiemy, że były to tylko złudzenia, nikt wtedy nie myślał o Polsce i nie chciał zmieniać decyzji jałtańskich. Większość posłuchała jednak rozkazów i nie ujawniła się podczas pierwszej amnestii. Były też przypadki aresztowań już po ujawnieniu. Dlatego druga amnestia nie przyniosła spodziewanych efektów. Oddziały te cały czas bazowały na stałych melinach, a także innych miejscach gdzie się często się przemieszczały. Zaopatrywały się, rozbijając często sklepy gminnych spółdzielni lub zabierając towar z transportu jadącego z hurtowni do sklepów. Za przechowywanie „ludzi z lasu” groziło co najmniej dziesięcioletnie więzienie. Natomiast zgłoszenie milicji, że byli, mogło skończyć się wyrokiem kary śmierci wykonywanej przez „leśnych” natychmiast. I tak źle, i tak niedobrze. Ludzie musieli żyć w ciągłym stresie, niepewni jutra: czy nie będzie aresztowany lub zabity. W tych warunkach trzeba było żyć i pracować przez pierwsze lata wolności.

Zbliżało się referendum pod hasłem „Trzy razy Tak”. Władze i Urząd Bezpieczeństwa namawiały, by głosować „Tak” na wszystkie pytania, natomiast ruch oporu, by głosować „Nie”. Przed dniem wyborów aresztowano wiele osób które uważano za przeciwników. Były ciągłe kontrole przeprowadzane przez grupy wojskowych. Wypytywali dorosłych, a szczególnie dzieci o to, czy był ktoś u nas, a szczególnie grupa wojskowych. Trudno było się zorientować, kto jest kto. Wszyscy byli ubrani w mundury Wojska Polskiego, uzbrojeni w jednakową broń i mówili po polsku. Wielokrotnie niewielkie oddziały „leśnych” odpoczywały u nas po kilka dni. Jednak do końca mieliśmy szczęście, że nikt o tym nie doniósł milicji czy UB. Nauczyłem się w tym czasie tego, że obcym zawsze należy odpowiadać „nigdy nikogo nie widziałem”.

W 1947 roku przybyła do nas Maryla, córka wujka Antoniego Karolaka. Jej mama zmarła w czasie okupacji, a wujek ukrywał się przed Niemcami. W związku z tym dzieckiem zajął się dziadek w Rębiszach. Po zakończeniu woj-

ny wujek znalazł się w wojsku i nie mógł zająć się córką, dopóki nie ożenił się powtórnie (zanim zabrał ją do Kętrzyna, upłynęły dwa lata). Maryla miała już siedem lat i chodziła do szkoły podstawowej razem z moją najmłodszą siostrą Aliną, która była tylko o rok starsza od niej.

Dzieciństwo na wsi w owym czasie wyglądało inaczej niż obecnie. Rano chodziliśmy do szkoły, a po powrocie przebiegaliśmy się w ubrania robocze i szliśmy pomagać w pracach w gospodarstwie. Dopiero wieczorem, przy lampie naftowej siadaliśmy do odrabiania lekcji. Moim głównym zajęciem latem była praca końmi przy orce, bronowaniu, siewie lub żniwach i sianokosach. Nie było łatwo, bo nie zawsze konie chciały słuchać takiego furmana. Czasem trzeba było zawracać, lub narzucać pług lub brony, by nie zostawić na polu „brody”, a sprzęt ten był jednak ciężki dla kilkunastoletniego rolnika. Znacznie łatwiej było już zimą, bo z pracami przy inwentarzu radził sobie już sam tata. Czasem tylko jeździliśmy do lasu po drewno. Szczególnie niebezpieczna była orka w pierwszym roku po wojnie. W polu tkwiło bardzo dużo niewybuchów, małych kilkukilogramowych bomb, zrzuconych z radzieckich samolotów. Z ziemi wystawał tylko wiatraczek umieszczony z tyłu. Kiedy spotkało się taki niewybuch, wyciągało się go ręcznie, odkładało na bok i orało dalej. Sam takich bomb z naszego pola wyciągnąłem kilka. Nie zdawałem sobie sprawy jakie to było niebezpieczne. Trzeba przyznać, że byłem mało rozsądny, ale miałem szczęście.

Zwoziliśmy drewno, by odbudować stodołę i drugą oborę. Gdy udało się nam zgromadzić potrzebną ilość budulca to w 1947 roku grupa pięciu cieśli z Myszyńca postawiła nam oba budynki. Obserwowałem ich pracę. Budowali bez projektu, ale miał go w głowie ich szef. Dysponowali prostymi narzędziami i sznurem, smarowanym opaloną główką, przy pomocy którego wyznaczali linie ciosania kłoców. Każdego dnia szef grupy wydawał dyspozycje pracownikom. Zanim zjedli śniadanie, wszyst-



Podczas koncentracji przysposobienia wojskowego

ko było przygotowane, by po posiłku zacząć pracę. Pracowali tak do zmierzchu, z przerwami na posiłki. Wszystko robili ręcznie. Kłocę ociosywali na kantówkę specjalnymi ciesielskimi toporami. Otwory wiercili ręcznymi świrdrami, a belki łączyli drewnianymi bolcami. Nie używali w ogóle gwoździ. Nawet deski pilowali ręcznie z belek ustawianych na stojakach. Jeden robotnik stał na górze, a drugi ciągnął pilę w dół. Dopóki nie skończyli, nie było mowy, by któryś wypił alkohol. Jednak gdy zakończyli i powiesili wiechę, to już tradycyjnie trzeba było postawić im wódkę.

Ucz się synu, ucz...

Choć był już rok 1948, trudno było mówić o perspektywach na wsi. O ile w miastach sytuacja się klarowała i był względny spokój, to na wsi dalej była wojna i nikt nie był pewien swego losu. Siostra Irena po maturze wróciła do Sypniewa i została zatrudniona na stanowisku głównej księgowej w Gminnej spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Do VIII klasy Liceum Ogólnokształcącego I w Kętrzynie poszła młodsza siostra Krystyna.

W czerwcu 1949 roku urodził się następny brat, nie był jednak od początku zdrowy i po trzech dniach zmarł. Zostałem dalej jedynym synem. Rodzice zaczęli się znów zastanawiać, co robić dalej. W pierwotnych planach to ja, po skończeniu szkoły podstawowej, miałem zostać na gospodarstwie, tak jak większość moich kolegów. Ale nie byłem słabym uczniem i chciałem się uczyć dalej. W końcu ojciec powiedział, że jeśli skończę średnią szkołę to i w kolchozie będzie mi lepiej. Rodzice zdecydowali więc, że od września 1949 roku pójdę do ósmej klasy Liceum Ogólnokształcącego w Ostrołęce. Rodzice liczyli jeszcze na to, że w międzyczasie coś się zmieni, że jak poprawi się sytuacja w rolnictwie to pozostanę po maturze na wsi.

Na egzamin wstępny umówiłem się z kolegą ze wsi Majki, że razem z jego rodzicami pojedziemy na stację kolejową w Zabelach Wielkich, a stamtąd pociągiem do Ostrołki. Niestety, nie ułożyło się tak, jak planowaliśmy. Kiedy przyszedłem do Majki, kolega z rodzicami już pojechali na stację, licząc że zmienię plany. Co w takiej sytuacji miałem robić? Wracać dwa kilometry do domu i próbować przyjechać na stację końmi, czy iść pieszo do Zabeli i próbować zdążyć na pociąg. Zdecydowałem iść pieszo na stację. Wędrowałem szybko polną drogą przez Jarzyły, Mamino i dalej przez las. Kiedy zbliżałem się do stacji zauważyłem, że pociąg odjeżdża. W poczekalni spojrzałem na rozkład jazdy. Niestety, następny pociąg był dopiero późnym wieczorem za siedem godzin. Innej decyzji nie było – do Ostrołki idę pieszo. Trzydzieści kilometrów! Teraz już po torach, przez las, do stacji Nowa Wieś Kościelna i Grabowo. Stamtąd szosą do miasta. W pewnym momencie myślałem, że nie dam rady. Chciało mi się pić, a po drodze nie było żadnego gospodarstwa, gdzie byłaby studnia, tylko las. Resztkami sił, coraz częściej odpoczywając, przeszedłem jednak ten dystans. Obecnie śmiało mogę powiedzieć,

że do szkoły poszedłem pieszo. Zmęczony dotarłem do stryja, Zygmunta Dobka, który mieszkał w tym czasie w Ostrołęce. Padłem nieprzytomny i zasnąłem, a rano z trudem mnie dobudzano, by zdążyć na egzamin.

Na szczęście liceum ogólnokształcące w Ostrołęce było blisko. Zaczęto wywoływać z listy, kolejno według alfabetu, kandydatów na egzamin. Wywołują moje nazwisko, chcę wejść do klasy, a tu pcha się inny chłopak, nieco niższy ode mnie. Mówię do niego, że wywołali mnie, a on, że jego. W końcu pytam, jak się nazywa. Odpowiada – Dobek! Tak to poznałem swego kuzyna Jerzego Dobka, który po skończeniu szkoły w Ostrołęce studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Potem przez wiele lat był wojewodą w Ostrołęce.

Zakwaterowałem się w bursie, która mieściła się w bloku obok parku. Mieszkałem z dwoma kolegami, którzy byli uczniami klasy dziewiętej. Jednym z nich był Józek Gregorczyk z Raw, syn kierownika tamtejszej szkoły, którego poznałem wcześniej. Drugim był Janusz Budny z Baranowa. Tak się złożyło, że obu spotkałem później w Kortowie, kiedy rozpoczynałem studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie. Obaj byli już studentami – Józek na Wydziale Rolnym, a Janusz na Mleczarskim.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie języki obce. W „jedenastolatce” w Ostrołęce obowiązkowym językiem nauczania był francuski, a ja wcześniej uczyłem się dwa lata angielskiego. Brać korepetycje i nadrabiać naukę francuskiego, czy zmienić szkołę? Ponieważ w LO w Kętrzynie, gdzie chodziła już moja siostra Krystyna, nauczano angielskiego, zdecydowałem się na zmianę szkoły.

Już 4 października 1949 roku znalazłem się na Mazurach i stałem się uczniem klasy ósmej Liceum Ogólnokształcącego w Kętrzynie. Mieszkałem z siostrą na stacji przy ul. Sikorskiego. Nie miałem problemu z przystosowaniem się do nowej szkoły. Kętrzyńska szkoła mieściła się w dużym budynku oddanym do użytku w 1907 roku, gdzie dawniej była szkoła niemiecka. Dziwił mnie tylko śpiewny akcent mowy, zarówno nauczycieli jak i uczniów. Kadre stanowili starzy nauczyciele wileńscy, a większość uczniów – dzieci repatriantów z dawnych terenów polskich: z Wileńszczyzny lub Białorusi. Mnie natomiast polonistka pani Helena Raksimowicz zarzucała warszawski akcent. Bez większych problemów ukończyłem klasę ósmą i przyjechalśmy z siostrą na wakacje.

Po wakacjach do Kętrzyna przyjechałem już sam, bo siostra zdecydowała się przenieść do Liceum Drogistowskiego w Warszawie. Namówiła ją do tego koleżanka z klasy, Ela Desułławi. Od tego czasu mieszkałem już w internacie przy ulicy Szpitalnej, razem z innymi uczniami z klas osiem-jedenastie. Przez ponad dwa lata mieszkałem w pokoju trzyosobowym z kolegami z mojej klasy.

W tym czasie szkoła, poza nauczaniem, musiała spełniać specjalną misję wychowawczą. Młodzieżową organizację skupiającą prawie wszystkich uczniów był Związek Młodzieży Polskiej. W każdej klasie wyznaczono specjalnego „organizatora” ZMP, każda miała swój

¹ Wtedy była to pierwsza klasa LO, ale numerację, rzymską, stosowano od pierwszej klasy siedmioklasowej podstawówki.

zarząd klasowy, z członków którego tworzono zarząd szkolny ZMP.

Organizacja ta była narzędziem indoktrynacji, przygotowywała masówki, codzienne poranne apele młodzieży w auli szkoły lub na boisku. Organizacja propagowała postacie, ważne i znane, radzieckiego komsomołu i przywódców rewolucji październikowej. Nie obchodzono dnia św. Mikołaja, bo zastąpił go Dzień Dek Mróz. Omawiano problemy walki klasowej, szermowano pojęciem „wroga ludu” czy „zapłutego karła reakcji” (co odnosiło się do rządów lat międzywojennych). Ktokolwiek w zachowaniu przejawiał jakiegokolwiek odstępstwa od pożądaných postaw, zmuszany był do składania upokarzającego składania samokrytyki.

ZMP zwalczał wszelkie formy religijności młodzieży, bo powołane było do ateizacji życia, tworzenia tzw. naukowego poglądu na świat. ZMP przejął ster pracy wychowawczej. Pamiętam tzw. „Brygady Lekkiej Kawalerii”, wzorowane na doświadczeniach radzieckiego komsomołu. Formy stosowane w tym zakresie były żywcem przeniesione z metod rewolucyjnych. Zakazano porannej modlitwy przed lekcjami. Zniknęły krzyże, wiszące na bocznych ścianach każdej klasy. W końcu, w 1952 roku, zakazano nauki religii w szkole i utworzoną szkołę świecką Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Wtedy kilku uczniów mojej klasy odeszło do innych szkół. Działania te wspierał bardzo mocno ówczesny dyrektor szkoły Józef Rozumko, który w latach 1952-57 był dyrektorem z awansu społecznego.

Pod koniec czerwca 1952 roku w naszej szkole nastąpiły aresztowania uczniów za przynależność do tajnej organizacji młodzieżowej działającej na Warmii i Mazurach. Z mojej klasy aresztowano cztery osoby, z tego dwie: Bożenę Menchen i Janusza Nikończuka skazano na 6 i 4 lata więzienia. Pozostałe otrzymały wyroki w zawieszeniu. Ponadto na krótko aresztowano jeszcze kilku kolegów z innych klas. Sprawa tej organizacji, pod nazwą Tajny Związek Patriotów Polskich i jej działalność², nie jest jednoznaczna, tak samo jak rola jej założyciela Zbigniewa Szymczyka, etatowego przewodniczącego Zarządu Powiatowego ZMP w Kętrzynie.

Zarząd szkolny Związku Młodzieży Polskiej rozzuchwiał się nawet do tego stopnia, że urządził „sąd” nad nauczycielką rysunku i prac ręcznych. Sąd taki miał za zadanie ocenić jej zachowanie wobec uczniów i ukarać ją za przewinienie. Nauczycielka ta, starsza już pani Brzeska, poza obowiązkami dydaktycznymi była opiekunką szkolnego ogródka. Zarządziła, że w ramach prac ręcznych grupa starszych chłopców wykona pracę pielęgnacyjną w tym ogródku. Pechowo się złożyło, że ogródek ten znajdował się przy szkole i przybudówce mieszkalnej dla nauczycieli, w której mieszkała pani Brzeska. Zdaniem przewodniczącego zarządu szkolnego ZMP, wykorzystwała pracę uczniów dla własnej korzyści. Zarząd zwołał więc zebranie i zorganizował „sąd” nad nauczycielką, który zakończył się dopiero koło



Koledzy z X klasy na wykopkach w Państwowym Gospodarstwie Rolnym /PGR/.

godziny trzeciej nad ranem. W konsekwencji nauczycielka została przeniesiona do szkoły w Giżycku.

Wobec propagandy „zimnej wojny” i jednocześnie walki o pokój, prowadzono z młodzieżą zajęcia z przysposobienia obronnego. Organizowano dwukrotnie w roku tzw. koncentracje wojskowe w terenie. Wszyscy uczniowie obowiązkowo musieli stawić się na zbiórkę, by w czwórkowym szyku pomaszerować kilka kilometrów do lasu w kierunku byłej kwatery Hitlera w Gierłożu. Tam na polanach leśnych wojsko przygotowywało rozmaite „stanowiska bojowe”. Tematem tych gier wojennych były wrogowie „szpiechy nasłani do nas z krajów kapitalistycznych”, którzy chcą nas zdobyć i zniszczyć. Z drugiej strony byliśmy my – kilkunastoletni uczniowie, którzy mieli ich wykręć i wziąć do niewoli. Wracaliśmy z tych zajęć zmarnięci, głodni i zmęczeni. Często na koncentracje otrzymywaliśmy karabiny z przewierconymi komorami nabojuowymi, które były tylko balastem obciążającym każdego z nas.

W ramach nawiązywania kontaktów między miastem a wsią młodzież szkolna z miasta miała obowiązek szerzyć kulturę na wsi. Organizowano więc zespoły artystyczne, taneczne, chóralskie i deklamatorskie. Z programami przygotowywanymi przez nauczycieli jeździliśmy do wsi i państwowych gospodarstw rolnych powiatu kętrzyńskiego. Byliśmy też dwukrotnie na występach wojewódzkich w Olsztynie. W repertuarze były tańce ludowe jak krakowiak, kujawiak, góralski i oberek. Tańczyłem z koleżankami z klasy: najpierw z Jasią Zabłocką, potem Krystyną Dubakiewicz.

Jesienią każdego roku musieliśmy wyjeżdżać na wykopki do pobliskich PGR-ów. Było to dla nas bardzo kłopotliwe. Nie mieliśmy odpowiednich ubrań ani obuwia, by pracować w polu, szczególnie w deszczu i błocie. Nie zawsze też w pegeerze były jakieś buty, by nam je udostępnić. Efekt naszej pracy był niewielki, ale za to jaki wydźwięk polityczny miała ta akcja! Niektórych w tym czasie wysyłano w teren, by organizować we wsiach koła Związku Młodzieży Polskiej. Nawet mnie raz wysłano z kolegą z klasy, Grzegorzem Grabarczykiem.

Mieliśmy zgłosić się do sekretarza Gminnego Komitetu PZPR w Barcianach, który miał nam zagwarantować noclegi i powiedzieć, w jakich wsiach można byłoby zorganizować koło ZMP. Zgodnie z poleceniem zgłosiliśmy się w Komitecie, gdzie powiedziano nam, że nocleg jest w jego pokoju gościnnym. Pierwszego dnia poszliśmy do pobliskiego PGR Gęsie Góry, ale kierownik gospodarstwa stwierdził, że młodych pracowników to ma tylko dwóch i jak tu zorganizować koło. Wróciliśmy więc do Barcian, gdzie mieliśmy mieć nocleg. W pokoju znajdowały się dwa łóżka żelazne z siennikami, przykrytymi kocami. Uzupełnieniem mebli był stół nakryty czerwonym płótnem i dwa krzesła. Wszystko pokrywała warstwa kurzu, bo chyba przez miesiąc nikt tam nie zaglądał.

Na kolację zjedliśmy zakupioną w sklepie GS konserwę i położyliśmy się do łóżek. Po chwili obaj zaczęliśmy się kręcić, bo coś nas gryzło. Okazało się, że na kocach jest pełno drobnych, skaczących robaczek. Tyle pcheł nigdy w życiu nie widziałem. Zamiast spać urządziliśmy polowanie na pcheł. Na czerwonym płótnie położyliśmy białą kartkę papieru i na niej ułożyliśmy stos zabitych pcheł. Rano zaprosiliśmy sekretarza. Następnego nocleg mieliśmy już w normalnych warunkach, bo zlitował się nad nami prezes gminnej spółdzielni. Zostawił nam do dyspozycji swój pokój, w którym mieszkał. W porównaniu do poprzedniego lokum, był to komfort.

W następnej wsi, gdzie miało być zebranie, też do niego nie doszło. Na szczęście trzeciego dnia spotkaliśmy w Barcianach lekarza weterynarii z Kętrzyna, ojca naszej koleżanki z młodszej klasy, Ewy Sobocińskiej, z którym samochodem wróciliśmy do Kętrzyna. Byliśmy trzy dni w Barcianach, ale na terenie tej gminy nie założyliśmy żadnego koła. Po powrocie dostaliśmy naganę od Zbigniewa Szymczyka, przewodniczącego Zarządu Powiatowego ZMP, za brak aktywności. Po tym doświadczeniu odechciało mi się działalności w ZMP.

Mimo różnych akcji i obowiązków z tego wynikających, mieliśmy zawsze czas, by pograć w piłkę. Naszym nauczycielem wychowania fizycznego był Klemens Raksimowicz. Ten

² Tajny Związek Patriotów Polskich działał w latach 1951-52 na terenie ówczesnego woj. olsztyńskiego. Był prawdopodobnie odłamem ogólnopolskiego Konspiracyjnego ZPP (1949-51) zlikwidowanego przez UB.

oficer I Armii Wojska Polskiego³ był entuzjastą ćwiczeń fizycznych i sportu. Popularyzował wśród młodzieży zamiłowanie do sportu. Na lekcjach wychowania fizycznego wymagał wiele od wszystkich. Uczył nas nie tylko gimnastyki, ale też szermierki, w tym walki na bagnety, a nawet boks. Każdy musiał wykazać się odpowiednią sprawnością we wszystkich dziedzinach lekkiej atletyki. By dostać dobry stopień z wychowania fizycznego, należało osiągnąć wyniki wymagane do zdobycia odznaki SPO (Sprawny do pracy i obrony). Poza normalnymi zajęciami pan Raksimowicz zawsze był w sali sportowej i znajdował czas, by ćwiczyć z młodzieżą. Zorganizował szkolne drużyny męskie i żeńskie: siatkówki, koszykówki oraz piłki ręcznej, które pod nazwą SKS „Świt” Kętrzyn odnosiły wiele sukcesów nawet na arenie wojewódzkiej. Ponadto niektórzy z nas grali w piłkę nożną w juniorach „Granic” Kętrzyn. Graliśmy też „w nogę” w szkole, bo jej entuzjastą był nasz biolog, mgr Edmund Klopf. Grał często z nami, nawet w reprezentacji szkoły. Niewielkiego wzrostu, dobrze zbudowany, był trudny do zatrzymania, a przede wszystkim dobrze strzelał. Gdy któryś z nas go sfaulował i bardzo przepraszał, zawsze mówił: „nie przepraszaj a graj, bo za chwilę ja ciebie mogę faulować.”

Każdego roku wszyscy uczniowie musieli brać udział w Biegach Narodowych. Zależnie od wieku każdy musiał startować w biegu terenowym na dystansie jednego lub dwu kilometrów. Były też obowiązkowe starty w jesiennych marszach. Tu już dystans był większy, bo 5 lub 10 kilometrów. Startowałem co roku z różnym powodzeniem. Jednak w 1952 roku przed jesiennymi marszami, kiedy przygotowywaliśmy się do startu na 10 kilometrów, rozboleła mnie noga i spuchł mi staw kolanowy. Była to konsekwencja wcześniejszego urazu podczas gry w piłkę nożną. Wszyscy jednak to zlekceważyli i w konsekwencji w stawie kolanowym zaczęła zbierać się woda, powstał stan zapalny i taki ból, że nie mogłem chodzić. Przed zawodami powiedziałem o tym nauczycielowi WF, jednak on tego nie uznał. Dopiero, gdy lekarz dał zaświadczenie o chorobie, zwolnił mnie ze startu, ale musiałem tą trasę przejechać na rowerze jako sędzia.

Wtedy choroba potoczyła się szybko. Po kilku dniach nie mogłem już chodzić i znalazłem się w szpitalu w Kętrzynie. Tam nogę włożono mi w gips i na trzy tygodnie odesłano do domu. Pojechałem do rodziców, bo nie chciałem leżeć w internacie. Po powrocie w szpitalu zdjęto mi gips, jednak ból nie ustępował, bo wytworzył się już stan zapalny, a wysięk utrzymywał się dalej. Dziwne było zachowanie lekarza po zdjęciu gipsu. Pytał mnie, dlaczego przed założeniem gipsu nie zrobiono mi punkcji. Skąd ja miałem to wiedzieć, jak nie wiedział tego lekarz? Mimo bólu, zgłosiłem się do szkoły, by nadrobić zaległości w nauce z powodu choroby. Chciałem jakoś dociągnąć do matury, by nie stracić roku. Nie udało się, ból był silniejszy. Ponadto nauczyciele, a szczególnie wy-

chowawczynie pani mgr Aleksandra Kuncewicz, wytłumaczyli mi, że zdrowie jest najważniejsze, a maturę mogę zdać za rok. Pożegnałem się więc z Kętrzynem i jego „doskonałym” szpitalem. Zacząłem leczyć się w Makowie Mazowieckim i Ciechanowie. Po pewnym czasie udało się rodzicom nawiązać kontakt z prof. Grucą z Akademii Medycznej w Warszawie. Leczyłem się prywatnie, a za wizytę u lekarzy, a nawet za pobyt w szpitalu, rodzice musieli płacić. W tym czasie rolnicy i ich dzieci nie byli ubezpieczeni.

Lata 1952 i 1953 były latami ważnymi dla rodziny. W dniu 19 lipca 1952 roku odbył się ślub mojej najstarszej siostry Ireny. Wyszła za mąż za Kazimierza Nartnowicza, nauczyciela Szkoły Podstawowej w Sypniewie. Natomiast w sierpniu 1953 roku za mąż wyszła druga siostra, Krystyna. W 1952 roku ukończyła ona technikum w Warszawie i pracowała w drogerii w Ostrołęce. Ślub jej z Ireneuszem Malinowskim, felcerem z Suchcic, odbył się w Sypniewie 23 sierpnia. Wesela te zgromadziły ponad 150 osób, bo nie sposób było pominąć kogoś z licznej rodziny i przyjaciół. Wszyscy bawili się dwa dni.



Ślub siostry Ireny, 1952 r.

Po kilku miesiącach leczenia nastąpiła poprawa mego zdrowia i we wrześniu 1953 roku wróciłem do klasy maturalnej. Nie byłem całkowicie zdrowy, lecz mogłem swobodnie i bez bólu funkcjonować. Nie mogłem tylko przeciążać nogi i pracować fizycznie z obciążeniem. Zamieszkałem, podobnie jak wcześniej, w internacie. W klasie nowi koledzy, lecz szybko się przystosowałem, bo znałem ich poprzednio. Zacząłem się też zastanawiać, co robić po maturze. A może studia? Rodzice, choć bez zadowolenia, przyjęli te decyzje spokojnie. Pogodzili się już z tym, że nie zostanę na gospodarstwie. Należałem raczej do dobrych uczniów, szczególnie mocny byłem z przedmiotów ścisłych. Myślałem więc o studiach na Politechnice Gdańskiej. Życie jednak wprowadziło korektę do tych planów.

Matematykę, fizykę i chemię wykładał nam magister chemii Edward Toczyłowski. Jednak chemii nie można było nauczyć tylko teoretycznie, by zainteresować nas tym przedmiotem. Laboratorium było bardzo słabo wyposażone i było mało doświadczeń. Nie mogło ich być, bo brakowało najprostszych odczynników, szkła laboratoryjnego, pipet, zlewki czy nawet probówek. W tej sytuacji najsłabszy byłem z chemii. Za to mocny byłem z matematyki i fizyki. Nawet na początku klasy maturalnej udzielałem korepetycji z matematyki. Poprosił mnie więc mgr Toczyłowski, bym udzielał korepetycji z zakresu klasy dziesiątej jego uczennicy z wieczerówek. Przekonałem się wtedy jak niewdzięczny jest zawód nauczyciela, gdy uczeń nie rozumie, czy też nie chce zrozumieć tego, czego go uczymy. W tym przypadku moja uczennica, starsza ode mnie, nie chciała się uczyć. Myślała już o czymś innym. Nauczyciel znał jej braki i żądał, by wytłumaczyć jej określone zadania i co tydzień stawiał mi zadania praktycznie niewykonalne. Mimo że rodzice mojej uczennicy dobrze mi płacili i chcieli, bym dalej uczył ich córkę, to po trzech miesiącach zrezygnowałem z tego zarobku. Uzasadni-



Ślub siostry Krystyny, 1953 r.

łem to brakiem czasu na naukę przed maturą.

Myśląc o studiach, postanowiłem poprawić swoje stopnie i od początku roku 1954 przeprowadziłem się z internatu do mego wujka Antoniego Karolaka. Mieszkał on z rodziną w willi naprzeciwko szkoły i w trójkę zajmowali trzy pokoje z kuchnią. Proponował mi mieszkanie już od początku roku, lecz ja wolałem w internacie. Miałem doskonałe warunki, duży samodzielny pokój naprzeciwko szkoły, do której wychodziłem jak usłyszałem dzwonek. Mogłem się spokojnie uczyć i na trzeci okres, dopuszczający do matury, poprawiłem stopnie tak, że osiągnąłem średnią powyżej czwórki. Często też chodziłem do szkolnej sali gimnastycznej, by po południu trochę poćwiczyć w ramach rehabilitacji.

Razem ze mną był w klasie siostrzeniec naszych nauczycieli Zbyszek P., który z okazji

³ Utworzona w lipcu 1944 r. na bazie powstałej wcześniej I Armii Polskiej w ZSRR. Szlak bojowy zakończyła w maju 1945 nad Łabą i udziałem kilku oddziałów w zdobyciu Berlina. Stała się podstawą nowego Wojska Polskiego, zwanego ludowym.

powiązań rodzinnych czasem dokuczał innym wiedząc, że ujdzie mu to płazem. Ponieważ był jednym z większych i silniejszych, wszyscy mu ustępowali. Pewnego razu, sam nie wiem dlaczego, w czasie dużej przerwy, uderzył mnie w twarz, podbijając oko. Zareagowałem błyskawicznie, na co nie był przygotowany i zrewanżowałem mu się z nawiązką. Ale nie panowałem już nad sobą i swoimi odruchami. Na ten moment wszedł dyrektor i widząc, co się dzieje, uderzył mnie z tyłu. Myślałem, że to któryś z kolegów chciał mnie uspokoić i odruchowo z półobrotu uderzyłem napastnika. Kiedy zobaczyłem, że to dyrektor, momentalnie się uspokoiłem. Usłyszałem tylko głośny krzyk dyrektora: „Won ze szkoły!” Co miałem robić – zabrałem teczkę z książkami i poszedłem do domu. Znow zacząłem się zastanawiać: co dalej? Już „zdałem” maturę i koniec mojej nauki, bo wyleją mnie ze szkoły.

Po godzinie przyszedł z pracy wujek, zobaczył, że mam podbite oko i zapytał, co się stało. W pierwszej chwili próbowałem kłamać, że podczas gimnastyki spadłem z drabinki i kantem kozła uderzyłem się w oko. Wujek na to: „Ale podczas tego spadania zdążyłeś ładnie urządzić Zbyska”. Co było robić, powiedziałem prawdę, bo wujek dowiedział się już wszystkiego od kolegów z klasy, których spotkał wracając z pracy. Prowadzili oni Zbyska do domu, bo nie widział na oba oczy. Cała klasa była świadkiem zajścia i wszyscy mnie bronili, twierdząc, że moja reakcja była tylko odpowiedzią na atak. Wujek uruchomił wszystkie znajomości z nauczycielami i próbowano mnie ratować przed wydaleniem ze szkoły. Rano poszedłem na lekcję. Siadłem w ławce i czekam, co będzie dalej. Po chwili przyszedł do mnie zastępca dyrektora szkoły mgr Edmund Kłopf. Tłumaczyłem mu się, że nie wytrzymałem nerwowo i nie wiem, czemu moja reakcja była taka. Profesor pocieszył mnie mówiąc: „Dobrze zrobiliście, nie pokazuj się tylko dyrektorowi, obronimy cię”. Po przesłuchaniu wszystkich świadków zajścia Rada Pedagogiczna postanowiła ukarać mnie i Zbyska obniżeniem stopnia ze sprawowania na trzeci okres.

Wiosną 1954 roku zapisałem się na kurs samochodowy i chodziłem na zajęcia oraz naukę jazdy razem z kolegą, z którym siedziałem w ławce. Był to Walter Horst Ernest Knis, autochton, który z matką i starszą siostrą mieszkał w Bezlawkach koło Kętrzyna. Nauka jazdy od-



Willys MB, potocznie znany jako **jeep**. Wikipedia.

bywała się na starym powojennym willysie⁴, a instruktor często kazał nam jechać do wsi, aby



Z kolegami z pokoju na I roku studiów, 1954 r.

kupić mu samogon, z którego chętnie korzystał. Egzamin na prawo jazdy zdaliśmy na dwa dni przed rozpoczynającym się egzaminem maturalnym.

Do matury przygotowywaliśmy się w grupach. Ze mną uczyły się jeszcze cztery koleżanki, słabsze z matematyki. Krótco przed maturą dostaliśmy masę pytań zestawionych w trójki. Trzeba było się z nimi zapoznać, a na przygotowanie było niewiele czasu. Wtedy, po raz pierwszy i chyba jedyny, zastosowano system zdawania egzaminu każdego dnia z innego przedmiotu. W piątek, jako pierwszy, zaczynał się egzamin pisemny z języka polskiego, w sobotę pisemna matematyka. Po dniu przerwy, od poniedziałku do soboty kolejno egzaminy ustne z sześciu przedmiotów. Komisja składała się z kilku osób, a wśród nich zasiadał też sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR. Było to dla nas bardzo stresujące, bo spotkania z komisją każdego dnia nie należały do przyjemnych, a oblanie egzaminu tylko z jednego przedmiotu oznaczało powtarzanie klasy. Jednym z pechowców był kolega Czesław Głos, który w ostatnim dniu egzaminów oblał tzw. naukę o konstytucji. Musiał powtarzać rok i maturę zdał dopiero za rok. Bałem się egzaminu z języka polskiego, nie z powodu braku wiedzy, lecz nauczyciela. W Kętrzynie miałem zazwyczaj czwórkę z polskiego, ale na maturalne dopuszczenie otrzymałem ocenę dostateczną. Miałem podstawę sądzić, że tak samo zostanie oceniona moja praca maturalna z tego przedmiotu.

Okazało się, że nie trzeba było się obawiać. Przygotowując się do matury, opracowałem dobrze temat o epoce Odrodzenia. Trafiłem w dziesiątkę. Jednym z trzech tematów do wyboru na pisemnym było właśnie Odrodzenie! Spokojnie, nie spiesząc się, przedstawiłem wydarzenia i utwory z tego okresu i oddałem pracę. Drugiego dnia, kiedy przystępowałem do egzaminu pisemnego z matematyki, mgr Edmund Kłopf nie bez satysfakcji powiedział mi, że moja praca z języka polskiego, jako jedyna, została oceniona na bardzo dobry. Kolej-

ne egzaminy ustne zdawałem już bez problemów.

A dyrektor, nawet po maturze, prześladował mnie. Kiedy na uroczystym rozdaniu świadectw wszystkich proszono na podium w auli i kolejno wręczano świadectwa dojrzałości, mnie nie wymieniono nawet jako maturzysty, a świadectwo, już po uroczystości, wręczył mi wychowawca klasy. Bałem się więc, że nie dostanę dobrej opinii od dyrektora szkoły i mogę nie dostać się na Politechnikę w Gdańsku, gdzie podania złożyła większość kolegów z klasy. Wiedziałem, że dalej muszę się leczyć, a jako student będę już ubezpieczony i za pobyt w szpitalu nie trzeba będzie płacić. Zdecydowałem więc, że złożę papiery na Wydział Zootechniczny w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie. Uważałem, że tam będzie mi się łatwiej dostać na studia, a może po skończeniu pozostanę na gospodarstwie? Kiedy o tym dowiedział się mgr Edward Toczyłowski – mój wykładowca matematyki i fizyki – stwierdził krótko, że jestem idiotą. Jednak ja miałem swoje racje i zdania nie zmieniłem. Złożyłem papiery wymagane na Uczelni i wyjechałem na wakacje do domu rodziców. Z niepokojem czekałem na zawiadomienie o dopuszczeniu mnie do egzaminu wstępnego. Kiedy otrzymałem list z Olsztyna z niepokojem otwierałem kopertę. Było to zawiadomienie o dopuszczeniu mnie do egzaminu wstępnego.

W Kortowie, czyli student pan

Na egzamin wstępny przyjechałem do Olsztyna w przeddzień egzaminu. Dzielnica akademicka, Kortowo, znajduje się na południu miasta i trzeba było tam dojeżdżać autobusem (linia 9) lub trolejbusem (linia 3). Kandydatów na zootechników ulokowano w akademiku nr 2, zwanym też „Dwójką”. Był to budynek niedawno oddany do użytku, nawet nie otynkowany. Rano następnego dnia zdawaliśmy z biologii i chemii. Egzamin nie był według mnie trudny, ale jak się później okazało prawie połowa chętnych go nie zdała. Po kilku dniach otrzymałem zawiadomienie, że zostałem przyjęty na I rok Wydziału Zootechnicznego. Jednocześnie otrzymałem miejsce w domu studentckim. To był mój pierwszy sukces.

Pierwszy rok studiów zaczynaliśmy we wrześniu 1954 roku. Zakwaterowano mnie

lys MB i Ford GPW. Oba modele były używane przez wszystkich aliantów także po wojnie.

⁴ Willys, czyli jeep – nieduży amerykański samochód terenowy z okresu II wojny światowej. Produkowany w dwóch wersjach, Wil-

w pokoju sześciuosobowym niskiego parteru w „Dwójce”. W tym czasie uczelnia miała tylko trzy akademiki, niektórzy studenci mieszkali więc w starych blokach poszpitalnych. W pokoju było sześć metalowych łóżek, w tym dwa piętrowe, w kątach stały trzy podwójne szafki na ubrania i półka na bieliznę. Ponadto na środku stał stół i sześć krzeseł. Moimi współmieszkańcami na pierwszym roku studiów byli: Roman Zankiewicz, Tadeusz Chelmiński, Benedykt Masłowski, Witold Zamojski i Romuald Matusik.

Byłem przyzwyczajony przez kilkunaltne mieszkanie w internatach do zbiorowego życia i szybko dostosowałem się do tych spartańskich warunków. Gorzej mieli ci, co podczas nauki w szkole średniej mieszkali w rodzinnych domach. W tym czasie 80% studentów stanowiła młodzież wiejska. Los nas nie głaskał, ale dopiero tu wielu rozpoczynało swoje samodzielne życie, wymagające przystosowania się do wielkiej zbiorowości ludzkiej. Większość swój pobyt na uczelni traktowała jako możliwość awansu i dokonania czegoś dla środowiska, z którego się wywodziliśmy.

Stołówka studencka mieściła się w starym budynku w pobliżu rektoratu, gdzie obecnie jest parking. Koszt dziennego wyżywienia nie był duży, lecz potrawy niezbyt wyszukane. Na śniadania i kolacje zawsze był chleb z odrobiną masła, sera lub marmoladą, a czasem trochę kielbasy, kaszanki lub salcesonu. Dania wydawano w okienku po oddaniu kartki, natomiast herbatę otrzymywaliśmy z kranów umieszczonych na ścianie dzielącej kuchnię od stołówki. Do picia była przeważnie czarna zbożowa kawa, czasem zabiellana. Obiady w zasadzie były dwudaniowe, czasem rozpieszczano nas rozcieńczonym kompotem lub kisielem. Większości studentów te posiłki musiały wystarczyć. Jednak ci, którzy nie przywykli do takiego jedłospisu, a mieli pieniądze, mogli uzupełnić swe potrzeby w barze mlecznym.

Pomieszczenie starej stołówki było zbyt małe, więc w okresie posiłków były kolejki ciągnące się przez całą salę aż na zewnątrz, pod kiosk. Warunki te poprawiły się dopiero po wybudowaniu nowej stołówki i oddaniu jej do użytku w 1957 roku.

Ponieważ olsztyńska uczelnia powstała w 1950 roku i rozbudowywała się, wiele w niej działało na zasadzie prowizorki. Zajęcia odbywały się w adaptowanych poszpitalnych pomieszczeniach i dopiero po stopniowej rozbudowie budynków powstały pierwsze aule, sale i pracownie.

Na pierwszym roku wszystkie zajęcia, zarówno wykłady jak i ćwiczenia, były obowiązkowe i sprawdzano listy obecności. Od samego początku, co tydzień, mężczyźni odbywali obowiązkowe zajęcia w Studium Wojskowym. Cykl tych szkoleń obowiązywał przez cały okres studiów pierwszego stopnia. Kończył się zgrupowaniem w jednostce wojskowej i złożeniem przysięgi. Następnie wszyscy przystępowali do egzaminów, a ci co je zdali uzyskiwali stopień podchorążego rezerwy. Ponieważ miałem kategorię „niezdolny do służby wojskowej”, szkolenie mnie ominęło i jeden dzień miałem wolny od zajęć.



Z siostrami 1956 r.



Wspólna nauka w akademiku.

Z chwilą rozpoczęcia zaliczeń okazało się, jak różny poziom wiedzy reprezentują studenci. Część radziła sobie bez problemów, inni pilnością nadrabiali zaległości, ale byli też i tacy, którzy mimo chęci nie dali rady. Ja nie miałem problemów z ćwiczeniami i zaliczaniem sprawdzianów. Większość kolegów też jakoś sobie radziła do pierwszych egzaminów. Problem zaczął się podczas zimowej sesji po pierwszym semestrze. Wtedy nastąpił największy odsiew. Zdawaliśmy egzaminy z fizyki, chemii i matematyki. Pierwszy egzamin, z fizyki u prof. Kuczery⁵, zdałem na czwórkę, następny był z matematyki, w której byłem dobry.

Ale byłem bardzo zaskoczony, gdy po wejściu do sali na egzamin u prof. Franciszka Indana⁶, ten zapytał mnie po co do niego przyszedłem. – Na egzamin, panie profesorze – odpowiedziałem, a on na to: – A o czym my mamy mówić? Nic nie rozumiałem i nerwowo zacząłem się zastanawiać, o co mu chodzi. Tymczasem profesor z uśmiechem milcząco przeglądał moje karty zaliczeń. Wszystkie sprawdziany zaliczyłem na bardzo dobry. W końcu kazał mi wyprowadzić jakiś prosty wzór. Napisałem go, bez słowa, na kartce. Profesor spojrział na nią i stwierdził, podając mi indeks: – Szkoda czasu, proszę następnego. Dopiero za

drzwiami zajrzałem do indeksu i zobaczyłem w nim pierwszą piątkę.

Przystępując więc do ostatniego egzaminu z chemii nieorganicznej byłem już pewny swego, bo z chemii najsolidniej się przygotowywałem. W gabinecie profesora Wiktora Wawrzyczka⁷ było nas trzech i kolejno odpowiadaliśmy na pytania. Jako pierwszy odpowiedziałem na trzy pytania, które zazwyczaj kończyły egzamin. Byłem spokojny, że zdałem dobrze, więc słuchałem pytań które profesor zadaje kolegom. W jednym przypadku kazał wyprowadzić reakcje, jakie zachodzą podczas otrzymywania kwasu azotowego. Zadanie to otrzymał kolega, z którym razem przygotowywaliśmy się do egzaminu. Wiedziałem, że on tych reakcji nie zna i napisałem je na swojej kartce. Profesor to zauważył i zapytał dlaczego je napisałem. Odpowiedziałem, że chciałem się przekonać, czy ja je znam. Profesor podziękował i kazał mi wyjść. I tu niespodzianka! Kiedy ostatni ze zdających wyszedł z gabinetu z naszymi indeksami, okazało się, że obaj koledzy zdali, a ja mam dwójkę. Na egzaminie poprawkowym profesor udowodnił mi, co znaczy podpaść mu. Poleciał mi rozwiązanie dwóch zadań. Gdy podałem wyniki, profesor stwierdził: – E, panie, sześćset razy niedobrze. Zdenerwowałem się do tego stopnia, że nie byłem w stanie udowodnić, że zadania rozwiązane są dobrze i... przestałem już myśleć.

⁵ Z-ca prof. dr Franciszek Kuczera (1909-1989), kierownik Katedry Fizyki do 1960 r., w 1963 r. powrócił do macierzystej Politechniki Śląskiej.

⁶ Wówczas dr, dojeżdżał na zajęcia z UMK w Toruniu, gdzie pracował na Wydziale Matematyczno-Fizycznym.

⁷ Żył w latach 1911-1969 r., wówczas był doktorem, zastępcą profesora i dziekanem na Wydziale Rolnym, wieloletni kierownik Katedry Chemii, wspierał AZS i chór akademicki.

Po oblanej poprawce następnego dnia idę do dziekanatu wycofać dokumenty w przekonaniu, że nie zdam już egzaminu z chemii. Jednak zastałem tam dziekana, prof. Jana Kałużniackiego⁸. Gdy zobaczył mnie z dokumentami, poprosił do gabinetu i zapytał o przyczynę rezygnacji ze studiów. Opowiedziałem mu jak przebiegał egzamin i jaka była przyczyna. Dziekan przejrzał moje dokumenty z egzaminów i ćwiczeń, i stwierdził krótko: „Z takiego studenta nie zrezygnuję”. Zatrzymał dokumenty i wyznaczył mi termin egzaminu komisyjnego za dwa dni. Protestowałem, że za dwa dni nie zdążę się przygotować, ale powiedział, że jeśli mówię prawdę, to nie powinienem już się chemii uczyć.

Komisyjny egzamin zdałem, jako jeden z nielicznych, przed komisją w składzie: prof. Wawrzyczek, prof. Kałużniacki i dr Masłowski⁹. Prof. Wawrzyczek znów zastosował chwyt ze złymi wynikami zadań. Było mi już wszystko jedno i bardzo spokojnie udowodniłem, że zdania rozwiązałem dobrze, bo zastosowana metoda jest jedyna, a wyliczenia są prawidłowe. Po tym stwierdzeniu dziekan kazał mi wyjść i po dziesięciu minutach poproszono mnie ponownie. Zadano mi tylko jedno pytanie, na które odpowiedziałem poprawnie. Był to mój pierwszy i jedyny egzamin komisyjny. Uważam to za wielki sukces, bo tych, którzy zdali egzamin komisyjny u prof. Wawrzyczki było niewiele. To, że zostałem zootechnikiem, zawdzięczać tylko prof. Kałużniackiemu. Pierwszy semestr nauczył mnie, że nie tylko wiedza jest potrzebna, by zdać egzamin. Potrzebne jest też szczęście.

Na początku roku akademickiego wielu studentów zapisało się do uczelnianego chóru. Ja też wstąpiłem do niego. Wprawdzie istniał on już od dwu lat, lecz jego działalność ożywiła się, gdy dyrygentem został pan Gojlik. Początkowo repertuar opierał się na piosenkach ludowych, głównie z Warmii i Mazur. Występowaliśmy na uroczystościach uczelnianych i wojewódzkich, a także w olsztyńskim teatrze im. Stefana Jaracza. Dopiero w następnym roku stopniowo zmieniano repertuar na bardziej ambitny. Już po roku reprezentowaliśmy niezły poziom, bo w 1955 roku zakwalifikowano nas na centralne eliminacje zespołów studenckich, które odbyły się w Łodzi. Wprawdzie sukcesu tam nie osiągnęliśmy, jednak był to niezły początek. Kilka lat później chór Akademicki przy WSR w Olsztynie mógł pochwalić się koncertami nie tylko w kraju, ale i za granicą.

W następnym semestrze nie miałem już problemów z egzaminami. Zaczęły się za to problemy zdrowotne. Leczyłem się prywatnie pod nadzorem prof. Grucy. Musiałem chodzić w aparacie ortopedycznym, który miał spowodować wyleczenie chorego stawu. Kłopoty z chodzeniem trwały ponad rok i nie było poprawy. Profesor Gruca zdecydował, że konieczny jest zabieg w Klinice Ortopedycznej

w Warszawie. Po zaliczeniu trzeciego semestru musiałem więc wziąć urlop dziekański i znalazłem się w klinice. Kuracja była długa i bolesna: po dwóch tygodniach operacja trwająca sześć godzin, następnie rehabilitacja w Konstancinie u prof. Wajsa i powrót do kliniki. Ale nie było poprawy, na jaką liczono. Na dalszą rehabilitację skierowano mnie do sanatorium klinicznego w Ciechocinku. Po miesiącu też nie było poprawy i przedłużono mi kurację o kolejny miesiąc.

W sanatorium wybrano mnie starostą turnusu. Razem z moją grupą na zajęcia na basenie przychodził też Władysław Gomułka¹⁰, którego niedawno zwolniono z więzienia. Towarzyszyło mu dwóch młodych, dobrze zbudowanych ludzi. Zastanawialiśmy się, na co oni są chorzy. Wyjaśnił mi to w rozmowie po zajęciach sam Gomułka, że jest to jego ochrona. Lubił zawsze pogadać, kiedy miał słuchacza. Pewnego dnia, pod koniec lipca 1955 roku, powiedział mi, bym przekazał lekarzowi, że następnego dnia nie będzie go w sanatorium, bo jedzie do Warszawy na spotkanie z premierem Józefem Cyrankiewiczem¹¹.



Na balu Noworocznym 1958 r.

Wkrótce wróciłem do domu. W tym czasie elektryfikowano wieś, w tym Sypniewo. Kolonie miały być zrazu pominięte, jednak rolnicy z kolonii solidarnie złożyli się i z konkretnymi argumentami pojechaliśmy w ich imieniu do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Warszawie. Widocznie argumenty były przekonujące, bo jeszcze w tym samym roku doprowadzono prąd do wszystkich gospodarstw. Rolnicy przywieźli tylko słupy energetyczne ze stacji kolejowej Nowa Wieś i rozwieźli je po polach własnym transportem. W listopadzie znów znalazłem się w sanatorium. W 1955 roku w szpitalu i sanatorium spędziłem pół roku. Nie wyleczyłem się, lecz nastąpiła taka poprawa, że w 1956 roku



Praca w spółdzielni studenckiej.

mogłem wrócić na uczelnię na czwarty, letni semestr.

Powrót po urlopie dziekańskim nie był łatwy. Nie dotyczyło to zajęć, bo do rygorów obowiązujących na uczelni już przyzwyczaiłem się. Jednak, jak to bywa z dokwaterowaniem do akademika w ciągu roku, trafiłem do pokoju z trzema kolegami, dla których Kortowo było już jedną z kolejnych uczelni (i ją po rocznym pobycie też opuścili). Nie mieli stypendiów, więc utrzymywali się z hazardowej gry w pokera i brydża. Często, zamiast uczyć się, musiałem im służyć za partnera w treningach. Moi współmieszkańcy, dwaj Andrzejowie i Lulek, uważali bowiem, że gdy trzech chce grać w karty, to czwarty musi. Chcąc, nie chcąc, nauczyłem się grać w karty, co przydało mi się w późniejszym życiu.

Nie mogłem natomiast narzekać na kolegów z mego nowego rocznika i do końca studiów mieliśmy dobre układy. W ogóle ten rocznik, do którego trafiłem po dziekance, był wyjątkowy pod każdym względem. Wszyscy zgodnie współpracowali, zarówno w dobrych jak i w niezbyt przykładowych czy-

nach. Jednak zawsze można było na nich liczyć. Te studenckie układy przeniosły się później na współpracę, kiedy już podjęliśmy pracę zawodową. Nawet po latach utrzymujemy bliskie kontakty, by wspominać lata naszej młodości.

Wiadomo, że student nie tylko samym chlebem i nauką żyje. Byliśmy młodzi i chcieliśmy korzystać w wolnych chwilach ze swobody i zabawić się czasem. W Kortowie nie było sali, gdzie można by zorganizować zabawę dla większej grupy. Odbywały się wprawdzie potańcówki w większych salach bloku, gdzie mieściło się Studium Wojskowe¹². Nie rozwiązywało to jednak problemu. Jednak radziliśmy sobie i w tej trudnej sytuacji.

Zdanie każdego egzaminu było okazją do koleżeńskiego spotkania. Jedni umawiali się w pokojach i przy winie dzielili się wrażeniami

⁸ Był doktorem, zastępcą profesora, kierownikiem Zakładu Anatomii Zwierząt i dziekanem Wydziału Zootechnicznego w latach 1954-55, zmarł w 1955 r.

⁹ Dr Piotr Masłowski był adiunktem w Zakładzie Biochemii.

¹⁰ Działacz konspiracyjny PPR, b. minister w powojennym rządzie, współtwórca PZPR, osadzony w 1949 r. za tzw. „odchylenie prawicowo-nacjonalistycznie”, uwolniony w grudniu 1954 r.

¹¹ (1911-1989) Z zawodu dziennikarz, działacz socjalistyczny (PPS) i komunistyczny (PZPR), pięciokrotny premier RP i PRL.

¹² Obecnie budynek z katedrami różnych wydziałów przy ul. Prawocheńskiego.

minionego dnia. Często też śpiewaliśmy przy akompaniamencie gitary czy mandoliny różne piosenki. Szczególnym powodzeniem cieszyła się następująca piosenka o studencie, z której pamiętam tylko dwie zwrotki:

Tam na poddaszu student żył
Wszak znacie życie studenta.
On mało jadł a dużo pił
I bałamuciał dziewczęta.
Student do nauki miał wiele ksiąg
I do pomocy dwie czaszki
A kiedy książki rzucił w kąt
Wesołe stroił igraszki.

Byli też tacy którzy, przy tej okazji wybierali wyjazd do miasta, by zamienić „dychę na setkę”. Czasem dołączałem do tej drugiej grupy. Zamiana dychy na setkę wynikała z prostego wyliczenia. Mając dziesięć złotych, można było jechać do miasta trolejbusem za 20 groszy, w barze „Ratuszowym”¹³ wypić setkę wódki za dziewięć złotych sześćdziesiąt groszy i jeszcze pozostawało dwadzieścia groszy¹⁴ na bilet powrotny.

W tym czasie modne były zabawy ludowe, organizowane przez władze czasem na powietrzu w parku przy Wojewódzkim Domu Kultury, czy też w salach różnych zakładów, jak Miejskie Przedsiębiorstwo Budownictwa. Studentów chętnie widziano na zabawach organizowanych przez zakłady, w których pracowało wiele pań. Chodziliśmy więc bawić się w Domu Książki, Olsztyńskich Zakładach Gastronomicznych, czy też w bankach. Powstawały w ten sposób nowe znajomości i kontakty. Kłopotliwy był tylko powrót do Kortowa, bo w nocy autobusy i trolejbusy nie kursowały. Na taksówki nie było nas stać, więc pozostawały tylko nocne piesze spacer. Czasem, gdy zarobiłem więcej w spółdzielni studenckiej, stać mnie było, by bawić się w olsztyńskich lokalach. Szczególnie ulubioną była restauracja „Pod Żaglami” przy ulicy Pieniężnego¹⁵.

W trakcie pierwszych lat studiów musieliśmy co roku wyjeżdżać na tydzień, by pomagać państwowemu gospodarstwu rolnym w wykopkach buraków i ziemniaków. Po drugim roku mój rocznik skierowano do PGR-u w powiecie kętrzyńskim. Przydzielono nas do Zespołu PGR w Solance i rozłożono do poszczególnych zakładów. Nasza dziesięcioosobowa grupa trafiła do zakładu Szczeciniak. Zamieszkaliśmy w nowym „trzciniaku” wybudowanym dla pracowników. Ubrano nas w robocze kombinezony, buty gumowe i każdemu wręczono maczetę sporządzoną przez kowala. Rano mieliśmy wyrwać i ogławić buraki cukrowe.

Wcześniej umówiliśmy się z kolegami, którzy znali już pracę w rolnictwie, że spróbujemy tak pracować, by sporo zarobić. Pracowaliśmy solidnie cały dzień i myśleliśmy, że nieźle zarobiliśmy. Jednak wieczorem kierownik powiedział, że otrzymamy po 24 złote, bo taka jest dniówka. Gdybyśmy tylko tyle zarabiali, to nie starczyłoby nam na wyżywienie. Powiedzieliśmy mu, że chcemy pracować, ale i zarobić. Jeśli chce mieć wyrwane i ogłowione bu-

raki z dziesięciu hektarów, to my to wykonamy pod warunkiem, że podpisze z nami umowę akordową i zapłaci za każdy hektar tysiąc złotych. Początkowo była awantura, jednak przeliczył naszą propozycję z księgową i doszedł do wniosku, że mu się to opłaci. Podpisał umowę. Z zobowiązania wywiązaliśmy się nawet dzień przed terminem, choć momentami mieliśmy dosyć tej pracy. Gdy wróciliśmy na uczelnię i podsumowywano wyniki poszczególnych grup, okazało się, że nasza dniówka była najwyższa wśród wszystkich. My zarobiliśmy dziennie po ponad 100 złotych, a następna grupa zaledwie po 52 złote, a były takie, które pracowały za 24 złote.

Nie miałem stypendium, a pieniądze otrzymywane od rodziców starczały zaledwie na wyżywienie i akademik. Żeby mieć pieniądze na rozrywki, trzeba było zarobić. Pomocna w tym była spółdzielnia studencka „Kajtus”. Można było czasem dostać w niej pracę o atrakcyjnych zarobkach. Było to konwojowanie zwierząt, rozładowywanie wagonów, praca w magazynach, porządkowanie i sprzątnięcie sklepów po remontach. Działając w Zrzeszeniu Studentów Polskich¹⁶, miałem możliwość wyboru pracy i dość często angażowałem się głównie do prac porządkowych. Po pewnym czasie wytworzyła się grupa kolegów, którzy nie tylko chcieli, ale potrafili szybko i dobrze pracować. W takiej grupie można było w jedno popołudnie zarobić nawet dwieście złotych.

Zrzeszenie Studentów Polskich, w miarę swych skromnych możliwości, starało się pomagać studentom, często zagubionym w nowym środowisku, w ich problemach. Jednocześnie dla niektórych była to szkoła działania społecznego. Od trzeciego roku studiów włączyłem się do działania w tej organizacji. Byłem kierownikiem wydziału kultury Rady Uczelnianej ZSP. Do moich obowiązków należało m.in. organizowanie imprez kulturalnych, spotkań z działaczami społeczno-kulturalnymi, ludźmi teatru, a także pomoc w organizowaniu klubów studenckich i zabaw. Było to już łatwiejsze niż na początku moich czasów studenckich, bo powstawały nowe obiekty, sale wykładowe, akademiki i pracownie.

Jedną z imprez organizowanych na przełomie grudnia 1957 i stycznia 1958 roku był bal sylwestrowy. Organizowałem go już w nowej stolówce studenckiej, gdzie można było pomieścić kilkaset par. W skład komitetu organizacyjnego dobrałem czterech kolegów i dwie koleżanki, o których wiedziałem, że będą pracować. Przygotowywaliśmy się do niego solidnie, by wypadł należycie. Trzeba było udekorować salę, załatwić towar do bufetu i obsłużyć go w czasie imprezy, a po zakończeniu przywrócić sali rolę stołówki. Po przydzieleniu zadań poszczególnym osobom pozostał nam ponad tydzień intensywnych przygotowań. Chętnych do uczestnictwa w balu było wielu, nie tylko studentów. Magnesem była orkiestra akordeonistów Polskiego Radia w Olsztynie pod dykcją Zbigniewa Chabowskiego¹⁷.

Założyliśmy, że bal musi być rozpoczęty polonezem. Zaczęły się nerwowe poszukiwania osoby, która mogłaby go poprowadzić. Wyratował nas z kłopotów dr Kazimierz Rouppert¹⁸, wówczas adiunkt w Zakładzie Łąkarstwa, który doskonale wywiązał się ze swojej roli. Wszyscy byli zadowoleni, a organizowanie następnych imprez stało się już łatwiejsze. Zadowoleni byliśmy i my, bo dochód z imprezy był bardzo wysoki. Zgodnie z uchwałą Rady Uczelnianej połowa musiała być odprowadzona do kasy ZSP, a pozostała kwota była wynagrodzeniem dla organizatorów. Nie był to łatwy zarobek, bo mimo zmęczenia po zakończeniu zabawy należało salę posprzątać, ustawić stoły i krzesła tak, by o godzinie siódmej rano można było wydawać śniadania.

Wiosną 1958 roku na posiedzeniu Rady Uczelnianej ZSP postanowiliśmy zorganizować juwenalia, po raz pierwszy w historii olsztyńskiej Wyższej Szkoły Rolniczej. Inicjatorem zorganizowania tej imprezy był Janusz Krzyczynski¹⁹, student czwartego roku Wydziału Zootechniki, który w trakcie juwenaliów był Mistrzem Ceremonii. Użytkaliśmy na to akceptację, nie tylko władz uczelni, ale i miejskich. Impreza o takim charakterze była dla studentów naszej uczelni, a także dla mieszkańców Olsztyna czymś nowym. Włączyłem się w jej organizację, podobnie jak wielu kolegów z tego roku. Byłem dowódcą straży żakowskiej, do której wybrano bardziej roslých studentów z każdego wydziału. Wypożyczyliśmy stroje z garderoby teatralnej i duża grupa przebiegaczy mogła 30 maja 1958 roku wyruszyć na podbój Olsztyna. Duże wrażenie zrobił półtoratysięczny pochód studentów do miasta i spotkanie pod ratuszem. Mieszkańcy Olsztyna spotkali się z tym po raz pierwszy. Pod ratuszem dokonano symbolicznego odebrania władzy Julianowi Molendzie, przewodniczącemu Miejskiej Rady Narodowej. Różne imprezy i konkursy, zarówno w Olsztynie jak i w Kortowie, odbywały się przez dwa dni. Na zakończenie, 31 maja, był wielki bal w stolówce studenckiej. Byliśmy wszyscy zmęczeni, ale zadowoleni, że Juwenalia organizowane po raz pierwszy zostały zaakceptowane i stały się początkiem podobnych, corocznych imprez studenckich.

Po burzliwych dniach października 1956 roku w następnych latach nastąpiła niewielka odwilż polityczna. Stworzono możliwości pierwszych kontaktów i wyjazdów zagranicznych, choć tylko do krajów tzw. demokracji ludowej. Nasza uczelnia nawiązała kontakt z Uniwersytetem w Greiswaldzie, w NRD. W celu nawiązaniu bezpośrednich kontaktów postanowiono wysłać delegację WSR składającą się z czterech studentów i tyluż pracowników naukowych. Po wielu przemyśleniach ustalono, że pracowników naukowych mieli reprezento-

¹³ Był przy ul. Ratuszowej 7.

¹⁴ Tyle kosztował wtedy ulgowy bilet studencki.

¹⁵ Obecnie budynek Archidiecezji Warmińskiej.

¹⁶ Masowa, ogólnopolska organizacja działająca na polskich uczelniach od 1950 r.

¹⁷ Olsztyński muzyk, dyrygent i kompozytor, współpracował z wieloma zespołami.

¹⁸ Kazimierz Odo-Rouppert, pracownik Wydziału Rolnego. Był bardzo lubiany przez młodzież. Zmarł w 1979 r., trzy lata po przejściu na emeryturę.

¹⁹ Janusz jest dr inż. i nadal ma się świetnie. Kieruje Klubem Regionalnym „Pomorzanie” Stowarzyszenia Absolwentów UWM w Olsztynie.

wał: prof. Józef Budślawski²⁰, mgr Stanisław Wanic²¹ i mgr Leopold Szczerbicki²². Delegację studentów stanowili: Edward Misiarczyk, kolega z mego roku pochodzący z Krasnosiela, dwóch Janów, studentów z Wydziału Rolnego i Mleczarskiego (nazwisk już niestety nie pamiętam) oraz ja.

Był to mój pierwszy wyjazd zagraniczny. Duże emocje przeżywaliśmy przy przekraczaniu granicy we Frankfurcie nad Odrą. Sposób przeprowadzania kontroli przypominał mi „okupacyjną atmosferę”. Żołnierze niemieccy z bronią gotową do strzału otoczyli cały pociąg i przy pomocy psów sprawdzali, czy pod wagonami nie ma kogoś ukrytego. Nie wolno było otwierać okien. Ten stres rozładowany został już na moście granicznym, bo na wniosek mgr Wanic zastosowaliśmy profilaktycznie po lampce leku o symbolu chemicznym C_2H_5OH . Tego 92% „leku” każdy z nas miał po dwie butelki, bo na tyle zezwalały przepisy. Całkowita zmiana atmosfery nastąpiła dopiero wtedy, gdy wsiedliśmy do samochodów, które po nas na granicę przysłali gospodarze.

Wszystkie spotkania, zarówno organizowane przez rektora jak i przez uczelnianą organizację FDJ²³, były bardzo uroczyste przeprowadzone. Zwiedziliśmy nie tylko uniwersytet, lecz także Instytut Doświadczalny w Rostoku, gdzie demonstrowano nam maszyny i urządzenia stosowane w wielkotowarowym rolnictwie NRD. Po raz pierwszy zobaczyliśmy oborę wolnowybiegową i dojranię typu „rybia ość”. Na nasze życzenie pozwolono nam zwiedzić Berlin. Niewiele było czasu, więc obejrzelśmy tylko kilka zabytków i Uniwersytet im. Humboldta. Nie było wtedy jeszcze muru berlińskiego²⁴ i nasi gospodarze musieli dać gwarancję, że nie uciekniemy do Berlina Zachodniego. Informując nas o tym, prosili byśmy się do tego zastosowali, bo w razie ucieczki któregoś z nas groziłyby im poważne konsekwencje.

Pod koniec sierpnia znowu udało mi się wyjechać za granicę. Tym razem była to dziesięciodniowa studencka wycieczka, organizowana przez Radę Naczelną ZSP do Związku Radzieckiego. Jechaliśmy do Leningradu i Moskwy. Wycieczka bardzo ciekawa i jednocześnie męcząca. Ponieważ były to pierwsze kontakty z ZSRR, zorganizowano ją z przepychem. Warunki w hotelach doskonale, dobre wyżywienie i ciekawy program. W Leningradzie zwiedziliśmy pancernik „Aurora”, Pałac Zimowy, Ermitaż, a także Carskie Sioło, a w Moskwie głównie zabytki Kremla oraz Galerię Tretiakowską. Rosjanie i inne nacje, szczególnie studenci gruzińscy, byli do nas bardzo przyjaźnie nastawieni. Wszystko to wywarło na mnie niesamowite wrażenie.

²⁰ (1912-1978 r.), wówczas dr inż., współtwórca Wydziału Mleczarskiego, jego dziekan, kilkakrotny prorektor WSR – red.).

²¹ Asystent Katedry Ogólnej uprawy Roli i Roślin, wówczas I sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR na Uczelni.

²² (1914-2005 r.), wieloletni kierownik Studium Wychowania Fizycznego WSR/ART, współtwórca sukcesów AZS.

²³ Freie Deutsche Jugend, prosocjalistyczna młodzieżówka, odpowiednik naszego ZMP.

²⁴ Mur zbudowano w 1961 r.



Na Kremlu przy dzwonie który spadł podczas zawieszania.

Praktyki po poznańsku

Po powrocie musiałem szybko zgłosić się na praktykę zawodową, tzw. „dyplomową”. Praktykę musiał odbyć każdy student przed ukończeniem studiów I stopnia. Większość była kierowana na praktyki w olsztyńskich państwowych gospodarstwach rolnych. Wiele z tych gospodarstw znałem już z wyjazdów na żniwa czy wykopki, jakie często organizowano w czasach nauki w szkołach średnich i na studiach. Wiedziałem, że jak trafię do złego przedsiębiorstwa to niczego się nie nauczę. Kilka miejsc uczelnia miała w pegeerach województwa poznańskiego, znanego z dobrej organizacji pracy i dobrych wyników. Podjąłem starania, by tam dostać się na taką praktykę. Skierowano mnie do powiatu Września.

Miałem się zgłosić na praktykę już pierwszego września, jednak w tym czasie byłem jeszcze w Związku Radzieckim. Do inspektoratu PGR Września z siedzibą w Bieganowie zgłosiłem się więc dopiero trzeciego września. I zaczęły się schody... Poznaniacy już na samym wstępie okazali się bardzo zasadniczy. Kierownikowi inspektoratu musiałem się wytłumaczyć ze swego spóźnienia i kazano mi czekać na decyzję, gdzie będę odbywać praktykę. Czekałem więc w sekretariacie, skracając czas dyskusją z sekretarką. Zacząłem się w pewnym momencie niepokoić, bo gdy do inspektoratu przyjechał kierownik gospodarstwa Paruszewo słyszałem przez ścianę dość głośnie jego dyskusję z kierownikiem. Wynikało z niej, że nie chce mnie przyjąć gdyż, jak tłumaczył, nie ma w gospodarstwie pomieszczenia, a także stółki, gdzie mógłbym korzystać z posiłków. Jednak przeważał argument, że gospodarstwo ma dość dużą oborę, a nie ma zootechnika, to przydam się w nim.

Wczesnym popołudniem wyjechaliśmy więc bryczką do Paruszewa. W drodze nie czułem się komfortowo, gdyż wiedziałem, że zostałem

wciśnięty trochę na siłę. W czasie podróży uzyskałem nieco wiadomości o gospodarstwie i zostałem zaproszony na obiad do kierownika zakładu. Stwierdził, że na razie będę stołował się u niego w domu, a później może coś załatwi. Po obiedzie zaprowadził mnie do pałacu, gdzie mieściły się biura gospodarstwa oraz przedsiębiorstwa melioracyjnego. Oddano mi do dyspozycji całe puste piętro. Otrzymałem olbrzymi salon, a w nim metalowe łóżko, szafę na ubrania, stół, dwa krzesła, stojak metalowy z miską do mycia, dzban blaszany oraz wiadro na brudną wodę. Jedynym osiągnięciem techniki dwudziestego wieku w tym salonie było światło elektryczne. Tak stałem się jedynym mieszkańcem pałacu. Rozlokowałem się w swoim salonie i ogarnęła mnie rozpacz. Myślałem sobie – masz co chciałeś, ale jak tu wytrzymać prze trzy miesiące, w tych spartańskich warunkach?



Dyrektor Borzęcki, PGR Paruszewo.

Przy kolacji dostałem dyspozycję, że o godzinie siódmej rano, na „dzwonek”, mam zgłosić się w biurze. Byłem bardzo zdziwiony, bo rzeczywiście o godzinie siódmej odezwał się dzwon umieszczony w bramie parku, w którym znajdował się pałac. Dzwonem tym również przed wojną dziedzic wzywał swych ludzi do pracy. Po porannej odprawie i wydaniu dyspozycji razem z kierownikiem udaliśmy się na śniadanie, a następnie siedliśmy na dwukółkę, by poznać gospodarstwo i obejrzeć pola. Zajęło to nam pół dnia, bo gospodarstwo nie było zbyt wielkie, niewiele ponad 500 ha. Był to dość zwarty kompleks, do którego należał też niewielki folwark, tzw. „proboszczówka”, oddalony o około dwa kilometry.

Zacząłem od pracy w biurze i w oborze. Za dnia poznawałem dokumentację gospodarczą i hodowlaną, a wieczorem odbywałem spotkanie z kierownikiem, brygadzystami polowymi, magazynierem i księgową rozliczeniową. Wypełniało się wtedy dzienniki brygadzystów, książki magazynowe i dziennik gospodarczy. Dokonywało się też uzgodnień na dzień następny. Księgowa sporządzała zestawienia zarobków poszczególnych pracowników z danego dnia. Listy zarobków były wystawione w gablocie już nazajutrz rano.

Po pewnym czasie skierowano mnie do nadzorowania omlotów zboża. Otrzymałem władzę nad osiemnastoma ludźmi, musiałem ich rozstawić przy stertach, w których było złożone zboże. Snopy podawano widłami na stół młocarni, napędzanej parową lokomotywą obsługiwaną przez starszego emerytowanego pracownika. Słomę znów układano w sterty. Zboże w workach ważono i odwożono do magazynu. Zboże transportowano konnymi żelaznymi wozami o szerokim rozstawie osi, zaprzęgniętymi w czwórkę koni. Swoistego uroku dodawał wyjazd fernali tymi czwórkami, którzy stojąc na wozach gwizdem i strzałem z bata zachęcali konie do szybszej jazdy.

W październiku otrzymałem inne zadanie – wykopki. W warunkach poznańskich były nie mniej ważne od żniw. Bo ziemniaków sadi się tam bardzo dużo. Początkowo pracownicy próbowali zaskoczyć mnie lokalnym słownictwem. Szybko jednak zorientowałem się, co to są pyry, hele, kipy, a ilość wykopanych ziemniaków nauczyłem się przeliczać z cetnarów na kwintale. Jednak z wykopkami zaczęły się kłopoty, bo tuż przed nimi zabrano do wojska dwóch traktorzystów. W okresie nasilenia prac polowych dyrektor, inż. Borzęcki, głowił się co zrobić z dwoma stojącymi ciągnikami marki Zetor. Zapropnowałem mu, że mogę jeździć jedynym z nich. Choć miałem prawo jazdy tylko na samochód i motor, potrafię prowadzić też ciągnik. Propozycją został zaskoczony i początkowo odmówił, bo nie może mi za to zapłacić. Stwierdziłem, że nie chodzi mi o zapłatę, bo jako praktykant dostawałem za miesiąc pracy 540 złotych, tj. wysokość pełnego stypendium studenckiego. Dodałem, że wolę prowadzić ciągnik niż stać na polu i tylko nadzorować pracę. Mogę robić jednocześnie i jedno, i drugie. W końcu zgodził się i tak zostałem traktorzystą.

Stopniowo poprawiały się moje relacje z inż. Borzęckim. Był myśliwym i nauczył mnie jak podjechać dzikie gęsi, by dojść do strzału. Kiedy go podwoziłem do żerujących na polach gęsi, dwukrotnie popisał się dubletem. Później dowiedziałem się, że ta nieufność do mnie i moich umiejętności wynikała z tego, że pochodzę z Kongresówki, a poznaniacy uważali siebie za wiele lepszych od ludzi z zaboru rosyjskiego. Poza tym kilka lat temu miał stażystę z Kongresówki, który był wyjątkowym obibokiem, stąd i do mnie podchodził z rezerwą.

W każdą niedzielę razem z nim i jego rodziną jeździliśmy bryczką do kościoła w pobliskim Graboszewie. Bryczką zaprzęgoną w parę koni powoził zawsze starszy pracownik Króla. Konie, którym się opiekował były zadbane, zawsze wyczyszczone, uprzęż zakonserwowana i jak sam mówił: „pana dyrektora trzeba wozić jak dziedzica”. Ubrany zawsze w ciemną kurtkę, bryczesy, buty z cholewami i siedząc wyprostowany na koźle z fasonem podjeżdżał pod kościół. Któregoś niedzieli bryczka nie zjechała po dyrektora, jak nazywano inż. Borzęckiego, ponieważ do czasu likwidacji zespołów był dyrektorem Zespołu PGR Paruszewo. Wyszedłem, by sprawdzić co się stało i wtedy dozorca powiedział mi, że Króla jest chory. Nie namyślając się długo poszedłem do stajni, gdzie stały konie wyjazdowe, założyłem uprzęż i podjechałem pod dom. Uwiązałem konie i zameldowałem, że możemy jechać. Dyrektor nie widząc Króla

spytał: kto założył konie? Nie uwierzył, że zrobiłem to dobrze i sam wszystko sprawdził. Ale siadłem na koźle i zawiozłem wszystkich do kościoła. Po powrocie zauważyłem, przy obiedzie, że lody zostały przełamane. Zdecydowała z pozoru drobna sprawa – umiejętność powożenia. Nie miałem z tym najmniejszych problemów, bo od dzieciństwa powoziłem parą koni w rodzinnym gospodarstwie.

Stołowałem się cały czas u dyrektora. Posiłki były tak obfite, że po skromnych studenckich racjach przez pierwszy tydzień nie mogłem wszystkiego zjeść i prosiłem o mniejsze porcje. W niedługim czasie po całodziennym pobycie na powietrzu przy pracy zjadałem już wszystko bez problemu. Obydwa z dyrektorem jedliśmy zawsze w pokoju sami. Po kilku dniach, kiedy jedliśmy obiad w niedzielę, zdziwiony zapytałem – czemu nie ma przy stole jego żony i dzieci. Odpowiedział, że zgodnie z miejscową tradycją żona powinna jeść posiłki razem z dziećmi w kuchni (miał dwóch synów i córkę w wieku 5-10 lat).

Moje stosunki z dyrektorem układały się więc bardzo dobrze. Był dobrym praktykiem. Starał się wytłumaczyć mi dlaczego należy dane prace wykonywać tak, a nie inaczej. Kilkakrotnie jeździłem z nim na dożynki do innych PGR-ów. Na wszystkich dożynkach obowiązkowym była zabawa z ludową kapelą. Na każdych z nich śpiewano skoczną ludową piosenkę poznańską „Pod jaworem”.

Po każdej zwrotce powtarzał się refren:

Daj mi buziaka piękna Anuleczko

Daj mi buziaka pod jaworem.

Czasem wyjeżdżaliśmy do Strzałkowa na doskonałą golonkę w tamtejszej restauracji, z umiarkowaną ilością alkoholu. Wyciągał mnie tam zawsze, kiedy chciał dokuczyć żonie. Nie byłem z tego zadowolony, ale nie mogłem się sprzeciwić szefowi.

Zbliżał się koniec października, do końca praktyki pozostało niewiele dni, ale dostałem nowe zadanie: dopilnowanie przesortowania i załadunku ośmiu wagonów ziemniaków na eksport. Dostałem ludzi do odkrywania kopców, ręcznego sortowania i transportu na stację kolejową w Strzałkowie. Każdego dnia musieliśmy przygotować i wysłać jeden wagon. Na szczęście pogoda dopisała i mogliśmy cały dzień pracować na powietrzu. Po zakończeniu sortowania myślałem, że to już będzie moja ostatnia poważniejsza praca w gospodarstwie, jednak nie dane mi było przetrwać do końca w biurze. Na folwarku, tzw. proboszczówce, zmodernizowano obiekt na owczarnię. Żeby ją zasiedlić, zamówiono jarki (młode samice owiec) w Ośrodku Hodowli Zarodowej Mrozowo w województwie bydgoskim. Po odbiór owiec miał jechać zootechnik z inspektoratu w Bieganowie. Jednak zachorował. W tej sytuacji dyrektor zapytał mnie, czy nie pojechałbym po te owce. Nie byłem tym zachwycony, ale nie potrafiłem odmówić.



Zaopatrzony w upoważnienie do odbioru i delegację służbową, razem z czterema pracownikami, którzy mieli konwojować owce, pojechałem pociągiem do Wyrzyska. Stamtąd końmi dotarliśmy do Mrozowa. Jarki wybieraliśmy w gospodarstwach Glesno i Bagdad. Po załadunku ich na dwa wagony wysłałem dwóch pracowników do konwojowania. Drugiego dnia mieliśmy przygotować dwa następne wagony. Ale kiedy po zakończeniu prac na stacji w Wyrzysku szykowałem się do powrotu pociągiem osobowym, okazało się, że moi konwojenci nie są w pełni sprawni. Tak pogłębiali znajomość z miejscowymi, że kolejarze nie chcieli pijanych konwojentów wysłać ze zwierzętami. Co było robić, zabrałem im linki, noże i wiadra do pojenia owiec i wysłałem do domu. Zostałem konwojentem dwóch wagonów owiec.

Nie byłem na to przygotowany. W garniturze i jasnym, popielinowym płaszczu, ułożyłem się w wagonie razem z owcami, oddzielając się od nich belami siana. Choć odległość do Strzałkowa nie była zbyt duża, jechałem tak dwie doby. Na każdej większej stacji zatrzymywano nas na kilka godzin i trzeba było wyklócać się z kolejarzami, by wagony ze zwierzętami podłączyli do osobowych składów. Pod koniec drugiego dnia, w nocy, dotarłem do Strzałkowa. Ze stacji zadzwoniłem do gospodarstwa po transport dla owiec. Po mnie przyjechał dyrektor i kiedy zobaczył w jakim jestem stanie, zabrał mnie do domu i „wrzucił do wanny”. Wszystko, co miałem na sobie, cuchnęło niemiłosiernie i następnego dnia pojechaliśmy do pralni. Tak zakończyła się moja dyplomowa praktyka zootechniczna, bo pozwolono mi już na całkowity luz. Odwiedziłem dwu kolegów z Wydziału Rolnego, którzy praktykowali w Bieganowie. Wynotowałem jeszcze nieco danych, potrzebnych do projektu urzędzenia gospodarstwa na zaliczenie praktyki. Dyrektor Borzęcki wystawił mi bardzo dobrą opinię, a przy pożegnaniu powiedział, że będzie starał się jakoś wynagrodzić mnie za pracę, jednak tylko zgodnie z przepisami. I znalazł sposób. Ponieważ wszystkie wagony ziemniaków, które przygotowałem na eksport, przeszły kontrolę bez problemu, przyznał mi premię eksportową. Jakie było moje zdziwienie, gdy tuż przed Bożym Narodzeniem dostałem awizo o przesyłce pieniężnej. Nie spodziewałem się jej od rodziców, bo gdy wyjeżdżałem z domu, zazwyczaj dostawałem pieniądze na następny miesiąc. A na poczeki czekało na mnie cztery tysiące złotych!

Z sentymentem wspominam tę praktykę i choć nie żałowano mi pracy, to korzyści były dwojakie. Zapłata pozwoliła mi na niezbędne

zakupy i odłożenie jeszcze pokaźnej kwoty na książeczkę PKO. Natomiast to, czego nauczyłem się w Paruszewie od dyrektora Borzęckiego z zakresu zarządzania, organizacji pracy i prowadzenia dokumentacji, przydało mi się w mojej pierwszej pracy w Wojewódzkim Zjednoczeniu PGR w Olsztynie.

Po powrocie z praktyki

Po zaliczeniu praktyki znów włączyłem się w normalne życie studenckie. Każdy miał jakieś zainteresowania poza nauką. W pierwszych latach studiów jedyną polityczną organizacją był Związek Młodzieży Polskiej, do którego należała, chociażby formalnie, większość studentów. Po rozwiązaniu ZMP²⁵ powstała potrzeba powołania nowej, działającej innymi metodami, która pociągnęłaby młodzież do walki o wspólne cele oraz inspirowała ją do działania na rzecz wsi. Ponieważ prawie 80% studentów pochodziło ze wsi, to spora grupa była związana z byłą organizacją Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”²⁶. Za powołaniem takiej organizacji byli starsi koledzy z mego wydziału, do których dołączyłem w styczniu 1957 roku.

Zrezygnowaliśmy jednak z poprzedniej nazwy i zarejestrowaliśmy organizację jako Związek Młodzieży Wiejskiej. Zostałem pierwszym przewodniczącym Koła Uczelnianego, a później Zarządu Uczelnianego ZMW. Pierwsze koła wydziałowe powstawały na mój, a następne na Rolnym i Mleczarskim. Na I Krajowym Zjeździe ZMW, który odbył się w lutym 1958 roku w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, reprezentowałem naszą uczelnię wspólnie z Józefem Dubiakiem, asystentem Zakładu Ekonomiki Rolnictwa WSR i Bogusławem Kolasiewiczem.

Delegaci nie byli pokorni i nie obyło się bez wielu zgrzytów, aż do wyjścia studentów z sali obrad na znak protestu. Wszyscy delegaci studenccy (za wyjątkiem przedstawicieli Poznania) złożyli w prezydium zjazdu swe mandaty. W prezydium siedział sam Władysław Gomułka. Domagaliśmy się autonomii dla organizacji studenckich, której nie chciano nam przyznać. Nazwano nas rozrabiaczami i próbowano nawet ukarać na uczelniach. Jednak twarde stanowisko wszystkich zarządów uczelnianych ZMW w kraju spowodowało, że po kilku miesiącach przyznano nam rację i powołano Krajową Radę Studencką ZMW. Przez dwa lata byłem członkiem prezydium tej Rady przy Zarządzie Głównym Związku Młodzieży Wiejskiej.

Prowadziliśmy różnorodną działalność na terenie uczelni i województwa. Organizowaliśmy kursy przygotowawcze na studia dla młodzieży ze wsi i obozy szkoleniowe. W latach 1958 i 1959 byłem kierownikiem takich obozów w Mikołajkach i Giżycku. W czasie ferii zimowych 1958 roku uczestniczyłem też w obozie szkoleniowym ZMW w Zakopanem. Jako członek Prezydium Krajowej Rady Studenckiej uczestniczyłem w zjazdach ZMW na uczelniach rolniczych w Szczecinie, Wrocławiu, Warszawie i Lublinie.

²⁵ ZMP rozwiązano w styczniu 1957 r.

²⁶ ZMW „Wici” istniało w latach 1928-1948, z przerwą wojenną.



Z kolegami z pokoju na I roku studiów

Ponieważ byłem dość aktywny, zaczęto mnie nachalnie namawiać na wstąpienie do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nie odpowiadała mi ani ideologia, ani formy działania tej „przewodniej siły narodu”, więc robiłem uniki. Jednak po kilku próbach miałem już tego dość i kiedy w 1958 roku reaktywowano na uczelni działalność Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w czerwcu wstąpiłem do niego. Prezesem koła był prof. Tadeusz Młynek²⁷ – ja zostałem wiceprezesem koła oraz członkiem prezydium Zarządu Miejskiego ZSL w Olsztynie. Ta działalność pochłaniała wiele czasu i w miarę zbliżającego się końca studiów I stopnia rezygnowałem z wielu funkcji, by mieć więcej czasu na przygotowanie się do egzaminu dyplomowego. Zdałem go w czerwcu 1959 roku i zostałem inżynierem zootechniki. Postanowiłem jednak kontynuować studia i zgłosiłem się na studia II stopnia do Zakładu Hodowli Drobiu, by pod kierunkiem prof. Zofii Dubiskiej²⁸ pisać pracę magisterską.

Archeologiczne wakacje 1959

Na wakacje wróciłem do rodziców. Jak zwykle na wsi, roboty nie brakowało. W domu zastałem nieciekawą sytuację – tata był chory. Rwa kulszowa zmusiła go do dłuższego leżenia w łóżku. Był koniec czerwca, a łąki nie skoszone. Od razu chciałem je kosić. Następnego dnia przygotowałem kosiarkę i wjechałem w trawę. Ponieważ była wyrosnięta i gęsta, urwał się tzw. targaniec. Po założeniu następnego sytuacja się powtórzyła. Okazało się, że kosiarką taśmową (rotacyjnych wtedy jeszcze nie było) nie da się tej przerosniętej trawy skosić. Poszedłem do wsi szukać kogoś, kto mógłby ją ścinać ręczną kosą. Nie było łatwo znaleźć chętnego

²⁷ (1910-1974 r.), mgr, zastępca prof., kierownik Katedry Botaniki, kilkakrotny dziekan Wydz. Rolnego i prorektor WSR, działacz Frontu Jedności Narodu.

²⁸ (1903-1975), specjalistka chowu i hodowli drobiu, kierownik zakładu i Katedry Hodowli Drobiu WSR (1952-1969), od 1950 r. adiunkt, od 1958 r. zastępca profesora. Była m.in. dziekanem Wydziału Zootechnicznego.

do takiej ciężkiej pracy. W końcu kolega ze szkoły podstawowej, Tadek Kochanowicz, zgodził się przyjść do koszenia, ale pod warunkiem, że nie będzie sam. Musiałem dotrzymać mu towarzystwa. Wytrzymałem dwa dni, a kiedy trzeciego dnia niewiele zostało do końca, padłem bez sił już po pierwszym pokosie. Mięśnie pleców tak mnie bolały, że przez kilka dni nie mogłem do nich dotknąć. Skończyły się sianokosy, zaczęły się inne prace: przygotowania sprzętu do żniw i żniwa. Wolne miałem jedynie niedziele, ale po zabawie i późnym powrocie rano trzeba było być sprawnym do pracy.

Życie toczyło się monotonna. Naraz ukazało się coś nowego, innego. W sierpniu przyjechali archeolodzy, by zbadać grodzisko, które było na polu sąsiada, pana Banacha. Na północnym Mazowszu było to jedno z grodzisk wczesnego średniowiecza, broniące przed plemionami pruskimi. Kierownikiem ekipy była geolog pani magister Irena Górską, która zbierała materiał do swej pracy doktorskiej. Mieszkała w tym czasie u moich rodziców. Pomagali jej dwaj rysownicy, studenci Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Ponadto zatrudniła trzech pracowników fizycznych, do podstawowych prac wykopkowych. Po kilku dniach zachorował jeden ze studentów i musiał wyjechać do domu. Zmartwiona pani magister spytała, czy nie znajdzie tu jakiegoś rysownika na jego miejsce. I zaproponowała tę pracę mnie. Nigdy czegoś takiego nie robiłem, ale pomyślałem, że mogę spróbować. Zapytałem, ile może zapłacić za dzień pracy. Powiedziała, że ponieważ mam ukończone studia, to dostanę wyższą stawkę od studenta. Było to ponad 100 złotych za dzień. W tym czasie 100 złotych dziennie otrzymywał pracownik przy koszeniu lub innych ciężkich pracach. Powiedziałem, że spróbuję jeden dzień. Próba wypadła pozytywnie, bo dość szybko chwyciłem, o co w tym chodzi. Jednak ojciec nie chciał się zgodzić argumentując, że jak ja będę siedział w wykopie i rysował, to on do roboty musi wynajmować pracowników. Powiedziałem, że jeśli będzie potrzeba, to znajdę zastępcę i za niego zapłacę, bo wolę pracować ołówkiem niż widłami. Umówiłem się więc z Tadeuszem, kolegą ze wsi, który po

ukończeniu szkoły podstawowej pozostał w domu, że w razie potrzeby on mnie wyręczy.

Prawie do połowy września, tj. do końca wykopalisk, pracowałem z archeologami jako rysownik. Do moich obowiązków należało często nie tylko rysowanie ale też robienie zdjęć, opisywanie a także dokonywanie niwelacji znaleziska i ich zapakowanie do skrzyń. Grodzisko było ułożone wśród bagiennych łąk. Na jednym ze wzniesień stały domy mieszkalne, a na drugim cmentarz i samo grodzisko obronne. Był to ziemny wał o średnicy ok. stu metrów. Na początku trafiliśmy na cmentarzysko.

Zajęcie było bardzo ciekawe. Trzeba było najpierw zdjąć łopatą pierwszą warstwę ziemi, a po ukazaniu się zmian jej barwy i pierwszych kości, dalsze prace wykonywało się starannie szpachelką, by nie uszkodzić i przesunąć eksponatu. Moim zadaniem było nanieść dokładny rysunek na papier milimetrowy, opisać znalezisko i zrobić zdjęcie, a czasem też dokonać pomiarów niwelacyjnych danego znaleziska. Było to ciekawe cmentarzysko, na którym w wieku XIII i XIV chowano zmarłych w dwu warstwach. W każdym grobie znajdowały się różne przedmioty wkładane przy pochówku. U kobiet były to ozdoby z brązu: kabłączki zakładane na pasy skórzane umieszczane na czołach, pierścionki oraz sznury koralu ze szklawa i prząsniczki. Przy szkieletach mężczyzn znajdowaliśmy żelazne groty strzał i fragmenty noży. Wszystkie to należało zaewidencjonować i zapakować do skrzyń. W ciągu miesiąca na powierzchni jednego ara odkryliśmy 99 szkieletów. Wszystkie miały pełne uzębienie, czyli osoby te zmarły w młodym wieku. Na żadnym szkielecie nie zauważyliśmy uszkodzeń mechanicznych, co świadczy, że była to śmierć naturalna. Jedynie w dwu przypadkach były widoczne złamania kości piszczelowych, już zrośnięte. W jednym przypadku złamana kość tak była złożona, że współczesny chirurg nie zrobiłby tego lepiej.

Po krótkiej przerwie, w ciągu kilku następnych lat kontynuowano te prace, nie tylko na cmentarzysku, lecz i w samym grodzisku. Niestety, nie zawsze byłem w tym czasie u rodziców i nie znam wyników tych badań. Wydobyte tam przedmioty przewieziono do Muzeum Geologicznego w Warszawie przy ul. Długiej 52.

Moja Czesia

Pod koniec studiów I stopnia spotkałem w Olsztynie Czesię Żemojtel, koleżankę ze szkoły średniej w Kętrzynie. Skończyła studia na Akademii Medycznej w Gdańsku i pracowała w aptece kolejowej. Początkowo dość przypadkowe spotkania, czy wspólne wyjścia do kina, teatru lub na zabawę stawały się coraz częstsze. W końcu „coś zaiskrzyło” i postanowiliśmy się pobrać. Ślub odbył się w grudniu 1959 roku w Kętrzynie, gdzie mieszkali rodzice Czesi.

Na początku października znalazłem się znów w Kortowie. Za ukończenie studiów I stopnia dostałem od ojca 7 tys. złotych na kupno motocykla. Za tą kwotę można było wówczas kupić WFM-kę, ale trzeba było mieć talon. Dowiedziałem się, że do olsztyńskiego Polmozytu dostarczonych będzie 12 innych motocykli, WSK ze Świdnika. Taki motor kosztował już 10,4 tys. złotych. Dołożyłem niezbędną kwotę z oszczędności zarobionych



Mój ślub, grudzień 1959 r.



Żona Czesia z córkami przy pierwszym samochodzie, 1966 r.

w spółdzielni studenckiej i podczas praktyki, i udało mi się kupić wymarzony motocykl. Jak na owe czasy, był to już przyzwoity motor, lepszy od poprzednich SHL i WFM.

Studia II stopnia kontynuowałem pod kierownictwem prof. Zofii Dubiskiej w Zakładzie Hodowli Drobiu, którym kierowała. Zajęcia odbywały się w zakładzie, a ja dane do pracy magisterskiej o pracochłonności zajęć na zarodkowej fermie drobiarskiej zbierałem w Ośrodku Hodowli Zarodowej w Wopławkach k. Kętrzyna. Na przygotowanie pracy normalnie przewidywano trzy semestry. Materiały produkcyjne udało mi się zebrać bardzo szybko. Gorzej było z literaturą, bo niewiele jej było w języku polskim. Ale pracę magisterską napisałem już w maju i złożyłem ją do recenzji w Zakładzie Hodowli Drobiu, a także w Zakładzie Ekonomiki Rolnictwa.

Prof. Dubiska proponowała mi jej obronę już w czerwcu, jednak prosiłem o przełożenie tego

na jasię. Miałem jeszcze ponad pół roku na ukończenie studiów, a ostatnie wakacje chciałem spędzić u rodziców, by pomóc im przy żniwach. Ponadto na drugim stopniu wszyscy mieliśmy stypendium i nie chciałem go tracić przez letnie miesiące.

Między pracą a polityką

Po uzgodnieniach z panią profesor Dubiską spokojnie czekałem na zakończenie wakacji. Nagle pod koniec września otrzymałem z Zakładu Hodowli Drobiu list, w którym profesor wyznaczyła termin obrony pracy magisterskiej na 27 września. Dodała, że ma dla mnie pracę. Pojechałem więc na egzamin, obroniłem pracę i zostałem magistrem inżynierem zootechniki ze specjalizacją drobiarstwo. Następnego dnia zgłosiłem się do Jana Heigelmanna²⁹, naczelnika wydziału produkcji zwierzęcej w Wojewódzkim Zjednoczeniu PGR w Olsztynie. Zaproponował mi pobory w wysokości 2 tys. złotych i przyjął do pracy na stanowisku inspektora. Rozpocząłem ją 1 października 1960 roku.

Trafiłem bardzo dobrze. Współpracownikami w wydziale byli absolwenci WSR ze starszych roczników. Większość z nich znałem już na

studiach i stanowiliśmy zgrany koleżeński kolektyw. Sama praca nie była ciekawa. Większość dni przebywałem w terenie, czasem w biurze spędzało się tylko poniedziałek, by rozliczyć się z delegacji i otrzymać dyspozycję na następny tydzień. Przydała mi się bardzo znajomość dokumentacji w PGR-ach, jaką poznałem w czasie praktyki dyplomowej w Poznaniu. Doceniano mnie i dość szybko awansowano do wyższej grupy. Po okresie próbnym podniesiono mi pobory o dwieście złotych, a po następnych trzech miesiącach o następne dwieście. Po pewnym czasie praca ta zaczynała mnie jednak męczyć.

Częsty pobyt poza domem, marne warunki mieszkaniowe, bo mieliśmy tylko niewielki

²⁹ Później był współtwórcą i wieloletnim dyrektorem Kętrzyńskiego Zjednoczenia Rolniczo-Przemysłowego „Agrokompleks”.

pokoik przy ul. Kościuszki, wszystko to nie wpływało na dobre samopoczucie. Przez pewien czas najstarsza córka pozostawała pod opieką babci w Kętrzynie. Starałem się o większe mieszkanie, jednak możliwości były niewielkie, a w spółdzielniach mieszkaniowych kilkuletnie kolejki. Na zamianę Olsztyna na powiatowe miasto nie mieliśmy chęci. Proponowano również pracę w Ostrołęce dla mnie i dla żony oraz mieszkanie w nowym budownictwie. Jednak tak szczerze przedstawiono stosunki tam istniejące, że nie zdecydowałem się na wyjazd. Zaczęłem myśleć o zakupie działki i budowie domku. Liczyłem, że jak wezmę kredyt i otrzymam nieco pomocy od rodziców, to będzie to realne. Jednak żona nie zgodziła się na takie rozwiązanie.

W końcu dotarłem się do przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej Mariana Gotowca. Był on założycielem i pierwszym rektorem WSR w Olsztynie. Miał on słabość do absolwentów tej uczelni. Obiecał mi mieszkanie w nowym budownictwie z tzw. puli dla fachowców. Choć było wielu oponentów, słowa dotrzymał i w sierpniu 1961 roku otrzymałem przydział na mieszkanie, o które się starałem. Wprowadziliśmy się tam już we czwórkę, bo w sierpniu 1960 roku urodziła się nam pierwsza córka Anna, a 25 kwietnia 1962 roku następna córka, Elżbieta.

Pracowałem dalej w Wojewódzkim Zjednoczeniu PGR, a żona przeszła do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Moja terenowa praca powodowała, że cały ciężar wychowania dzieci spadł na żonę. Początkowo mieliśmy opiekunki do dzieci, ale trudno było znaleźć odpowiednią i często się zmieniały. W końcu obie córki poszły do przedszkola i było już łatwiej. Mimo to każdego dnia trzeba było odprowadzić je do przedszkola, zdążyć do pracy na godzinę siódmą i przed szesnastą odebrać dzieci. Jak to zrobić, będąc w terenie?

Zaczęłem zastanawiać się nad zmianą pracy, by częściej być w domu. W końcu zwoleńnię się na własną prośbę. Zarówno naczelnik wydziału jak i dyrektor Zjednoczenia PGR próbowali mnie powstrzymać, proponując nawet awans, jednak moja decyzja była niezmienna. Zostałem zatrudniony w Wydziale Rolnictwa i Leśnictwa Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej na stanowisku inspektora. Miałem w tym czasie jeszcze dwie propozycje pracy, ale one też były związane z wyjazdami. Niestety, nie dane mi było pracować tam, gdzie chciałem. W sylwestra 1964 roku wręczono mi dwutygodniowe wypowiedzenie z pracy (byłem zatrudniony na okres próbny). Nie powiedziałem o tym żonie, bo szliśmy na bal i dopiero w Nowy Rok wyjawilem jej, że nie mam już pracy.

Początkowo niewiele sobie z tego robiłem, przecież miałem propozycje jeszcze od innych i myślałem, że tam mnie zatrudnią. Jednak powiedziano mi, że wolnych etatów już nie ma, choć wiedziałem, że nikogo nie zatrudnili. Było to dla mnie całkowite zaskoczenie. Kierownik wydziału dopowiedział tylko, że musiał tak zrobić. Dyskutowałem o tym z kolegami w pracy. W końcu najstarszy z nich, Zbyszek Sarosiek, poradził, że powinienem pójść do sekretarza rolnego w Komitecie Wojewódzkim PZPR. Po kilku dniach zostałem przyjęty przez sekretarza Kazimierza Waszczuka, który już na wstępie oświadczył mi, że mam wrócić do pra-



Ślub siostry Aliny, 19... r.

cy w Wojewódzkim Zjednoczeniu PGR, bo tam jestem potrzebny. Powiedziałem mu, że tam nie wrócę i uzasadniłem dlaczego. Początkowo chciał mnie zastraszyć i oświadczył, że w takiej sytuacji pracy dla mnie w Olsztynie nie ma. Oświadczyłem, że w takiej sytuacji zwolnię pomoc domową i będę bawił dzieci, on chyba nie poleci zwolnienia mojej żony, tak jak mnie. Bo wtedy, żeby utrzymać rodzinę, będę musiał kraść. Zdenerwował się, ale w końcu zapytał, gdzie chce pracować. Powiedziałem mu, że mam propozycję z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Wylęgu Drobni na stanowisko kierownika Zakładu Wylęgu w Olsztynie. Ponieważ był to niewielki zakład, zatrudniający siedem osób, łaskawie się zgodził.

Tym sposobem, za zgodą sekretarza kierowniczej partii, stałem się 16 stycznia 1965 roku kierownikiem Zakładu Wylęgu Drobni. Przejąłem zaniedbany zakład i zacząłem przygotowywać go do sezonu wylęgowego. Zaczęłem od sprawdzenia zaplecza hodowlanego, czyli liczby dostawców jaj wylęgowych. Okazało się ono niewystarczające. Aby wykonać plan wylęgu i zrealizować wszystkie zamówienia na pisklęta, musiałem kupować jaja z ferm w PGR-ach, a także kupować nadwyżki z zakładów w innych województwach. Roczny plan udało się wykonać, więc poza poborami

Spowodowało to, że w sezonie 1966 roku wyniki wylęgu wzrosły o prawie 20% i były najwyższe w województwie.

Praca w zakładzie był to sezon wylęgowy od stycznia do lipca, a następne miesiące to współpraca z hodowcami. Z dotarciem do nich nie miałem żadnych trudności, bo hodowców miałem w rejonie Olsztyna w promieniu 10-15 kilometrów, a od września 1965 roku dysponowałem już nie tylko motorem, ale i samochodem.

Kupno samochodu nadarzyło się przypadkowo, gdy spotkałem znajomego, który był członkiem komisji przy Wydziale Handlu PWRN, przydzielającej talony na samochody. W tym czasie w prasie pokazano Zastawę 750, samochód produkowany w Jugosławii na licencji Fiata. Powiedziałem mu, że chętnie kupiłbym taki, gdybym miał talon. Kazał mi złożyć podanie. Złożyłem je, nie wierząc w skuteczność. Jakież było moje zdziwienie, gdy po kilku miesiącach otrzymałem zawiadomienie, że przydzielono mi talon na zastawę 750. Radość była duża, ale i wielki kłopot. Nie miałem 65 tysięcy złotych!

Zebrałiśmy wszystkie oszczędności, dostałem kredyt w Banku Ludowym w Olsztynie³⁰, ale było tego tylko 45 tysięcy. Wybawiła mnie



Córki nad nad Bałtykiem, 1967 r.

koleżanka ze szkoły średniej, która powiedziała, że brakujące 20 tysięcy pożyczmy nam jej brat. Poznałem dopiero wtedy, gdy dał mi pieniądze! Umówiłem się z nim, że zwrócę je ratami w ciągu roku. Wydawało się to trudne, ale miałem możliwość dodatkowego zarobku na szkoleniach rolniczych organizowanych przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Chętnie zlecali mi je, szczególnie we wsiach powiatu olsztyńskiego, do których nie było dojazdu koleją czy autobusem. Szkołęm więc rolników w okresie jesienno-zimowym prawie każdego wieczora. Tym sposobem mogłem dodatkowo zarobić około dwóch tysięcy złotych miesięcznie. Po roku spłaciłem dług i nie trzeba było już tak oszczędzać.

W pracy układało się wszystko dobrze, wyniki były wysokie więc i zarobki z premiami też nieźle. W związku z tym w 1967 roku awansowałem na zastępcę dyrektora ds. technicznych w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Wylęgu Drobiu.

Moim zadaniem był nadzór nad przygotowaniem i przebiegiem wylęgów w zakładach ówczesnego województwa olsztyńskiego. Temat był mi znany, bo trzy sezony przepracowałem jako kierownik zakładu. Ponadto był to już szerszy zakres działania niż w jednym zakładzie. Myślałem, że teraz dłużej będę mógł kierować pracami, które znam nie tylko ze studiów, ale i z praktyki.

Na niedzielę jeździliśmy do rodziców zarówno w Sypniewie, jak i w Kętrzynie. Do rodziców w Sypniewie starałem się jechać w okresie nasilenia głównych prac polowych jak żniwa, czy jesienne siewy. W latach sześćdziesiątych rodzice byli już sami na gospodarstwie, bo wszystkie siostry usamodzielniały się, jednak na święta staraliśmy się zawsze przyjechać, by spędzić je razem z rodzicami. Czasem też przyjeżdżał dziadek Karolak. Był to człowiek bardzo towarzyski, który wiele przeżył i miał o czym opowiadać. Jako poddany cara służył kilka lat w carskim wojsku, a z Syberią zapoznał się nieco później, bo w latach 1944-1948. Mimo wielu ciężkich przeżyć, nic złego nie dał powiedzieć o Rosjanach. Przeciwnie: twierdził, o czym przekonał się szczególnie na Syberii, że ci ludzie wiele mu pomogli i dzięki nim przeżył. Kiedyś powiedział mi, że w wielu przypadkach nasi są gorsi. Bardzo lubił piosenki rosyjskie, szczególnie nastrojowe dumki, a ponieważ miał dobry głos, często śpiewaliśmy je, gdy zbrakło już dyskutantów.

Niedziele przeznaczaliśmy też na zwiedzanie zabytków województwa, a popołudnia spędzaliśmy często na grzybach. Prawie każdego roku w wakacje wyjeżdżaliśmy pod namioty na co najmniej dwa tygodnie: jak nie nad morze, to w góry. Zwiedziliśmy wybrzeże od Kątów Rybackich, poprzez Pobierowo do Międzyzdrojów. A także góry: od Karpacza w Sudetach, poprzez Karpaty i Zakopane, do Bieszczad i Soliny.

U rodziny w ZSRR

W lipcu 1966 roku wydarzeniem w naszej rodzinie był ślub mojej najmłodszej siostry Aliny z Antonim Doroszkiewiczem. Ukończyła ona dwuletnią pomaturalną Szkołę Medyczną Elektrologii w Warszawie, pracowała w ambulatorium medycznym Polikliniki MSW w Warszawie. W tymże roku, w sierpniu, odwiedziliśmy rodzinę żony mieszkającą na dawnych



Wigilia w Sypniewie, 1955 r.

Kresach, po wojnie przyłączonych do Związku Radzieckiego. Pojechaliśmy tam z mamą żony, Marią Żemojtel, do siostry teściowej, która mieszkała w Daugavpilis³¹ na terenie Republiki Łotewskiej.

Moja żona urodziła się w Święcianach, a mieszkała w Dukstach na terenie obecnej Litwy. Razem z rodzicami przyjechała do Kętrzyna w 1946 roku. Kiedy po zakończeniu wojny Polacy z tych terenów chcieli wyjechać do Polski, robiono wszystko by wyjechało ich jak najmniej. Ci, co zdecydowali się szybko, to wyjechali, natomiast później wielu wywieziono na Syberię lub do Kazachstanu. Tak postąpiono z rodzinami brata i dwu siostr teściowej. Dwie rodziny znalazły się na Syberii, a jedna w Kazachstanie. Dopiero po dziesięciu latach pozwolono im na powrót do dawnego miejsca zamieszkania.

Zaproszenie, potwierdzone przez władze, otrzymaliśmy z Daugavpilis i mieliśmy prawo przebywać na terenie Republiki Łotewskiej. Po północy wysiedliśmy na dworcu kolejowym, na którym czekała już siostra teściowej z mężem. Gdy dotarliśmy do domu, stół był już zastawiony i czekało na nas dwoje dorosłych ich dzieci. Mimo zmęczenia, dyskusja przedłużała się. W końcu położyliśmy się spać. Wiadomo, że po rozmowie, wspomaganej dużą ilością „Stolicznej”, obudziłem się skacowany. Gospodarz chyba tylko czekał na moją reakcję, bo po chwili przyniósł butelkę, nalał pełen „sztankanik” wódki i zaproponował wypić. Odmawiałem, ale na nic moje opory. Wypiłem więc jednego, choć jeszcze szumiało mi w głowie. Zmusił mnie do drugiego: „lepiej się poczujesz”. Faktycznie, ból głowy ustąpił, ale znowu byłem pijany. Przyjmowano nas po słowiańsku, bo poza zwiedzeniem miasta nie mieliśmy czasu na nic więcej: tylko siedzenie przy stole i picie.

Po kilku dniach niezbyt legalnie wyjechaliśmy do Dukstas (Duksty) w Republice Litewskiej, gdzie mieszkało rodzeństwo teściowej. Ze stacji w Dukstach przeszliśmy około dwóch kilometrów do kołchozu Kaniuki, gdzie mieszkała zarówno siostra, jak brat teściowej. Radość sióstr ze spotkania po dziesięciu latach

była wielka i wielkie znów były przyjęcia. Ale nie mając zgody na pobyt w tej republice, nie mogliśmy się zbyt długo pokazywać. Pozostały jedynie spotkania w domu i rozmowy z krewnymi. Tłumaczyli nam, że mieszkają we własnym domu, który wybudowali przed wojną. Jako pracownicy kołchozu posiadają półhektarową działkę, na której utrzymują krowę, jałówkę, kilka sztuk drobiu i tuczą 4-5 tuczników rocznie. Zapytałem, skąd mają paszę, bo na tak małej działce niemożliwe jest utrzymanie tylu sztuk inwentarza. Obruszyli się, że pytam jak dyrektor kołchozu.

Po kilku dniach zostałem zaproszony przez męża siostry teściowej, Litwinina, do odwiedzenia go w pracy. Był kolejjarzem i pracował na stacji Duksty leżącej na trasie Wilno-Królewiec. W biurze zawiadowcy było już kilku kolejarzy, którzy czekali na moje przyjście. Byli to przeważnie Polacy, jedynym Litwinem był zawiadowca stacji. Każdy miał ze sobą butelkę, mimo że były to godziny pracy. Rozmawialiśmy, piliśmy, a zawiadowca co kilkanaście minut odprawiał pociągi.

Udało nam się kupić bilety do Wilna, by zwiedzić to miasto. Nie byłem tam wcześniej, a żona niewiele już pamiętała. Gospodarze, chcąc odwdziżyć się za prezenty jakie im przywieźliśmy, wręczyli nam sporo rubli, za które mieliśmy zrobić sobie zakupy. Za sejf służyła im bielizniarka w szafie. Kiedy wyjęto plik banknotów zapytałem, czemu nie trzymają pieniędzy w banku, a pod bielizną. Mogliby chyba za to kupić córkom samochód, którym dojeżdżałyby do pracy w Wilnie. Odpowiedzieli, że jest to niemożliwe, bo musieliby wytłumaczyć skąd mają te pieniądze. W Wilnie zwiedziliśmy Ostrą Bramę, stare miasto a przede wszystkim sklepy jubilerskie, gdzie wprawdzie z trudem, ale coś kupiliśmy. Bo gdy ekspedientka Litwinka zorientowała się, że jesteśmy Polakami, nie chciała nam nic sprzedać. Dopiero druga, Polka, sprzedała nam to, co chcieliśmy.

Pozostało nam jeszcze odwiedzić brata teściowej. Mieszkał z rodziną w tym samym kołchozie. Wcześniej był dziesięć lat na Syberii. Opowiadał, jakie były tam warunki. Z pociągu wysadzono ich w środku tajgi i powiedziano, że mają tu mieszkać. Zaczęli od kopania dolów na ziemianki, w których początkowo mieszkali.

³¹ Daugavpils, d. Dyneburg, Dźwińsk – łotewskie miasto nad ujściem Dźwiny do Bałtyku.

Żyli z tego, co przywieźli ze sobą i łłowili w lesie. Brat teściowej twierdził, że miał tam stosunkowo dobrze, bo był cieślą i miał narzędzia, a wszyscy chcieli, by coś im zbudował. Pracy więc miał dużo, a w zamian rodzina miała żywność. Psioczył na Rosjan. Kiedy zapytałem, czy nie boi się tak mówić, bo znowu może się znaleźć na Syberii, odpowiedział: – A co mi zrobią? Mogę jechać po raz drugi.

Mieliśmy być tam przez cały miesiąc, ale gdy po trzech tygodniach nasze paszporty wróciły z Rygi do Daugawpilis, wyjechaliśmy do domu. Nie mogłem dłużej wytrzymać tej gościnności – systematycznego obżarstwa i opilstwa. Naszych gospodarzy zachęcaliśmy do odwiedzenia nas w Polsce, ale mimo wysłania zaproszenia nie przyjechali. Jedynie po prawie dwu latach dostaliśmy od nich list z Karagandy w Kazachstanie. Dalszy kontakt się urwał.

Działka

Zaczęliśmy myśleć o jakimś stałym miejscu nad jeziorem, by można było wyjechać tam z dziećmi na weekend. Nadarzyła się okazja zakupu połowy niewykończonego domku nad jeziorem Giławy w Rentynach. Stał w lesie na terenie należącym do nadleśnictwa. Mimo to kupiliśmy go, wykończyłem wnętrze, dobudowałem taras i małe pomieszczenie na kuchnię. Użytkowaliśmy go przez trzy lata, jednak był niewielki i spartańskie warunki już nam nie odpowiadały. Myśleliśmy o czymś większym, legalnie wybudowanym, by mieć pewność, że za kilka lat nie trzeba będzie go rozbierać.

Dowiedziałem się, że można wydzierżawić działkę na 20 lat na kolonii Krzywonogi, nad jeziorem Kalwa. Pojechałem do właściciela Czesława Szendy i wydzierżawiłem 9 arów na skraju lasu, około 100 metrów od jeziora. Obok taką samą działkę wydzierżawił mój kolega ze studiów, Ryszard Tomczyński. W tym zespole działek było już sześć domków, postawionych przez pracowników inżynieryjno-technicznych Olsztyńskich Zakładów Opon Samochodowych.

Zakupiłem projekt domku i zacząłem myśleć, jak w dobie reglamentacji towarów zdobyć materiał na jego budowę. Budynek miał być drewniany z murowanym podpiwniczeniem. O moich przygotowaniach powiedział się dr Lewicki, właściciel drugiej części domku w Rentynach, i odkupił naszą część, by mieć cały domek na własność. Kwota otrzymana za domek w Rentynach zaledwie starczyła na zakup drewna w lesie.

Drewno na budowę domku pomógł mi zakupić Broniek Piwowski, leśniczy z Lelkowa koło Pieniężna, z którym polowałem w jednym kole łowieckim. Wiedziałem już, jakie kłocę, o jakiej długości, potrzebne są do budowy. Pojechałem więc do leśniczówki i podczas wycinki drzew odpowiednie kłocę kierowałem na inny stos, a stamtąd ciężarówką tatracz zawieźliśmy je do prywatnego tartaku w Pieniężnie.

Budulec załatwiałem jednocześnie na dwa domki, natomiast przecierania w tartaku pilnował już kolega Tomczyński. Kantówkę i deski z tartaku przewieziono pod stolarnię PGR Pieniężno i tam schły przez rok. Po roku przyjechaliliśmy z kolegą i razem z kierownikiem stolarni przygotowaliśmy takie elementy, jakie były potrzebne do budowy. Po obróbce trzeba było materiał przewieźć nad Kalwę, czyli na odległość ponad sto dwadzieścia kilometrów.



Domek nad Kalwą.

Nie wiedziałem, jak to zrobić i myślałem, że to może sporo kosztować. Jednak dobrze mieć dobrych kolegów. Dowiedział się o tym Danek Szulc, który miał starego lublina. Powiedział, że przewiezie mi to za cenę benzyny. Pożyczyłem więc z pegeeru jednoosiową przyczepę do dłużycy i przez kilka dni woziliśmy drzewo nad Kalwę. Tu podzieliliśmy poszczególne elementy, oddzielnie na każdy domek, właściwie ułożyliśmy i drewno schło rok.

Dopiero w połowie maja 1975 roku przystąpiłem do budowy. Na wszystkie materiały budowlane trzeba było mieć przydziały i bez znajomości można było o budowie tylko pomarzyć. Z trudem udało mi się zakupić cement, cegłę i eternit. Miałem dwa miesiące urlopu i w tym czasie postanowiłem postawić domek sam. Zrobiłem wykopy pod słupy fundamentowe i sam je wymurowałem. Ciężko mi to szło, bo wcześniej z kielnią niewiele miałem do czynienia. Prace w drewnie poszły mi już łatwiej, choć wszystko należało robić ręcznie, bo nie było jeszcze prądu. Skręconą konstrukcję dachu stawiałem przy pomocy kolegów z koła łowieckiego. Natomiast w dalszej budowie uczestniczyła już cała rodzina, bo trzeba było deski donieść, przytrzymać, następnie zakonserwować pokostem. Była to więc praca nie tylko dla mnie, ale żony i córek. Po dwóch miesiącach domek stał przykryty i zamknięty w stanie surowym. Wykończenie wnętrza to następne niejedno lato.

Praca zmienną jest

Wydawało się, że w pracy wszystko układa mi się dobrze, ale niestety, znowu ktoś inny zdecydował o moim losie. W 1969 roku połączono Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Wylęgu Drobiu z Olsztyńskimi Zakładami Jajczarskimi i powołano Olsztyńskie Przedsiębiorstwo Hodowli Drobiu. Dyrektorem nowego przedsiębiorstwa został Ryszard Smoliński, zastępca kierownika wydziału rolnictwa i leśnictwa Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, członek Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Po kilku dniach na rozmowę zaprosił mnie jego zwierzchnik w PWRN, kierownik wydziału Leon Kłonica. Domyślałem się, o co chodzi i

byłem na to przygotowany. Zaproponował mi zmianę pracy, zapytałem dlaczego, choć dobrze wiedziałem. Odpowiedział mi, że sam nie wie, jak zacząć rozmowę. Podpowiedziałem mu, że chyba czapeczki nie pasują. Roześmiał się i potwierdził.

W tym czasie obowiązywały takie zasady, że jeżeli w jakimś zakładzie szefem był członek ZSL, to jego zastępcą mógł być tylko członek PZPR i odwrotnie. Nowym przedsiębiorstwem nie mogli więc kierować dwaj członkowie ZSL. Zaproponował mi funkcję starszego inspektora w oddziale produkcji zwierzęcej wydziału rolnictwa PWRN z maksymalnymi na tym stanowisku poborami, ale niższymi jakie miałem w przedsiębiorstwie. Żeby nie stracił, załatwił mi dodatkowy ryczałt w Związku Hodowców Drobego Inwentarza.

Co miałem robić? Zgodziłem się, bo już poprzednio nauczono mnie pokory. Po kilku miesiącach nastąpiły pewne przesunięcia kadrowe. Leon Kłonica awansował na sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR, a nowy szef wydziału, Teodor Dziankowski, zaproponował mi awans na kierownika oddziału produkcji zwierzęcej. Na tym stanowisku przepracowałem aż do września 1978 roku.

W tym czasie miałem już większy samochód, fiata 125p. Jeździliśmy nim na wycieczki po Polsce, na święta do rodziców, zarówno w Kętrzynie jak i w Sypniewie. Zazwyczaj, kiedy żyli rodzice, każde święta Bożego Narodzenia czy Wielkanocę spędzaliśmy u nich w gronie rodziny. Święta 1975 roku były wyjątkowe. Byliśmy w Sypniewie na wigilii. Po wigilii wszyscy poszli na pasterkę, a ja położyłem się spać, by odpocząć przed podróżą. Przede mną była ponad pięćsetkilometrowa podróż do Bielawy na ślub mego siostrzeńca Janusza Malinowskiego z Alicją Partyką. Janusz był moim chrześniakiem i nie mogłem odmówić. Studiował wtedy w Wyższej Oficerskiej Szkole Radiotechnicznej w Jeleniej Górze. Zabrałem do samochodu mamę, żonę Czesławę oraz siostrę Alinę z mężem Antonim. Po drodze wstąpiłem do siostry w Warszawie, wypilem kawę i dalej w kierunku Bielawy, po obłodzonej i zaśnieżonej drodze. Pod Łodzią kilka wozów le-

zało w rowach, ale mnie udało się tego uniknąć i przed dziesiątą byliśmy na miejscu.

W czerwcu 1976 roku, nastąpiło bardzo przykre wydarzenie. Ojciec zachorował i leżał w ostrołęckim szpitalu. Po operacji, jak twierdzili lekarze, wszystko było w porządku. Po trzech dniach przyjechałem, by go odwiedzić. Niczego się nie spodziewając, idę na oddział. Na korytarzu widzę wózek, na którym leży pacjent. Spojrzałem – mój tata! Nie przewidując najgorszego, chciałem się przywitać. A tu szok, bo nagle zdałem sobie sprawę, że nie mam już ojca. Od wiozących go pielęgniarzek dowiedziałem się, że wiozą go z sali operacyjnej, a przy powtórnym zabiegu po trzech dniach serce nie wytrzymało narkozy.

Nie wiem, co było przyczyną powtórnej operacji. Nie mogłem dowiedzieć się niczego, a tym bardziej udowodnić, że popełniono błąd. Wiem tylko jedno: straciłem osobę, na której najbardziej mogłem polegać i zawsze uzyskać radę i pomoc. Mam tylko żal do siebie, że za mało z nim rozmawiałem, a miałem jeszcze wiele pytań.

Początki turystyki zagranicznej

Rok 1978 od początku był dla mnie bardzo pracowity. Olsztyn dostał organizację Centralnych Dożynek. Ruszyły przygotowania, dostaliśmy środki na niezbędne inwestycje i wydatki związane z organizacją i propagandą tej imprezy. W Komitecie organizacyjnym odpowiadałem za przygotowanie dwóch wystaw: plodów rolnych i hodowlanej. Do moich obowiązków należała też współpraca z plastykami i czuwanie nad prawidłowym wykonaniem plansz i dekoracji. Do ostatnich dni trwały intensywne przygotowania, by ukryć biedę, a odpowiednio wyeksponować to, co najlepsze. Chyba nam się to udało, bo w ocenie I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka, który w przeddzień dożynek zwiedzał wystawy, wypadliśmy pozytywnie.

Następnego dnia, kiedy na stadionie „Stomilu” ruszył korowód dożynkowy, zobaczyłem w telewizji tylko początek uroczystości. Wyłączyłem telewizor i z żoną siedliśmy do samochodu, by dołączyć do grupy wycieczkowej w... Przemysłu. Wprawdzie miałem zaproszenie na stadion, nawet na eksponowane miejsca, lecz nie mogłem z nich skorzystać. Musiałem jechać na miejsce zbiórki osób wyjeżdżających samochodami na czterogodniową wycieczkę do Bułgarii i Grecji.

W Przemysłu czekał na nas pilot i rankiem siódmego września przekroczyliśmy granicę ze Związkiem Radzieckim w Medyce. Mieliśmy wyznaczone trasy na każdy dzień, miejsca noclegów i talony na paliwo. Razem z pilotem jechało dwanaście samochodów, różnych marek. Były to fiaty 125p, lądy, skody, volkswageny garbusy, a nawet fiat 126. Przy tak różnorodnych pojazdach trudno było jechać kolumną. Podzieliliśmy się więc na mniejsze grupy w zależności od możliwości samochodów i tak pokonywaliśmy poszczególne odcinki trasy. W czasie przejazdu przez ówczesną Socjalistyczną Republikę Ukrainy udało nam się, choć na krótko, zobaczyć Lwów. Wprawdzie na głównym skrzyżowaniu milicjant nie pozwolił skręcić z obwodnicy do miasta, kierując nas na drogę tranzytową, lecz na następnej krzyżówce

nie było już milicji i udało nam się przez dwie godziny zobaczyć Lwów, a przynajmniej jego stare miasto. Dogoniłem grupę na przejściu granicznym z Rumunią, za Zaleszczykami. Nocleg w hotelu mieliśmy na terenie Rumunii, sto kilometrów od granicy, a rano wyjazd do Bukaresztu. Następny etap prowadził już do Bułgarii, przez Warnę, na dziesięciodniowy pobyt w Złotych Piaskach nad Morzem Czarnym – w dość luksusowym hotelu niedaleko morza. Wtedy problemem w Bułgarii było okradanie samochodów na parkingach, a nawet kradzież kół. Musieliśmy więc na zmianę pilnować samochodów.

Dopiero na miejscu poznaliśmy wszystkich uczestników wycieczki. Byli z całej Polski: z Gdańska, Wrocławia, Warszawy, Katowic i jeszcze jeden wóz z Olsztyna. Zwiedziliśmy nieco zabytków nad Morzem Czarnym w rejonie Burgas, zobaczyliśmy taniec na rozżarzonych węglach, a także poznaliśmy smak zupy „szopskiej”.

Nie mieliśmy w programie pobytu w Turcji, tylko tranzyt z Bułgarii do Grecji, ale namó-

ścić. Okazało się, że mój znajomy mechanik dobrze go przygotował.

Po dziesięciodniowym pobycie w Salonikach znów wracaliśmy etapami przez Bułgarię, Węgry, Czechosłowację, do przejścia granicznego w Dukli. Ostatni nocleg mieliśmy w hotelu w Rzeszowie i po miesiącu wróciliśmy do domu. Kiedy przy przekraczaniu granicy celnik zobaczył, że mamy tylko nieco drobiazgów i jeden kozuch, zapytał: – Po co pan pojechał? Przecież mógł pan przywieźć cztery kozuchy bez cła i wycieczka zwróciłaby się panu. W jego oczach wyszedłem na idiotę.

W tamtych czasach tego typu wycieczki wszyscy traktowali handlowo. My zapłaciliśmy frycowe, bo nie byliśmy przygotowani na to, że można zarobić. Nie mieliśmy ani towaru na sprzedaż, ani dolarów. Legalnie wolno nam było wywozić po 16 dolarów na osobę, a kwota ta nie starczała nawet na opłaty parkingowe. Każdy miał więcej, lecz trzeba było je dobrze ukryć, bo na granicach bardzo nas kontrolowali.



Mój siostrzeniec Janusz Malinowski ze swoją żoną Alicją Partyką., 1975 r.

wiono mnie na zwiedzanie Stambułu. Zdecydowało się na to kilka osób i w cztery samochody odłączyliśmy się na dwa dni. Dojechaliśmy do Stambułu, przenocowaliśmy na polu namiotowym, a następnego dnia zwiedziliśmy bazar. Każdy z nas dokonał planowanych zakupów. Na wielkie zakupy nie byliśmy przygotowani, ale sprzedaliśmy niektóre posiadane przedmioty i kupiliśmy kozuch dla żony, bluzki z wzorami tureckimi dla córek oraz nieco drobnych wyrobów z alabastru. Do grupy dołączyliśmy na granicy turecko-greckiej i nocowaliśmy już w motelu w Aleksandropolis. Etap do Salonik, po ówczesnych górskich drogach północnej Grecji, był bardzo trudny dla niektórych wozów. Długie, strome podjazdy i samochody ciężarowe blokujące przejazd powodowały, że silniki się przegrzewały i wysadzało uszczelki pod głowicami. Wszyscy byliśmy wtedy mechanikami i pomagaliśmy pechowcom. Ponieważ była to wycieczka organizowana przez Polski Związek Motorowy, mieliśmy w bagażnikach walizki z częściami zamiennymi. Mimo że miałem najstarszy pojazd, bo już siedmioletniego fiata 125, nie musiałem z nich korzy-

Po powrocie zmieniłem pracę, gdyż zostałem wybrany na wiceprezesa Wojewódzkiego Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych. Dotychczasowa praca urzędnika – powtarzalne czynności biurowe – nie dawała mi satysfakcji. Pisanie sprawozdań i „planów perspektywicznego rozwoju”, jak to w tym czasie nazywano, stało się po kilku latach po prostu nudne i męczące. Nie widać było efektów, a chciałem je mieć.

Nie zdawałem sobie jednak sprawy, z jakimi problemami mam się zmierzyć i z jakimi ludźmi współpracować w nowym miejscu. Miałem odpowiadać za produkcję w najgorzej chyba prowadzonych jednostkach sektora rolniczego. Wtedy była olbrzymia presja na organizowanie spółdzielni na gruntach Państwowego Funduszu Ziemi i w zakładach gospodarczych kółek rolniczych. Nawet po zorganizowaniu takiej jednostki, nie było komu w niej pracować ani kierować, mimo niezłych poborów. Na dodatek szef związku wytwarzał atmosferę nieufności i szukania haków na każde-

go pracownika, jeśli nie należał do jego grupy. Wiedziałem wprawdzie, gdzie idę, bo mnie ostrzegano, ale była to jedyna szansa na odejście z pracy w administracji. Kolejne cztery lata, łącznie ze stanem wojennym, kosztowały mnie najwięcej nerwów i zdrowia.

Dożynki w ZSRR w przeddzień wprowadzenia stanu wojennego

Pod koniec listopada 1981 roku z przedstawicielami Rolniczego Kombinatoru Spółdzielczego w Bisztynku pojechałem na dożynki rejonowe w Prawdzińsku w rosyjskim obwodzie kaliningradzkim. Zaproszono nas z racji współpracy z jednym z kołchozów. Rosjanie dożynki organizują dopiero po zakończeniu wszelkich polowych prac jesiennych. Zaopatrzeni w „suweniry” przyjechaliśmy rano na przebieg granicznej w Bezedach. Za barierą czekali już przedstawiciele Prawdzińska – przywitali nas z kwiatami i poszliśmy na tzw. odprawę do biura dowódcy straży granicznej. Tam zamiast odprawy odbyło się... przyjęcie. Wiedziałem już wcześniej o tym, bo nie był to mój pierwszy wyjazd do Kaliningradu. Dołączyliśmy się więc z odpowiednią ilością „wody rozmownej” i zakąski.

Już w dobrych humorach ulokowano nas w dwóch wołgach i wyjechaliśmy do Prawdzińska. Jednak nie jechaliśmy najkrótszą drogą wzdłuż granicy, ale przez Kaliningrad, nadkładając około 80 kilometrów. Kiedy zapytałem dlaczego tak będziemy usłyszałem, że inaczej nie można. Obserwowałem więc drogi i poligony, umieszczone wzdłuż naszej granicy. Poligony były pełne namiotów, a na drogach poruszały się ciężarowe wojskowe samochody. Zrozumiałem wtedy, dlaczego odpowiedziano mi „nie lizia”. Upewniłem się jeszcze bardziej, gdy w czasie spotkania po dożynkach sekretarz KPZR obwodu kaliningradzkiego zapytał

medale, a następnie występy artystyczne. Trzeba przyznać, że poziom występujących zespołów był wysoki, a przyjmowano nas bardzo gościnnie. Kiedy zwątpiłem w prawdziwość słów, że występujący piosenkarz z teatru w Moskwie pochodzi z Prawdzińska, nawet w nocy do hotelu przyprowadził on matkę i siostrę, by mi udowodnić, że to prawda. Na zgodę wypiliśmy dwie butelki pszenicznej i do rana śpiewaliśmy, polskie i rosyjskie piosenki.

Tak przeżyłem ciężkie trzy dni, bo każdego dnia zwiedzanie, spotkania i rozmowy, a wieczorami biesiady przy stołach z toastami, które jako przewodniczący delegacji musiałem nie tylko wznosić, ale i spełniać. Po powrocie, żartowałem w domu, by mnie nie ściskano bo wypłynie alkohol.

Stan wojenny w Polsce

W Wojewódzkim Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych zastał mnie stan wojenny. Kiedy rano 13 grudnia 1981 roku przyszedłem do pracy, dostałem na świstku papieru dyspozycję, że zawieszają się działania zarządu, a związkiem mam kierować jednoosobowo. Dlaczego ja, kiedy jest prezes? Okazało się, że

roku poproszono mnie na posiedzenie Wojewódzkiej Rady Ocalenia Narodowego³². Spodziewałem się, że skończy się to moim zwolnieniem.

To interesujące gremium niebieskich i zielonych mundurów, w tym tylko dwu cywilów (wojewoda i sekretarz rolny KW), zaatakowało mnie za wyniki i porządek w spółdzielniach oraz brak reakcji na ich polecenia. Udało mi się wyjątkowo opanować i spokojnie wyjaśniać, jak się sprawy przedstawiają w każdej podległej mi jednostce. Zarzucano mnie różnego rodzaju pytaniami, na niektóre nie wiedziałem jak odpowiedzieć, ale śmiało odpierałem zarzuty, bo wiedziałem, że w sprawach produkcyjnych i organizacyjnych wiem więcej od nich. Jeśli nie znałem szczegółów kłamałem, bo i tak nie wiedzieli, jak jest naprawdę. Poparł mnie... sekretarz, który wcześniej przez wiele lat był dyrektorem PGR i znał problemy rolnictwa. Również wojewoda stwierdził, że postąpiłem dobrze, bo gorzej byłoby, gdybym tych ludzi zwolnił. W tej sytuacji nawet mundurowi zmienili nastawienie. Tak to próba zwolnienia mnie, inspirowana – jak się później okazało – przez mojego szefa, prezesa WZ RSP, nie udała się.



mnie, co jest z tą naszą kontrrewolucją. Powiedział, że gotowi są nam pomóc. Pewnie dlatego pokazano nam tą możliwą pomoc skoncentrowaną na naszej granicy.

Wszystkie uroczystości odbywały się uroczysto, ale sztampowo. Wyróżnienia, nagrody,



mego szefa, jako kapitana SB, ubrano w mundur i zajęty był innymi wojennymi sprawami.

Codziennie spotkania z wojskowymi komisarzami nie należały do przyjemnych. Uważali, że najlepszym sposobem na poprawienie sytuacji w danej spółdzielni jest zwolnienie prezesa zarządu. Nie brali pod uwagę tego, że korzystając z atmosfery stanu wojennego największe nieroby próbowały zemścić się na prezesach za to, że egzekwowali od nich pracę. W ciągu pierwszego miesiąca otrzymałem polecenia zwolnienia szesnastu prezesów (było około czterdziestu spółdzielni). Ale nie zwolniłem żadnego. Jedynie jednemu odpowiedziałem, że go nie obronię i może odejść na własną prośbę. Tak też uczynił.

Trudno się wtedy pracowało. Nie ułatwiał tego brak łączności telefonicznej z terenem i Centralnym Związkiem, konieczne było nawet posiadanie przepustki na wejście do gmachu Urzędu Wojewódzkiego, gdzie urzędował komisarz wojskowy. Ponieważ okazałem się oporny w wykonywaniu decyzji szkodzących spółdzielczym instytucjom, w styczniu 1982

W tym okresie zobaczyłem też inne dokumenty preparowane przeciwko mnie, by mnie ośmieszyć lub szantażować. Za namową szefa jedna ze spółdzielni przy podziale zysku uchwaliła, że mnie i żonę funduje dwutygodniowe wczasy w Jalcie. Kiedy prezes spółdzielni poinformował mnie o tym, podziękowałem rezygnując z propozycji, bo nie byłem członkiem tej spółdzielni. Był to haczyk na mnie, którego nie połknąłem. Z podobnej oferty skorzystał prezes wojewódzkiego związku w Kielcach, a kiedy wrócił, czekało już na niego zwolnienie i nota obciążająca za wczasy.

W innym przypadku prezes obniżył mi nawet pobory w stosunku do tych, jakie przyznał mi Centralny Związek. Tak przekonałem się, że dalszej współpracy między nami nie może być. Kiedy szef wrócił do pracy w kwietniu 1982 roku, przeprowadziłem z nim „męską rozmowę”. Powiedziałem, że przez cztery lata byłem lojalnym współpracownikiem, broniącym nie tylko spraw spółdzielni, ale i jego. Że nie może

³² WRON (13 XII 1981-22 VII 1983) administrowała Polską w czasie stanu wojennego.

już liczyć na moją lojalność, a bronić się musi sam. Ja już z nim nie będę współpracował.

Zacząłem załatwiać sobie inną pracę. Przychodziłem jeszcze do biura zarządu, ale nic nie robiłem, bo wiedziałem, że ze strachu szef nic mi nie może zrobić.

Ponieważ już raz dostałem nauczkę, że bez uzgodnienia nie można zmienić pracy, zwróciłem się do prezesa Zarządu Wojewódzkiego ZSL, Wincentego Stelmachonka, o pomoc w znalezieniu odpowiedniego zajęcia. Zaproponował mi pracę w Wojewódzkim Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” na stanowisku wiceprezesa zarządu ds. obrotu rolnego. To stanowisko akurat stało się przypadkowo wolne, choć był to etat zastrzeżony dla członka PZPR. Jednak w tym czasie rady nadzorcze zaczęły swobodniej korzystać ze swoich uprawnień i nie zawsze zatwierdzały proponowanych kandydatów. Kandydatura PZPR, byłego kierownika wydziału rolnego w Komitecie Wojewódzkim PZPR, nie została zatwierdzona przez Radę Nadzorczą WZGS z powodu braku doświadczenia w spółdzielczości. Ponieważ innego kandydata nie mieli oddano to stanowisko ZSL-owi.

Obawiałem się jednak, że rada nadzorcza, zdominowana przez członków PZPR, może mnie nie zatwierdzić. Moją kandydaturę przedstawił prezes Zarządu WZGS Marian Bandosz, zaproponował pytania i dyskusję. Już pierwsza wypowiedź dyrektora PGR w Gąglawkach uspokoiła mnie, bo wystawił mi doskonałą opinię z okresu pracy w Zjednoczeniu PGR i współpracy ze mną. Korzystna też była wypowiedź drugiego członka rady nadzorczej z Pasymia, a pytań nie było. W tej sytuacji przewodniczący rady nadzorczej Mieczysław Porzuczek³³ poddał wniosek pod głosowanie. Bez sprzeciwu, jednomyślnie 18 października 1982 roku zostałem członkiem Zarządu WZGS w Olsztynie.

Praca nie była prosta – odpowiadałem za cały obrót rolny w województwie: kontratację, skup płodów rolnych i zwierząt, a także zaopatrzenie w środki do produkcji rolnej. Ponadto w mojej gestii było zaopatrzenie województwa w opał i materiały budowlane. Jak widać, w dobie przydziałów i braków towarowych, „działka” trudna i niewdzięczna. Wymagało to ciągłych kontaktów z producentami, zarówno moich jak i dyrektorów zakładów WZGS, by wyegzekwować przydziały towarów, a jeszcze otrzymać nieco więcej. Bardzo stresujące były też ciągle wyjaśniania i tłumaczenia braków rynkowych. Jednak była to praca żywa, zawsze coś się działo, a w większości spraw potrafiłem porozumieć się nie tylko z rolnikami, ale i szefami jednostek współpracujących oraz przezesami GS-ów.

W środowisku „starych spółdzielców” byłem jednak człowiekiem nowym i na początku próbowali mnie sprawdzać, jak się zachowam w niektórych sytuacjach. Ale byłem na to przygotowany. Jak później sami stwierdzili, zaprzestali tego szybko, bo nie dałem się wcią-



Ślub córki Eli z Józefem Konopką, 1982 r.



Ślub córki Ani z Wiktorem Hajdenrajchem, 1983 r.

gnąć w jakąś niejasną sprawę, a ich próby były nieudane. Zostałem więc zaakceptowany.

O córkach

Pierwsze lata pracy w WZGS były istotne dla mojej rodziny. W tym czasie obie córki ukończyły studia na Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Ania ukończyła Wydział Technologii Żywności, a Ela, za moim przykładem – Wydział Zootechniczny. Wyszyły też za mąż za kolegów ze studiów. Ślub Eli z Józefem Kopką odbył się 24 kwietnia 1982 roku, a Ani z Wiktorem Hajdenrajchem – 3 sierpnia 1983 roku. Organizowanie obu wesel w niedługim czasie po sobie, w okresie kiedy wszystko było na kartki, nie było łatwe. Wprawdzie nie trzeba już było uzyskiwać zezwolenia na tego typu zgromadzenie, ale przejazd z województwa do województwa odbywał się jeszcze z przepustkami. Mimo tych problemów, kilkudziesięciu uczestników wesel nie mogło narzekać na brak jadła i napitku.

Zaraz po studiach młodzi rozpoczęli pracę zawodową. Ania z mężem wyjechała do Kętrzyna i pracowała tam w Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, a Wiktor w Zespole Szkół Rolniczych w Karolewie. Natomiast Ela została zootechnikiem w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Platynach, a Józek w tej samej spółdzielni był kierownikiem produkcji.

PSL

Podobnie jak na studiach, tak i podczas pracy starałem się w jakimś stopniu udzielać społecznie. Wyrosłem już z okresu młodzieżowego, ale Związek Młodzieży Wiejskiej był tak dobrą szkołą społecznego działania, że swą kolejną społeczną aktywność kontynuowałem w Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym. Początkowo byłem członkiem plenum, później wszedłem do prezydium Miejskiego Komitetu ZSL w Olsztynie. Podczas pracy w rolniczych instytucjach wojewódzkich przez dwie ka-

³³ (1919-2011), ludowiec, działacz społeczno-kulturalny, b. poseł, znany m.in. z aktywności w Stowarzyszeniu Społeczno-Kulturalnym „Pojezierze”, którego wtedy był sekretarzem generalnym.

cje byłem członkiem prezydium Wojewódzkiego Komitetu ZSL, a jedną – już w kierownictwie nowego PSL „Odrodzenie”³⁴. Brałem udział w zjazdach sprawozdawczy-wyborczych w powiatach, czasem w gminach. Dwukrotnie byłem delegatem na Krajowe Kongresy ZSL. W pamięci szczególnie utkwił mi X Kongres, który odbył się 21 marca 1988 roku. Wydarzenia z nim związane zasadniczo wpłynęły na moje zawodowe, a przede wszystkim prywatne życie. Miałem brać udział w pracach kongresowej komisji rolnictwa. W tej sprawie na 12 marca umówiono spotkanie z wicepremierem Józefem Koziołem³⁵, także delegatem na kongres. Mieliśmy razem opracować wnioski do dyskusji na X Kongresie.

Feralny piątek

Umówionym z wicepremierem dniem był piątek. Postanowiliśmy z żoną jechać samochodem do Warszawy. Ja miałem pozostać w Naczelnym Komitecie na naradzie, a żona w tym czasie miała odwiedzić moją siostrę Alinę. Po naradzie planowaliśmy zjechać do Troszyna, na imieniny siostry Krystyny, która obchodzi je akurat 13 marca.

Pogoda była ładna, bezśnieżna, wiosenna. Wyjechaliśmy po południu w czwartek i po drodze przenocowaliśmy u córki Eli w Platynach. Stamtąd mieliśmy już 40 kilometrów bliżej do Warszawy. Ale gdy rano w piątek wyruszyliśmy w dalszą drogę, padał już dość obfity śnieg. Myślałem, że przestanie, ale potem jeszcze się wzmacniał i gdy mijaliśmy Nidzicę, śnieżycza rozpętała się na dobre. Jechać dalej, czy zawracać do domu? Jednak nie było już innej możliwości dojazdu do Warszawy. Zdecydowaliśmy jednak jechać dalej.

I to był poważny błąd. Przejeżdżając przez Strzegowo, wjechałem w pewnym momencie na jakąś przeszkodę ukrytą pod śniegiem. Była to prawdopodobnie kostka bruku lub krawężnik, bo we wsi układano akurat chodnik. Rzuciło samochodem w lewo, a z przeciwnej strony – jak na złość – jechała ciężarówka. Zderzenie było nieuniknione. W samochodzie nie było zagłówek, a pasy nie miały regulacji i były zbyt luźne. Mimo niewielkiej szybkości, skutki okazały się tragiczne.

Straciłem przytomność. Gdy ją odzyskałem, czułem ból w piersiach i szyi. Mimo szoku spojrzałem na żonę i wydawało mi się, że nic się jej nie stało. Siedziała wyprostowana. Chwyciłem ją za rękę i sprawdziłem puls... Wiedziałem już, co się stało i ponownie straciłem przytomność.

Obudziłem się w szpitalu w Mławie. Nie wiem, który to był dzień po wypadku, bo na przemian traciłem przytomność, to ją odzyskiwałem. Dopiero po jedenastu dniach odzyskałem ją już na stałe i dowiedziałem się, co mi

³⁴ Powstała w 1989 r. partia, poprzedniczka obecnego PSL (powstało w 1990 r.).

³⁵ J. Kozioł, b. prezes Zarządu Centralnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych, poseł ZSL IX kadencji. W październiku 1988 został ministrem ochrony środowiska i zasobów naturalnych w rządzie Mieczysława Rakowskiego. Od 1989 do 1990 minister stanu w kancelarii prezydenta Jaruzelskiego.



Na Powiatowym Zejeździe ZSL w Mragowie, 1987 r.



Koledzy działacze ruchu ludowego, obok mnie stoją olsztyniacy: Jerzy Osiński był wiceminister Rolnictwa oraz Józef Fajkowski był Minister Kultury, a później ambasador Polski w Finlandii.

jest. Miałem złamane siedem żeber, uszkodzone trzy kręgi szyjne i rozbita wątrobę. O żonie nic mi nie mówiono, choć wiedziałem już, że nie żyje. Leżałem na oddziale intensywnej terapii w stanie bardzo ciężkim i tylko interwencjom córek oraz kolegów doktora Okońskiego i jego zaangażowaniu zawdzięczam, że żyję. Po sześciu tygodniach, karetką pogotowia z lekarzem, pod kropłówką, przewieziono mnie do Szpitala Miejskiego w Olsztynie.

Byłem bardzo słaby, lecz w Olsztynie poczułem się lepiej psychicznie. Nastąpiły częstsze kontakty z rodziną i kolegami, a ordynator oddziału chirurgii Szpitala Miejskiego, dr Dąbrowski, stworzył mi wyjątkowe warunki. Jeszcze przez dwa tygodnie byłem pod kropłówką, a kiedy mnie odłączono, zadowolony chciałem pójść do łazienki – nie miałem jednak

siły zrobić nawet kilku kroków. Dopiero na początku czerwca wypisano mnie ze szpitala. Ważyłem wtedy niewiele ponad 60 kilogramów i nie mógłbym sobie w domu sam poradzić. Siostrzeniec Janusz Malinowski zawiózł mnie więc do siostry Krystyny w Troszynie. Mieszkała tam też moja mama i obie opiekowały się niezbyt sprawnym rekonwalescentem. Po ponad miesięcznym pobycie, jako tako podtuczony i usprawniony, wróciłem do Olsztyna.

W jakim stanie byłem tuż po wypadku, dowiedziałem się później od doktora Okońskiego, którego odwiedziłem w mławskim szpitalu. Był bardzo zdziwiony, kiedy mnie zobaczył w gabinecie pielęgniarek, gdzie czekałem na niego. Jakby ujrzal ducha. Jego pierwsze słowa to „czy pan już chodzi?” Odpowiedziałem, że nie tylko chodzę, ale i pracuję, bo jechałem akurat

na naradę do Centralnego Związku Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska” w Warszawie. Powiedział mi, że miałem szczęście, bo kilka minut po moim wypadku wracała karetka z lekarzem z Płońska do Mławy i „przy okazji” zabrali mnie do szpitala. Bezpośrednio z karetki trafiłem na stół operacyjny. Miałem potężny krwotok z rozbitej wątroby. Część jej wyrzucili, tak była rozbita, a resztę nieco skleili. Dostałem też dużą dawkę krwi. Po tym wszystkim mnie zszyli i położyli do łóżka. Jak ja z tego wyszedłem, to on nie wie – stwierdził. Jego zdaniem, miałem niewielkie szanse na przeżycie.

Dopiero w sierpniu 1988 roku wróciłem do pracy. Zostałem duże zmiany. Na fali reform i przemian zlikwidowano wojewódzkie związki spółdzielcze, jako postkomunistyczne pozostałości. Potem w miejsce WZGS powołano Warmińsko-Mazurską Spółdzielnię „Samopomoc Chłopska” (w 1990 roku wyznaczono jej likwidatora). Zaczęły się przepychanki, bo każdy chciał się jakoś urządzać. Po ostatnich przeżyciach nie miałem na to sił, ani fizycznych, ani psychicznych.

W 1989 roku zostałem wiceprezesem zarządu w nowo założonej Spółdzielni Pracy Rolniczo-Handlowej w Olsztynie. W tym okresie politycznych zawirowań, nie mogłem patrzeć, jak niszczone wszystko, co zrobiono w poprzednich latach, zawłaszczano majątek spółdzielczy i marnotrawiono jego wieloletni dorobek. Nie angażowałem się w to, a przeciwdziałać nie mogłem i nie chciałem. Było mi już obojętne co dalej będzie się działo. Kiedy nadarzyła się okazja i od pierwszego kwietnia 1991 roku przeszedłem na rentę inwalidzką.

Darz bór

Od dzieciństwa spotykałem się z łowiectwem i myśliwymi. Wspomnienia te mocno utkwily w mojej pamięci, ale realizację marzeń musiałem odłożyć w czasie. W prawdzie tata chciał, żebym był myśliwym, jednak postanowiłem, że zacznę polować dopiero wtedy, gdy sam będę mógł kupić sobie broń. Staż myśliwski odbyłem jeszcze w trakcie studiów, ale nie zgłosiłem się na egzamin. Mieszkalem nawet w akademiku z kolegą Leszkiem Buszkiem, który był myśliwym i pisał pierwszą na naszej uczelni pracę magisterską z łowiectwa pod kierunkiem prof. Wiesława Krautforsta³⁶

Dopiero po dwu latach pracy miałem okazję zarobić dodatkowe pieniądze przy selekcji ziemniaka i przeznaczyłem je na zakup broni. Zmobilizowali mnie koledzy, którzy zorganizowali nowe koło łowieckie „Diana”. Po zdaniu egzaminu w 1962 roku stałem się członkiem tego koła. Kilkakrotnie wyjeżdżaliśmy na indywidualne polowania na kaczki i piżmaki, ale moim chrztem myśliwskim było zbiorowe polowanie na zające w listopadzie. Pamiętam je doskonale, mimo upływu pięćdziesięciu lat.

Odbyło się ono w dobrym terenie po byłym ośrodku hodowli zwierzyny drobnej PGR w powiecie Bartoszyce. Byłem bardzo spięty



Z Dankiem Szulcem na polowaniu zbiorowym.



Po polowaniu, 2002 r.



Program Kawa czy herbata w Starych Jabłonkach.

³⁶ (1909-1978), wybitny hodowca świń, współtwórca nowych ras: wielkiej białej pomorskiej i w.b. polskiej, dr inż., prof. nadzw. od 1971 r. W WSR pracował od 1952 r., kierując Zakładem Hodowli Trzody Chlewnej.

przed tym polowaniem. Przeczytałem wszystko, co było możliwe, by się do niego przygotować. Na moje stanowisko, już w pierwszym miocie, wzdłuż między sadził szarak. Chciałem, by zmienił kierunek na sąsiada, bo obawiałem się że spudłuję. Niestety, dalej biegł w moim kierunku. Muszę strzelać! Jakie było moje zdziwienie, kiedy zając zrolował 20 metrów przede mną. Byłem bardzo dumny z tego strzału, choć strzeliłem zbyt późno i mogło też być pudło. W następnych miotach byłem już bardziej opanowany i strzeliłem jedenaście zająców, nie pudłując żadnego. Następnego dnia, choć opolowywany był gorszy teren, udało mi się strzelić dziesięć następnych. Jako nowicjusz, zostałem królem polowania strzelając 21 sztuk. W innych polowaniach miałem mniej szczęścia i wyniki były różne.

O ile miałem dobre wyniki w zwierzynie drobnej, to strzelając do grubej, szczególnie dzika, długo nie mogłem opanować nerwów. Dopiero po czterech latach, kiedy kupiłem sobie sztucer i upolowałem rosnącego odyńca, potrafiłem opanować emocje. Strzeliłem go w dość dziwnych okolicznościach. Do swojego łowiska w okolicy Pieniężna wybrałem się w mroźną styczniową noc, podczas pełni. Przez dwa dni nie spotkałem dzików. Trzeciego dnia wieczorem kolega Janusz Solanowski, u którego zamieszkałem na czas polowania, powiedział, że pojedzie ze mną. Około północy wjechałem w leśną drogę w kierunku dużej śródleśnej łąki. Zatrzymałem samochód na skraju lasu i chwyciłem za lornetkę obserwując teren łąki. Na śniegu zauważyłem kilka ciemnych punktów, w tym jeden większy i ciemniejszy. Pytam Janusza, co to jest? Spojrzał i stwierdził, że to dzik buchtujący na łące. Wręczył mi sztucer i powiedział krótko: podchodź. Odległość do celu wynosiła około trzystu metrów. Ruszyłem do przodu, zostawiając kolegę w samochodzie.

Chciałem poruszać się bezszelestnie, lecz było to niemożliwe. Mróz ponad dziesięć stopni i zmarznięty śnieg powodował, że każdy mój krok w gumofilcach słychać było daleko. Byłem tak zdesperowany, by tego czarnucha dojść na strzał, że niewiele myśląc siadłem na śniegu, zdjąłem buty i dalej ruszyłem w skarpetkach. Udało mi się podejść zwierza na około 120 metrów, pod słup wysokiego napięcia. Trwało to jednak około dziesięciu minut. Zacząłem składać się do strzału. Niestety, trochę zmęczenie, trochę emocje spowodowały, że drżały mi ręce i nie mogłem prawidłowo umieścić krzyża lunety na sylwetce dzika. Dopiero po kilku głębszych oddechach opanowałem się i strzeliłem. Po oddaniu strzału nie już nie widziałem – tylko kilka ciemnych punktów na śniegu. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, jak kolega wykonuje obok samochodu jakiś dziwny taniec. Nie wiedziałem, czy dzika ubiłem, może uciekł? Dopiero teraz poczułem, że marzną mi stopy. Szybko wróciłem po buty i podszedłem do samochodu. Janusz pogratulował mi, bo dzik padł w ogień i dlatego nie widziałem go na tle buchtowiska. Żartował tylko, że dzik padł nie od kuli, ale na zawał, bo i on o mało co nie dostał zawału w czasie, jak tego dzika podchodziłem. Z przekonaniem to mówił, bo podczas patroszenia nie mogliśmy znaleźć na tuszy wlotu kuli. Przy szczegółowych oględzinach okazało się, że kula trafiła w ucho. Był to, choć przypadkowy, królewski



Przy strzelonym dziku, lata 70-te.

strzał, bo kilka centymetrów w górę i dzik poszedłby tylko mocno przestraszony. Ten strzał do odyńca, który po wypatroszeniu ważył 104 kilogramy, przypomina mi do dziś brązowy medal, który otrzymałem za jego oręż.

Zelgałbym, gdybym powiedział, że wszystkie polowania były tak efektywne. Większość kończyła się miernym wynikiem, a czasem tylko pudłem. Jednak każde z nich zawierało jakieś niezatarte wspomnienia. Bo czy nie jest przyjemnie zasiąść przed świtem na ambonie i słuchać głosów budzącego się lasu? Podobnie przed wieczorem, gdy śródleśne łąki pokrywa mleczny opar. Tego typu obrazów nie zobaczy żaden mieszczuch.

Polowałem dość często, na ile pozwalał mi czas. Były to polowania nie tylko we własnym kole łowieckim, ale i w innych kołach u kolegów. Jeździłem także, w imieniu Zarządu Wojewódzkiego PZŁ, na kontrolę polowań w innych kołach. Czasem też wyjeżdżałem na polowania w innych województwach, głównie na bażanty, które u nas nie występują. M.in. do Płocka i Skarżyska Kamiennej. Natomiast na kuropatwy wyjeżdżałem w rejon Ostrołki i Łomży. Myśliwym, którzy nas zapraszali, rewanżowaliśmy się polowaniami na zwierzynę grubą, w którą obfitowały nasze łowiska. Mam niezłą kolekcję parostków rogaczy oraz mocne oręża dzika, z których ciekawsze wyeksponowałem w kącikach myśliwskim w domu i w domku nad jeziorem.

Z grubej zwierzyny najwięcej strzeliłem dzików, saren i rogaczy, kilkanaście jeleni i trzy łosie. Jednak największą satysfakcję sprawiło mi strzelenie dzika, który po wypatroszeniu i odcięciu oręża ważył aż 170 kilogramów! Jego oręż wyceniono na srebrny medal i jest to moje najlepsze trofeum. Trafiłem na niego zupełnie przypadkowo wracając już w nocy do domu, po nieudanych dwóch podchodach. Odwoziłem do domu pracownika leśnictwa, który pomagał mi wyremontować ambonę. W pewnej chwili zatrzymałem się na wzniesieniu obok dużego łąnu kukurydzy i buraków. Odszedłem polną drogą, wzdłuż ściany kukurydzy, około 200 metrów od samochodu, stanąłem i zacząłem nasłuchiwać. Po chwili usłysza-

łem charakterystyczny odgłos łamanych kolb kukurydzianych. Zbliżał się w moim kierunku. Zatrzymałem się, by nie płoszyć zwierza i zacząłem wpatrywać się w oświetloną przez księżyc ścianę kukurydzy. Po chwili wyłoniło się z niej coś wielkiego. Zrazu nie mogłem dobrze rozróżnić – wielkość jelenia, ale sylwetka podobna do dzika. Dopiero, gdy wszedł w buraki zobaczyłem olbrzymiego odyńca. Szybko strzeliłem na komorę, a dzik tylko lekko kwiknął i dał susa po buraki. Przeładowałem i strzeliłem już do odchodzącego. Kula ułożona w kręgosłupie osadziła go na miejscu. Rozległ się tylko potężny kwik, który mógł być słyszany w promieniu kilku kilometrów. Gdy podszedłem do leżącego, był już przy nim robotnik, wołając do mnie: – Panie, ale wielki!

Skończyły się emocje, zaczęła ciężka praca. Dzika trzeba było wypatroszyć, i załadować do samochodu, by go przywieść do punktu skupu w Olsztynie oddalonego od łowiska o sto kilometrów. Całe szczęście, że nie byłem sam. Z trudem udało nam się go nieco przybliżyć do drogi, by podjechać samochodem. Przy patroszeniu znów nie mogłem znaleźć wylotu kuli, którą strzelałem na komorę. Dopiero przy szczegółowym oglądaniu patrochów zauważyłem uszkodzenie serca – znalazłem w nim sztucerową kulę. Zachowałem ją jako pamiątkę razem z orężem. Z trudem we dwóch włożyliśmy go do bagażnika fiata 125 p. Jednak zamknąć go już nie mogliśmy i z otwartym bagażnikiem dojechałem do Olsztyna. Z takim ciężarem po naszych dziurawych drogach nie można jednak jechać bezkarnie – pękł mi resor w samochodzie. Niestety, premia za dzika nie pokryła kosztów remontu samochodu. Ale takie jest łowiectwo – duża przyjemność, ale jeszcze większe koszty.

Nie wszystkie wyjazdy do łowiska były udane, czasem zamiast strzelby trzeba było brać się za łopatę, by przetrzeć dojścia do paśników, gdzie była zadawana karma. Wiele wyjazdów poświęcałem na budowę urządzeń łowieckich, dowożenie karmy i ochronę łowiska. Każdy pobyt w lesie był dla mnie relaksem. W łowisku zawsze odpoczywałem psychicznie, gdy w pracy nie układało się tak, jak trzeba. Gdy musiałem słuchać bzdurnych czasem uwag niektórych dostojników partyjnych, nie mogąc otwarcie powiedzieć im, że się mylą w swej ocenie. Dopiero po kilku godzinach w łowisku dochodziłem do siebie.

Od początku przynależności do Polskiego Związku Łowieckiego pełniłem różne funkcje w kole łowieckim. Byłem skarbnikiem, sekretarzem, łowczym i prezesem zarządu. Nie są to funkcje przynoszące tylko prestiż, ale wymagające pracy, dużego doświadczenia i umiejętności współpracy z ludźmi. Po trzydziestu latach przeniósłem się z „Diany” do koła łowieckiego im. J. Ejsmonda w Olsztynie. Zdecydował o tym fakt, że koło to dzierżawi dobre obwody w pobliżu Olsztyna i nie trzeba już jechać sto kilometrów, by być w łowisku. Ponadto w tym kole polowało wielu moich kolegów znanych mi z pracy zawodowej.



Okazałe trofeum, 1999 r.



Po polowaniu na kaczki.

Swojej łowieckiej pasji więcej czasu mogłem poświęcić dopiero jako rencista. Byłem wiceprzewodniczącym Komisji Tradycji i Zwyczajów Łowieckich przy Okręgowej Radzie Łowieckiej w Olsztynie. Komisja organizowała m.in. coroczne bale łowieckie, cieszące się dużym powodzeniem nie tylko wśród myśliwych. Brałem też udział w programie telewizyjnym „Kawa czy herbata” o tematyce łowieckiej, emitowanym 28 stycznia 2000 roku z hotelu „Anders” w Starych Jabłonkach. Przez jedną kadencję byłem też zastępcą Okręgowego Rzecznika Dyscyplinarnego PZŁ.

Wspólnie z kolegą komisji tradycji Andrzejem Kozłowskim i ówczesnym dziennikarzem „Dziennika Pojezierza” Jerzym Pantakiem (nie jest myśliwym, ale na polowaniach, jako syn leśniczego, bywał) powołaliśmy do życia kwartalnik „Myśliwiec Warmińsko-Mazurski”. Byłem pierwszym redaktorem naczelnym tego

kwartalnika. To kolorowe czasopismo zawierało artykuły o życiu Polskiego Związku Łowieckiego, kół łowieckich, a także wspomnienia myśliwych z rejonu działania Mazurskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Olsztynie. Jednak po dwu i pół latach wspólnie z redaktorem Pantakiem zrezygnowaliśmy z pracy w jego redagowaniu. Dlaczego? - Nie chciałem, by kwartalnik stał się tubą chwającą tylko władze PZŁ, jako najważniejsze i nieomyłne w swoich poczynaniach. Staraliśmy się, by kwartalnik był organem niezależnym, prezentującym zdanie myśliwych, a nie tylko władz myśliwskich. Z trudem przy pierwszych numerach nam się to udawało. Stopniowo, coraz silniej, przewodniczący Zarządu Okręgowego PZŁ w Olsztynie ingerował w tematykę i sposób przedstawiania spraw przez autorów. Z czasem coraz częściej przewodniczący po prostu żądał wykreślenia krytycznych zdań pod adresem władz PZŁ i jego pracowników. W końcu miałem dość dyskusji i ingerencji w redagowanie i na początku 1999 roku zrezygnowałem z funkcji redaktora naczelnego i współpracy z tą redakcją. Zredagowałem dziesięć numerów „Myśliwca”.

Będąc blisko tzw. „władzy” Polskiego Związku Łowieckiego, miałem możliwość przekonać się jak ta „władza” traktuje koła ł-



Na balu myśliwskim, 1997 r.

dów PZŁ zachowano 49, obciążając tylko koła łowieckie coraz wyższymi składkami na utrzymanie tej rozbudowanej administracji. Mocno się naraziłem władzom PZŁ, pisząc



Rozmowa z redaktorem Pantakiem.

wieckie i myśliwych. Jak kieruje się tylko własnym interesem w ustalaniu zasad, które mają obowiązywać tylko małych, a nie dotyczyć dobrze ustawionych. Obserwując zmiany, jakie zachodziły w Polsce w latach dziewięćdziesiątych i następnych, zarówno w życiu gospodarczym jak i społecznym, stwierdzić mogę, że poszły one nie w tym kierunku, jak pierwotnie zakładano. Zaginęło koleżeństwo, decydująca jest korzyść własna i nie liczenie się z innymi. Nie ma już tej atmosfery, która była dawniej na polowaniach zbiorowych, kiedy był czas na łowy, pokot i zakończenie przy ognisku, żarty z pudlarzy i dzielenie się wspólnymi przeżyciami.

W czasie zmian administracyjnych w kraju Polski Związek Łowiecki pozostał nie zreformowany. Nadal istnieje rozbudowana kadra administracyjna w łowiectwie która nie zawsze pomaga kołom łowieckim, a wprost lekceważy myśliwych. Zamiast 16 wojewódzkich zarzą-

krytyczny artykuł do redakcji „Braci Łowieckiej”.

Inne pasje

W latach 1990 i 1991 wszystkie wolne dni przeznaczałem na wycieczki „turystyczne” do Związku Radzieckiego. Relacje cenowe były tak korzystne, że na każdej można było nieźle zarobić. Były to tanie wycieczki organizowane na 9-10 dni. Organizowały je różne biura turystyczne, jak „Bieriozka”, „Turysta”, „Orbis”. Wjazdy następowały z Olsztyna pociągami, z pilotem i określonym programem zwiedzania.

Na pierwszą taką wycieczkę, do Leningradu i Moskwy, namówił mnie kolega jeszcze w 1990 roku. Nie miałem wtedy paszportu, ale szybko go zdobyłem, bo mąż księgowej z mojej spółdzielni był zastępcą szefa biura paszportowego. Błyskawicznie, bo po trzech dniach, odebrałem

paszport i byłem gotów do wyjazdu. Trzydziestoosobowa grupa wyjechała pociągiem z Olsztyna i rano dotarliśmy do przejścia granicznego w Kuźnicy. Tam pilotka zebrała paszporty i odbyła się kontrola celna. Po jej zakończeniu WOP-iści zaczęli sprawdzać paszporty. I tu grom z jasnego nieba – mój paszport okazał się nieważny. Byłem zaskoczony, dlaczego? Poszedłem z pilotką do kapitana, dowódcy straży. Okazało się, że na moim paszporcie brak wytłoczonego stempla na zdjęciu. Nie pozwolono mi więc jechać i zawrócono do domu. Zmartwiony wyszedłem z wagonu, grupa odjechała, a ja zostałem z kapitanem na peronie. Opowiedziałem mu o tym, jak załatwiałem paszport, i o tym, jak mi zależy, by wyjechać na tą wycieczkę, którą traktuję jako odpoczynek psychiczny po moich przejściach. Słuchał z uwagą i powiedział, że gdybym wrócił z dobrym paszportem następnego dnia na ten sam pociąg do Leningradu, to on może mi załatwić z dowódcą straży granicznej z Grodna, że będę mógł dołączyć do wycieczki. Nie wierzyłem, ale dał mi słowo, że załatwi.

Pociągiem dojechałem do Białegostoku, ale do Olsztyna nie było do wieczora pociągu. Zdecydowałem się więc jechać drogą okrężną, przez Ostrołękę i Szczytno, pociągiem osobowym. Dopiero wieczorem byłem w domu. Zaskoczona córka zapytała, co się stało. Opowiedziałem jej o przyczynie powrotu i że jest nadzieja na wyjazd. Zadzwoiłem też do księgowej mówiąc, co mnie spotkało. Przekazała to mężowi, który poprosił mnie, bym zgłosił się w biurze paszportów za pół godziny. Cekał tam na mnie z drugim funkcjonariuszem. Otworzyli budynek, sejf ze stemplami i postawili brakujący znak. W międzyczasie odjechał pociąg do Białegostoku. Żeby dostać się do Kuźnicy na godzinę siódmą rano, trzeba było jechać taksówką. Zdecydował się na to młody taksówkarz, sąsiad z bloku. O wpół do siódmej zameldowałem się u kapitana. Był bardzo zdziwiony, ale stwierdził, że skoro dał słowo, to trzeba go dotrzymać. Zaczął dzwonić do Grodna i szukać dowódcy straży granicznej. Wkońcu udało się z nim skontaktować i uzgodnić sprawę. Kapitan poprowadził mnie przez komorę celną do wagonu i przekazał konduktorowi. Powiedział, bym dał konduktorowi 5 rubli, to on znajdzie dla mnie miejsce w kuszecie. Gdy tak zrobiłem, konduktor wprowadził mnie do pustej kuszетки i jechałem sam aż do Wilna. Dopiero w Wilnie dosiadły się do mnie trzy studentki, które też jechały do Leningradu. Następnego dnia przed świtem byliśmy u celu.

Ale jak w wielkim mieście znaleźć swoją grupę wycieczkową? Wiedziałem, że zgodnie z programem będą w Leningradzie cztery dni. Wierzyłem, że ich znajdę. Miałem odpowiednią sumę rubli, by przez ten czas utrzymać się, a gdybym ich nie znalazł, wrócić do Polski. Na dworcu zacząłem szukać jakiegoś biura turystycznego. W końcu znalazłem biuro „Inturist”. Poczekaliśmy do siódmej, gdy przyszedł pracownik. Zapytałem go, czy nie wie, w jakim hotelu zatrzymała się wczoraj grupa z Polski. Nie wiedział. Poprosiłem, żeby zadzwonił do hoteli, w których zatrzymują się turyści, a za rozmowy zapłacię. Z pewnymi oporami podjął próbę dzwonienia. Jednak na chęciach się skończyło, bo... telefon w biurze był zepsuty. Spytał mnie o numer wycieczki, ale ja z kolei

nie wiedziałem, o co mu chodzi. Na szczęście, kiedy opuszczałem wagon w Kuźnicy, pilotka wycieczki dała mi listę uczestników. Jak się okazało, był na niej ten numer. Mając go pracownik „Inturistu” dowiedział się, gdzie są zakwaterowani moi turyści. Do hotelu pojechałem taksówką i dołączyłem do grupy.

Przez pierwsze dni czułem się jakoś nieswojo. Wydawało mi się, że jestem obserwowany i izolowany. Jednak trzeciego dnia jeden z uczestników wyjaśnił mi powód, dlaczego tak było. Myślenie było logiczne: skoro tak szybko załatwiłem sprawę paszportu, to posądzali mnie, że jestem w tej grupie służbowo, jako funkcjonariusz SB. Jednak, gdy wiedzieli się już, kto nim był naprawdę, przeproszono mnie i dalej już wszystko potoczyło się normalnie. Po zwiedzeniu Leningradu i zrobieniu niezbędnych zakupów pojechaliśmy do Moskwy. Mimo że poniosłem dodatkowe koszty, to wycieczka ta zwróciła mi się z nawiązką. Miałem już pieniądze na następną i w niedługim czasie szykowałem się na nią.

Wtedy byłem lepiej przygotowany, wcześniej kupowałem towar na sprzedaż i miałem już kontakty z odbiorcami. Poza tym wiedziałem, co kupić i jak sprzedać, by zarobić na takiej transakcji. Woziliśmy do Związku Radzieckiego gumę do żucia, dzinsy, buty, szczególnie szpilki damskie, cienie do powiek, szminki, krem, wody toaletowe i inne „badziewia”. Za to kupowaliśmy wyroby ze złota lub dolary. Z każdego takiego wyjazdu „turystycznego”, bez specjalnego narażania się, po odliczeniu kosztów zostawała mi kwota równa miesięcznym poborom, a czasem i więcej. Byli tacy, co ryzykowali i gdy im się udawało, zarabiali naprawdę dużo. W ciągu niecałego roku odbyłem osiem takich wycieczek i zwiedziłem nie tylko Moskwę i Leningrad, ale Tallin, Wilno, Odesę, Kijów, Kiszyniów, Mińsk i Smoleńsk. Niektóre z tych miast kilkakrotnie. Ponieważ po kilku podróżach znaliśmy się już dobrze, a byłem jednym ze starszych uczestników, to młodzież sprzedawała mój towar na bazarach i kupowała złoto, a ja jeździłem na planowane wycieczki. Bo pełniłem rolę zaufanego, przechowując ich zakupy.

Z prawdziwych wycieczek i zwiedzania zażytków: monastyrów, muzeów i innych, korzystała mniej niż połowa uczestników. Reszta była zajęta handlem. Zarobione pieniądze pozwoliły mi na wykupienie w 1991 roku na własność mieszkania i działki nad jeziorem Kałwa. Ponadto mogłem myśleć o kupieniu nowego samochodu.

Wspomnę jednak jeden z epizodów wycieczki do Mińska i Smoleńska jesienią 1990 roku. Kiedy byliśmy już w Smoleńsku, chcieliśmy też zobaczyć Katyń. Mnie zależało na tym, bo wiedziałem, że zginął tam stryjeczny brat mego taty, Czesław Dobek, który jako kapitan Wojska Polskiego w 1939 roku dostał się do niewoli radzieckiej. Przewodniczka powiedziała, że tego program wycieczki nie przewiduje i nie można tam jechać. Wtedy wszyscy zgodnie stwierdzili, że nie pojedziemy na żadną inną wycieczkę. Gdy postanowiliśmy złożyć się i wynająć autokar do Katynia, wtedy pojechała z nami. W drodze włączyła mikrofon i powiedziała, że w sprawie mordu w Katyniu są dwie wersje, nasza i rosyjska, różniące się zasadniczo, wobec czego ona nie powie i wyłączyła mikrofon. Uważaliśmy, że postąpiła słusz-

nie. Na miejscu, w kатыńskim lesie, była wtedy tylko polana i niewielki krzyż. Złożyliśmy więc pod nim kwiaty i w milczeniu chwilę postaliśmy.

PSL



**Polskie
Stronnictwo
Ludowe**

Nawet jako rencista nie mogłem siedzieć beczynnie. Już w maju 1991 roku podjąłem pracę na umowę zlecenie w prywatnym Przedsiębiorstwie Produkcyjno-Handlowo-Usługowym „Mazur” w Olsztynie, gdzie pracowałem do końca roku. W tym czasie miał miejsce kolejny incydent mego zaangażowania politycznego. Komisja Wyborcza przy Wojewódzkim Komitecie PSL wybrała mnie na kandydata na senatora z okręgu olsztyńskiego. Byłem tym zaskoczony i nie miałem doświadczenia w takich wypadkach. Były to pierwsze wybory po wojnie do Senatu i nie było też ludzi, którzy by tą sprawą odpowiednio kierowali. Przede wszystkim, nie mieliśmy takich pieniędzy ani doświadczenia, jak inni kandydaci. Początkowo ustalono, że z listy PSL będę kandydował tylko sam. Po pewnym czasie zdecydowano, że ma być dwóch kandydatów. Drugim okazał się Zygmunt Suszczewicz³⁷, prezes Wojewódzkiego Komitetu ZSL. Lista wszystkich kandydatów zawierała aż siedemnaście nazwisk, a mandaty tylko dwa. Kampania nasza była bardzo skromna, mimo to oboje osiągnęliśmy niezłe wyniki, bo blisko po 20 tysięcy głosów. Jednak nie starczyło, by wygrać. Jedyne kandydat Unii Wolności otrzymał niewiele ponad 23 tysiące głosów i z drugą lokatą zdobył mandat, a my kandydując we dwóch z jednej partii odbieraliśmy sobie nawzajem głosy. Przedobrzyliśmy. Gdyby kandydował jeden, na pewno byłby senatorem.

Następnie przez kilka miesięcy byłem szefem biura parlamentarnego PSL. Organizowałem biura poselskie w powiatach i w Olsztynie, i pomagałem w prowadzeniu biura poselskiego. Po pewnym czasie przekonałem się, że jednak polityka nie jest zajęciem dla ludzi takich jak ja. Nie zawsze mogłem zgodzić się z manewrami, jakie trzeba było wykonywać na polecenie posła. Dla mnie białe zawsze było białym, a czarne czarnym. Kiedy pytałem o realizację programu, z jakim posłowie szli do wyborców, powiedziano mi, żebym schował go do szuflady, a wykonywał to, co mi każą na bieżąco. Nie odpowiadało mi takie stawianie spraw i wiernopoddająca lojalność. Byłem zbyt mało elastyczny i bezczelny. W końcu zrezygnowałem i można powiedzieć, że w ciągu niecałego roku wyleczyłem się z aktywnego politycznego działania.

³⁷ (1944-2012), technik rolnik, poseł PSL II kadencji. Gospodarował w Dywitach. W 1997 został zatrudniony jako kierownik administracyjno-gospodarczy Ośrodka Mieszkalno-Rehabilitacyjnego Polskiego Związku Nievalidnych Olsztynie.

Mój kumpel kadet

W kwietniu 1991 roku pojechałem do Niemiec, by kupić samochód. Umówiłem się z siostrzeńcem Leszkiem Malinowskim, który w tym czasie pracował w Niemczech, że przyjadę autobusem do Frankfurtu nad Menem, a stamtąd zabierze mnie do miasteczka oddalonego o 60 kilometrów. Mieszkała tam grupa Polaków pracująca przy usuwaniu skutków wichury w lasach. Zamieszkałem w pensjonacie, płacąc 30 marek dziennie za nocleg z pełnym wyżywieniem. W pewnym momencie właścicielka pensjonatu zapytała mnie, czy nie chciałbym pracować. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że przyjechałem tylko kupić samochód, a pracę to mam w Polsce. Była bardzo zaskoczona moją odpowiedzią, bo co to za Polak, który nie chce u nich zarobić trochę marek. Szukaliśmy czegoś, co nadawałoby się do kupna w tym rejonie. Początkowo ani na „szrotach”, ani na wystawkach czy w salonach nie mogliśmy znaleźć nic ciekawego. Auta były albo zbyt drogie, albo zbyt stare. Trwało to już kilka dni. W końcu obok warsztatu w Bad Krauzenach znaleźliśmy siedmioletniego opla kadeta, który nam się podobał. Cena też była do przyjęcia, bo 4,4 tys. marek. Była to wtedy równowartość naszego fiata 126p. Zdecydowałem się na kupno, wydając wszystkie pieniądze jakie miałem. Na rejestrację, paliwo na drogę musiałem już pożyczyć marki od szefa Leszka. Następnego dnia – po załatwianiu wszystkich formalności, rejestracji i ubezpieczenia – byłem gotów do powrotu do Polski. Siódmego dnia po przyjeździe ruszyłem w drogę powrotną.

Nie znając dokładnie stanu technicznego wozu, nieco z duszą na ramieniu, siadłem za kierownicą ze świadomością, że mam przejechać w ciągu dnia ponad tysiąc kilometrów. Samochód nieznany, nawet inaczej go się prowadzi od poprzedniego, który miałem. Ma napęd na przednią oś, a nie na tylną. Ponadto marek starczy mi tylko na paliwo do Wrocławia. Od Frankfurtu, aż do granicy z dawną NRD, po raz pierwszy w życiu jechałem autostradą. Niesamowite wrażenia, gdy jadąc z szybkością 120 kilometrów na godzinę wyprzedzały mnie inne samochody. Po kilku godzinach jechałem już swobodnie i wieczorem dotarłem do przejścia granicznego w Zgorzelcu. Kiedy po odprawie celnej siadłem do samochodu, by dojechać do Wrocławia, odetchnąłem i spadło napięcie, które towarzyszyło mi w czasie pobytu w Niemczech. We Wrocławiu zaparkowałem na strzeżonym parkingu i udałem się do hotelu. Momentalnie padłem, tak byłem zmęczony. Następnego dnia z trudem dotarłem do Olsztyna, choć trasa była o połowę krótsza od tej z dnia poprzedniego. Prowadziłem już dużo wolniej, ale gdy dojechałem do Olsztyna, zgubiłem wszystkie kołpaki z kół. To przekonało mnie o jakości dróg w Polsce i w Niemczech. Jeśli chodzi o samochód, to trafiłem na niezły egzemplarz i przez sześć lat użytkowania nie miałem z nim większych kłopotów.



Z Mamą w Troszynie w 1987 r.

Rok 1992

W 1992 roku zostałem zatrudniony na pół etatu w Banku Rozwoju Rolnictwa w Olsztynie jako inspektor działu kredytów. Zajmowałem się zarówno udzielaniem kredytów, jak i ich windykacją, co wymagało wyjazdów w teren i kontaktów z kredytobiorcami. Było to nowe wyzwanie dla mnie. Poznałem trochę przepisów bankowych, a jako były pracownik administracji nie miałem problemów z dokumentacją. Istotne było, że praca ta wpływała na mój staż pracy liczony do renty i z każdym rokiem zwiększano mi ją. Po dwóch latach bank otrzymał dodatkowy etat do działu kredytów. Dyrektor zaproponował mi przejście na cały etat, jednak nie było to dla mnie korzystne i

zaproponowałem na to miejsce mego zięcia Witolda, który szukał wtedy pracy. Sam przejąłem sprawy administracyjne i zabezpieczenia.

Rok 1992 przyniósł kolejne zasadnicze zmiany w moim życiu. Mama, która mieszkała u siostry Krystyny w Troszynie, straciła nagle przytomność i już jej nie odzyskała. Zmarła w szpitalu w Ostrołęce 4 maja. Ja od śmierci żony Czesławy byłem sam. Dzieci usamodzielniały się i mieszały oddzielnie w swoich mieszkaniach. Nie mogłem przyzwyczaić się do pustego domu. Zacząłem się zastanawiać, czy pozostać samemu, bo oznaczało to obciążać swoją osobą córki, które mają swoje rodziny i problemy.

Pewnego dnia spotkałem Jasię Zabłocką-Daciuk, koleżankę ze szkoły średniej. Dawniej utrzymywaliśmy przyjacielskie kontakty jako małżeństwa. Jej mąż zmarł w 1976 roku i pozostała z dwójką dzieci. Ale skończyły już studia i usamodzielniały się. Syn jej, Jasiak, mieszka i pracuje w Gdańsku, a córka Małgosia mieszka w Olsztynie. Spotykaliśmy się czasem i w końcu zapadła decyzja, że łatwiej nam będzie, gdy się pobierzemy. Nasze dzieci przyjęły tę decyzję z mieszanymi uczuciami: akceptowały ją z rezerwą. Ślub nasz odbył się 14 sierpnia 1992 roku. Z czasem radę czyasto ułożyło się normalnie i teraz mamy czwórkę dzieci, z którymi spotykamy się systematycznie nie tylko z okazji świąt. Staramy się nie ingerować w ich sprawy, a tylko czasem dajemy odczuć, że mogą liczyć na naszą radę czy pomoc.

We wrześniu 1994 roku razem z córkami i wnukami przyjechaliśmy do Troszyna na wesele najmłodszej córki siostry Krystyny. Ukończyła ona studia na Akademii Medycznej w Białymstoku i wyszła za mąż za kolegę z roku Piotra Paździora. Oboje w tym czasie byli stażystami w Szpitalu Wojewódzkim w Ostrołęce.



Mój ślub z Jasią Zabłocką, 1992 r.



Ślub Moniki - córki siostry Krystyny, z Piotrem Paździor, 1994 r.

Ja dziennikarz

W 1995 roku zakończyłem swoją stałą pracę zawodową i rozpocząłem współpracę dziennikarską (na umowę o dzieło) z redakcjami lokalnej prasy wydawanej w Olsztynie. Namówił mnie do tego wspomniany już redaktor Jerzy Pantak. Znaliśmy się od dawna, bo wcześniej dostarczałem dziennikarzom nie tylko informacje o sytuacji w rolnictwie, lecz czasem popeliąłem jakiś artykuł. Pierwsze moje artykuły na tematy rolnicze ukazały się w 1975 roku w tygodniku „Nasza Wieś”. Ponieważ miałem dużo wolnego czasu Jurek zaproponował mi cotygo-



Praca fotoreportera, 1998 r.

dniowy cykl artykułów o myślistwie w „Dzienniku Pojezierza”. Nazwaliśmy go „Wokół ambo-ny”. Były to moje wspomnienia i refleksje z polowań i pobytów w łowisku. Prowadziłem ten cykl dwa lata, do końca ukazywania się dziennika.

Pod koniec 1996 roku zarejestrowałem w sądzie kwartalnik łowiecki „Myśliwiec Warmińsko-Mazurski”. Byłem jego nie tylko pomysłodawcą i założycielem, lecz pierwszym naczelnym redaktorem. Skompletowałem zespół redakcyjny, pozyskując do współpracy myśliwych, którzy mogli coś ciekawego napisać i zająć stanowisko w sprawach istotnych dla łowiectwa. Perypetie z jego redagowaniem już opisałem wyżej.

W 2000 roku rozpocząłem regularną współpracę z ogólnopolskim miesięcznikiem „Brac Łowicka”. Zamieściłem w nim szereg artykułów i informacji

o życiu kół łowieckich okręgu warmińsko-mazurskiego oraz przedstawiałem, często krytyczne, uwagi dotyczące zarządzeń i pracy władz PZŁ. Byłem redaktorem prowadzącym kwartalną wkładkę regionalną. Nadal współpracuję z tą redakcją, ale mniej systematycznie. Ta działalność dziennikarska zaowocowała tym, że w 2002 roku zostałem członkiem olsztyńskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

W 2002 roku zacząłem współpracę z „Tygodnikiem Warmińskim”, wydawanym w Olsztynie, zajmując się sprawami rolnictwa i ochrony przyrody. Ta współpraca po roku zakończyła się w sądzie, gdyż wydawca nie wywiązywał się z umów, jakie zawarł z redak-



Na Wigilii w redakcji Nowego Życia Olsztyna, 2008 r.



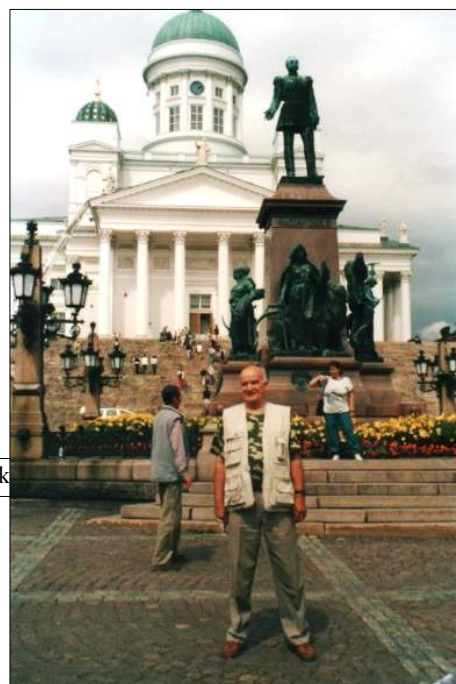
Spotkanie z działaczami ZMW, od lewej M. Domin i J. Chudy, 2002 r.



Z kolegami po 53 latach od ukończenia studiów, 2012 r.

torami. W tygodniku tym znów zetknąłem się z Jurkiem Pantakiem (był jego redaktorem naczelnym). Gdy zostaliśmy na łodzi, w 2005 roku powołaliśmy³⁸ do życia miesięcznik „Nowe Życie Olsztyna”. Ten kolorowy, niezależny od nikogo, miesięcznik dotyczył nie tylko miasta, lecz i spraw województwa. Ale w nowej tematyce poruszałem się niezbyt pewnie i mimo bardzo dobrej zażyłości z zespołem

³⁸ Wspólnie z Leszkiem Likim, zajmującym się reklamą w „TW” i miesięczniku „Kupiec”. Leszek założył w tym celu własne wydawnictwo i został naczelnym NŻO. Pismo ukazuje się do dziś, także wersji popularnej, bezpłatnej.



Z Jasią przed Koloseum w Rzymie, 2000 r., pod pomnikiem cara Aleksandra w Helsinkach, 2003 r., w Grecji przed Panteonem, 2001 r.

redakcyjnym, po kilku miesiącach zrezygnowałem ze współpracy z tą redakcją.

Nie tylko działka i dom...

Zaczelśmy z Jasią spokojne emeryckie życie. Nie starczała nam jednak działka i dom, wbrew refrenowi piosenki żeglarza-emeryta Tomasza Piórskiego i Ryszarda Muzaja:

To wszystko było-minęło, zostało tylko wspomnienie,

Już nie poczuje wibracji pokładu, gdy kable grają.

Już tylko dom i ogródek, i tak aż do śmierci,
A przecież stare żaglowce po morzach jeszcze pływają.

Właśnie, że nie wszystko minęło, statki po morzach jeszcze pływają. Postanowiliśmy, że odrobimy zaległości w tym, co nie było nam dane wcześniej, kiedy byliśmy za „żelazną kurtyną”. Założyliśmy, że o ile zdrowie i zasoby pieniężne pozwolą, to każdego roku przedłużymy sobie lato o pobyt w którymś z krajów o cieplejszym klimacie.

Na pierwszą wycieczkę wybraliśmy się we wrześniu 1999 roku do Hiszpanii. Zakwaterowano nas w hotelu „La Palmera” w Lloret de Mar nad morzem Śródziemnym. Byliśmy w Barcelonie, gdzie podziwialiśmy park Gaudiego z jego budowlami, katedrę Sagrada Família, stadion piłkarski Barcelony oraz kolorowy pokaz fontann. Zwiedziliśmy Gironę z jej żydowską dzielnicą oraz księstwo Andory w Pirenejach. Odbiliśmy rejs statkiem wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego, obserwując przez przeszkłone dno żyjące w nim ryby i podziwiając francuskie Lazurowe Wybrzeże. W kasynie gry w Monte Carlo przegrałem w ruletkę dwadzieścia franków. Wtedy po raz pierwszy spotkaliśmy się z rosyjskimi turystami, przeważnie nowobogackimi, którzy swoim głośnym zachowaniem zwracali na siebie uwagę pozostałych grup.

Rok dwutysięczny rozpoczęliśmy od małej rodzinnej uroczystości. Moja chrześniaczka, córka siostry Aliny Doroszkiewicz, w maju te-

go roku wyszła za mąż za Holendra Benni Mols. Ślub odbył się 6 maja w Warszawie na Starym Mieście. Niestety, jako miejsce zamieszkania i pracy wybrała Amsterdam.

W tym też roku wybraliśmy się do Włoch. Była to typowa wycieczka autokarowa ze zwiedzaniem zabytków, każdego dnia w innym miejscu. Uczestniczyły w niej też dwa małżeństwa, z którymi byliśmy w Hiszpanii. Byliśmy w Sienie, Neapolu oraz na pięknej wyspie Capri. Weszliśmy też na dymiący wulkan Wezuwiusz i odwiedziliśmy cmentarz żołnierzy polskich na Monte Cassino. Niestety, na autostradzie utkneliśmy w potężnym korku i na cmentarzu byliśmy już w nocy. Nie obejrzelśmy też klasztoru, by nie budzić mieszkających tam zakonników. Niezapomniane wrażenia pozostały nam po wizycie w Pompejach.

W Rzymie zwiedzaliśmy starożytne zabytki, jak Koloseum czy też Lateran. Do końca naszych dni przeżywać będziemy spotkanie z papieżem Polakiem, bo na audyencji przyjął nas Jan Paweł II. Potem podziwialiśmy Wenecję z placem Świętego Marka, płynęliśmy gondolą

kanalem Grande pod Mostem Westchnień. Odwiedziliśmy też dwie ciekawe wysepki, Murano i Burano. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się we Florencji.

Dwudziesty pierwszy wiek rozpoczęliśmy od niewielkiego remontu zdrowia. W maju wyjechaliliśmy na dwa tygodnie do sanatorium „Egle” w Druskiennikach na Litwie. Dobre sanatorium, doskonałe zabiegi i niewielki koszt w stosunku do naszych sanatoriów. Spacerowaliśmy po pięknych terenach oraz płynęliśmy statkiem po Niemnie. We wrześniu natomiast wybraliśmy się turystycznym autokarem do Grecji, przedłużając sobie lato. Kapaliśmy się w morzu, choć Grecy uważali, że jest już za zimno. Każdego dnia zwiedzaliśmy inne zabytki, a tych tam nie brakuje. Przypomnieliśmy sobie nieco historii starożytnej Grecji. Niezapomniane wrażenia wywarły na nas klasztory na skałach w Meteorach, Termopile, Kanał Koryncki, Delfy, Ateny, Mykeny, Peloponez. Przy okazji porównywałem stan obecnych dróg z tymi, jakie widziałem w 1978 roku. Po wstąpieniu Grecji do Unii Europejskiej inwestycje



W Tunisie stolicy Tunezji, 2002 r.

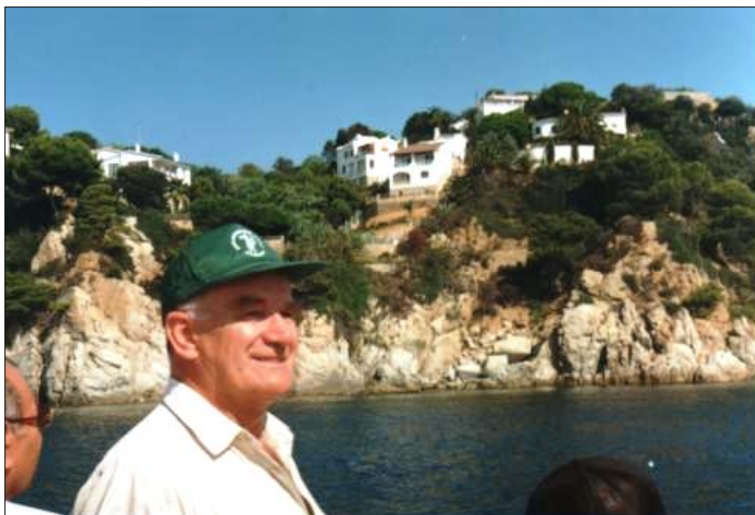
drogowe mocno zmieniły ten kraj. Z Patras promem przepłynęliśmy do Triestu, a dalej autokarem do Wenecji.

Po powrocie z wycieczki odwiedziliśmy chorą moją siostrę Irenę, która mieszkała w Ostrołęce. Było to ostateczne spotkanie, bo jej stan był bardzo ciężki i zmarła w dniu 9 października.

W 2002 roku razem chcieliśmy więcej odpocząć i zdecydowaliśmy się na wczasy w Tunezji. We wrześniu poleciliśmy samolotem do Tunisu, a stamtąd około sto kilometrów na zachód do Gammarth. Bazą był średniej klasy hotel Nowa Park, jednak z basenem i niedaleko morza, w spokojnym terenie. Nie tylko leżeliśmy lub pływaliśmy się w morzu. Dwa dni przeznaczaliśmy na wycieczkę po Saharze, zwiedzając oazy, słone jezioro, a także spróbować jazdy na wielbłądach. Zwiedziliśmy ruiny Kartaginy, a także góry na granicy z Algierią. Pojechaliśmy też pociągiem do Tunisu. Na bazarze („suku”) na starym mieście zakupiliśmy drobne pamiątki. Podczas tych wycieczek naszym pilotem był Mahamed, absolwent Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Znał polski i z pobytu w Tunezji wróciliśmy bardzo zadowoleni i wypoczęci.

Na początku lipca 2003 roku zmieniliśmy kierunek naszych eskapad z południa na północ. Skorzystaliśmy z autokarowej wycieczki na Litwę, Łotwę, Estonię i Finlandię. Zwiedziliśmy starówkę w Rydze i ciekawe Stare Miasto z baszami w Tallinie. Na jednej z nich umieszczona jest tablica przypominająca o brawurowej ucieczce do Wielkiej Brytanii naszego okrętu podwodnego ORP „Orzeł”³⁹.

Z Tallina popłynęliśmy promem do Helsinek, gdzie zwiedziliśmy park Sibeliusa, oryginalny kościół luterński wykuty w skale, a także stadion olimpijski z pomnikiem Pablo Nurmiego. O szacunku Finów do historii świadczy fakt, że przed katedrą na głównym placu stoi pomnik cara Aleksandra II, jako pozostałość po rosyjskim zaborze. Finowie twierdzą, że to jest ich historia i nie można niszczyć jej śladów. W Wilnie pokazano nam starówkę, kościoły łącznie z Ostrą Bramą oraz cmentarz na Rossie. Pozostało nam wiele wrażeń i zdjęć, które chętnie przeglądaliśmy wspominając nasze wojaże.



Tu byłem.

W latach 2004 i 2005 odrabialiśmy zaległości w odwiedzaniu rodziny i kolegów w kraju. Były to czas wesel i chrzcin w rodzinie, a także zjazdów koleżeńskich w Kętrzynie i Węgorzewie. Odwiedziliśmy więc Poznań, Wrocław, Bielsko Białą, Łuków i Łomżę, spotykaliśmy się z gośćmi w Olsztynie.

Do wyjazdu na wczasy zagraniczne w 2006 roku namówiła nas siostra Krystyna. Pamiętni dobrych wrażeń sprzed czterech lat, znów wybraliśmy się do Tunezji, do Hammamad przy wschodniej granicy. Wyjechaliśmy na początku maja, w czwórkę, bo zabrała się z nami Krystyna i szwagierka, Lilka Żemojtel. Hotel był oddalony od plaży, jednak ze słońca korzystaliśmy maksymalnie i w połowie maja byliśmy opaleni zupełnie przyzwyczajeni. Skorzystałem tam z możliwości lotu na spadochronie ciągniętym za motorówkę. Niesamowite wrażenia – szybowałem nad plażą i hotelami Hammamad. Zwiedziliśmy też dawne forty

Od góry:

Wybrzeże Hiszpanii Loret de Mar,
W Watykanie spotkanie z Papieżem,
Z żoną przed hotelem w Gammarth.

i ruiny, a także ciekawą ceramikę tunezyjską na półwyspie Cap Bon. Byliśmy też w grotach, gdzie kręcono film „Quo Vadis”.

W następnych latach turystykę znów ograniczyliśmy do kraju: odwiedzin rodziny i znajomych lub wyjazdów do sanatoriów. Zaczęło mi nieco dokuczać zdrowie. Coraz częściej przypominało o sobie kontuzjowane kolano, ból ograniczał chodzenie. To wyraźny sygnał, że trzeba zwolnić, że czas na odpoczynek. Byliśmy w sanatoriach w Druskiennikach na Litwie, Ciechocinku, Kołobrzegu, Uście i Lebie.

W styczniu 2010 roku odbyło się wesele mego wnuka, Marcina Hajdenrajcha, który ożenił się z Marią Skowron, absolwentką Wydziału Geodezji Uniwersytetu Warszawskiego. Uroczystość odbyła się w Podkowie Leśnej. Musiałem w niej uczestniczyć, mimo fatalnych warunków drogowych, śnieżycy i zasp. Przecież to pierwsze w rodzinie wesele wnuka!

³⁹ Internowany przez Estończyków „Orzeł” wymknął się z portu w nocy 17/18 września 1939 roku.

Życiowy bilans

Poza pracą zawodową i myśliwskim hobby zawsze znalazłem czas na działalność społeczną. Przez kilka kadencji, od połowy lat siedemdziesiątych, byłem członkiem Państwowej Komisji Arbitrażowej przy Sądzie Wojewódzkim w Olsztynie, a w latach następnych, aż do 2004 roku ławnikiem w tym sądzie. W ostatniej kadencji pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego Rady Ławniczej przy Sądzie Okręgowym w Olsztynie.

Mimo że w działalności zawodowej i społecznej nie byłem zbyt elastyczny i nie chwaliłem władzy, doceniano moją pracę i zaangażowanie. Wielokrotnie byłem nagradzany i wyróżniany. Mam wiele odznaczeń i medali. Wszystkie, poza łowieckimi, przyznawane były na wnioski moich pracodawców. Posiadam: Złotą Odznakę Honorową „Zasłużonym dla Warmii i Mazur”, odznakę „Zasłużony Pracownik Rolnictwa”, Medal 40-lecia Polski Ludowej, Medal Wincentego Witosa, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Cenię sobie bardzo odznaczenia łowieckie: Zasłużony dla Koła Łowieckiego „Diana”, Zasłużonemu dla Łowiectwa Warmii i Mazur oraz Brązowy i Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej.

Ale co tam odznaczenia i medale! Bardziej zastanawiam się nad tym, czy ze swego życia zrobiłem dobry użytek? Czy spoglądając w przeszłość, jestem ze wszystkiego zadowolony? Czy coś osiągnąłem? Czy wykorzystałem wszystkie możliwości, jakie miałem, czy nie zmarnowałem swej życiowej szansy?

Coraz częściej myślę o tego typu bilansie i towarzyszą mi mieszane uczucia. Zawsze chciałem zrobić coś pożytecznego dla wsi, dla środowiska, z którego się wywodzę, nie zapominając o swoich korzeniach. Na pewno nie wykorzystałem wszystkich możliwości, jakie miałem, ale czy wszystko zależało ode mnie?

Nie wszystko ułożyło się tak, jak tego pragnąłem. Może zbyt mało czasu poświęcałem rodzinie, żonie i córkom? Niepokój noszę w sobie także z innych powodów. Dziś widzę wyraźnie, że za mało czułości i zrozumienia okazywałem swym rodzicom. Za bardzo byłem zaabsorbowany własnymi sprawami.

U kresu życia mam więc uczucie pewnego niedosytu, ale wydaje mi się, że mimo wszystko nie zmarnowałem swego życia. Uważam, że zagospodarowałem je z pożytkiem nie tylko dla rodziny, ale także dla środowiska, w którym przyszło mi żyć. Cieszę się z sukcesów moich córek Ani i Eli, a także czwórki wnuków: Łukasza, Kasi, Marcina i najmłodszego Krzysia. Mocno przeżywam ich porażki. W miarę moich możliwości staram się im pomagać. Dumny jestem z tego, że od dwóch lat jestem już pradiadkiem: mam dwie udane prawnuczki Tosię i Anielę. Staram się utrzymywać dobre układy z pasierbami, dziećmi Jasi: Jaśkiem i Małgosią z mężem Waldkiem Dobrzyńskim oraz wnukami: Olą, Asią i Piotrusiem.

Już w 1949 roku przywędrowałem z Mazowsza na Mazury, a później na Warmię. Mimo że miałem propozycje pracy w innych regionach, nie skorzystałem z nich, bo głęboko zapuściłem korzenie na Warmii. Przez lata nauki i pracy stałem się patriotą tego regionu. Tu osiedliły się moje dzieci, tu studiowała większość wnuków. Młodsza córka Ela wybudowała dom na wsi na peryferiach Olsztyna i zapewne też tu spędzi resztę życia. W końcu, gdzie będę miał takie możliwości wypoczynku i polowań jak nie tu?

Utrzymuję nadal bliskie kontakty z kolegami, z którymi pracowałem. Jeszcze bliższe układy mam z kolegami ze studiów. Aktywnie działam w Stowarzyszeniu Absolwentów Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego (jestem członkiem zarządu stowarzyszenia i prezesem jego Klubu Zootechników). Spotykam się z absolwentami uczelni i kolegami na corocznych koleżeńskich zjazdach i przy innych okazjach. Mimo podeszłego już wieku, zawsze wspominamy lata naszej młodości i aktywności zawodowej. Bo mimo różnych zawirowań, pozostaje radość z przeżytych dni. Jestem przekonany, że te koleżeńskie kontak-



Od góry:

Wszystkie moje wnuki, 2007 r.

Moje 70- lecie. Od lewej siostra Alina, 2005 r.

Z siostrzeńcami Leszkiem i Januszem Malinowskimi na weselu, 2011 r.

Rodzinne spotkanie nad Omulwią u Janusza Olszewskiego, 2008 r.

ty będziemy dalej podtrzymywać, choć nie-ubłagany czas zabrał już wielu z naszego grona. Pomimo trudnych czasów, w jakich wypadło mi żyć, pozostawałem wewnętrznie wolnym człowiekiem. Miałem swoją wizję życia wypełnionego wielką aktywnością. Nie ulegałem zbyt ideologii. Nie ułatwiało mi to życia. Jedno jest pewne, starałem się zawsze postępować uczciwie, nie szkodzić innym, by teraz na emeryturze każdemu śmiało patrzeć w oczy.

Na całe moje dorosłe życie ogromny wpływ miała niezbyt dobrze wyleczona kontuzja stawu kolanowego. W tej sytuacji nie wolno mi było go bardzo obciążać przy ciężkiej pracy fizycznej. Nie zawsze udawało mi się tego unikać, ale powodowało to pewne ograniczenia w wyborze mojej pracy zawodowej. Dzięki stałemu treningom i stosowaniu się do ograniczeń zalecanych przez lekarzy udawało mi się przez ponad 55 lat funkcjonować tak jak wszyscy zdrowi. Niestety wraz z wiekiem stan ten pogarszał się i w ostatnich dwu latach ból był już tak dokuczliwy, że zdecydowałem się na zabieg operacyjny plastyki stawu kolanowego lewego. Sprawa nie była prosta, wielu ortopedów niezbyt chętnie chciało się tego podjąć. Wskazywali natomiast na ryzyko jakie można ponieść i komplikacje jakie mogłyby nastąpić przy powtórnej operacji stawu. W tej sytuacji nie mogłem zdecydować się na zabieg.

W roku bieżącym, już pod koniec prac nad wspomnieniami, moim stanem zdrowia zainteresowała się Ola Malinowska córka mego siostrzeńca Janusza i zaoferowała pomoc. Skontaktowała mnie z dr Dariuszem Marczakiem z Warszawy, który stwierdził, że w ostatnich latach nastąpił olbrzymi postęp w ortopedii i podjąć się operować mnie w Samodzielnym Publicznym Szpitalu Klinicznym im. prof. Adama Grucy w Otwocku. Teraz sprawy potoczyły się szybko i już 14 września 2012 roku znalazłem się w Otwocku. Po zabiegu operacyjnym wypisano mnie w stanie dobrym do domu i skierowano na dalszą rehabilitację do Szpitala Rehabilitacyjnego w Górowie Iławskim. Już od pierwszych dni rehabilitacji widać było poprawę.

Moimi problemami zdrowotnymi interesowała się cała moja dalsza o bliższa rodzina i w miarę swych możliwości wspomagali mnie. Jednak szczególnie chciałbym w tym miejscu podziękować Oli za pomoc i osobiste zaangażowanie podczas mojej choroby oraz pobytu w szpitalu. Dziękuję przede wszystkim dr Dariuszowi Marczakowi za sprawne przeprowadzenie zabiegu operacyjnego i przywrócenie mi nadziei na dalsze normalne funkcjonowanie.

*Ryszard Dobek
Olsztyn, wrzesień 2012 rok.*



Przed odjazdem z wizyty w Troszynie, 2011 r.

Posłowie, czyli od redaktora

Kiedy Ryszard poprosił mnie o przeczytanie jego wspomnień, pytając jednocześnie, czy nadadzą się do druku, z góry odpowiedziałem, że na pewno tak. Przecież przez wiele lat wspólnej pracy i różnorodnych kontaktów redaktorskich poznałem go na tyle, że mogłem się spodziewać ciekawej lektury. Tak też było, bo Ryszard umie opowiadać – ze specyficzną nutą myśliwskiego humoru i dyskretną ironii: bo umie patrzeć na siebie także krytycznie.

To niezwykle cenne wspomnienia, pouczające także dla mnie, zwłaszcza dotyczące przyczyn powojennego osadnictwa Mazowszan na Ziemiach Odzyskanych. Wojna zabrała im wszystko, więc nic dziwnego, że szli na północ, do nowoczesnych gospodarstw nie wymagających odbudowy. Choć nie pochodzę z chłopskiej rodziny, wydawało mi się, że znam wieś, bo całą młodość spędziłem na wsi, w szkolnych ławkach z chłopskimi dziećmi. Jednak nigdy nie zaznałem uczucia takiego głodu, jaki opisuje Ryszard.

Zapiski Ryszarda Dobka to także interesujący wkład w polską memuarystykę dotyczącą wsi. Śmiem twierdzić, że od czasów słynnej przedwojennej serii pamiętników „Młode pokolenie chłopów” pod redakcją prof. Józefa Chałasińskiego powstało niewiele podobnych prac, zwłaszcza obrazujących przeobrażenia na wsi w II połowie XX wieku. Opracowań ukazujących kulisy powstania pierwszego (i licznego) pokolenia chłopskiej inteligencji z co najmniej średnim wykształceniem, a także no-

woczesnego rolnictwa i przemysłu rolnospożywczego w Polsce.

Bo skąd wzięli się nagle obecni lekarze, inżynierowie, nauczyciele, profesorowie, księża i... politycy? Skąd wzięła się liczna administracja gmin, instytucji rolniczych i firm? Wiele wciąż wstydzi się swych korzeni. To jedna z najdziwniejszych tajemnic współczesności i jednocześnie odpowiedź, dlaczego tak wielu mile wspomina czasy PRL.

Ryszard miał odwagę napisać, jak uciekając przed losem chłopca w początkach PRL został jednak blisko wsi jako magister inżynier zootechniki. Z jego zapisków wynika, że był wierny podstawowym zasadom wyniesionym z domu: pracowitości, służbie ojczyźnie niezależnie od okoliczności, dbałości o rodzinę i tradycje, nie stroniąc od społecznej pracy, hobby i ciekawości świata.

Zdobyl wyższe wykształcenie i pozycję społeczną dzięki swemu uporowi, ale już w nowych uwarunkowaniach społecznych, o których respondenci prof. Chałasińskiego mogli tylko marzyć. Korzystał z życia w nowej politycznej rzeczywistości, ale nie był obojętny na jej anomalie, za swą hardość płacąc nieraz wysoką cenę. Z humorem opisuje, jak ludzie bawili się z władzą w kotka i myszkę.

Dla mnie szczególnie ciekawe są wspomnienia z lat studiów w Kortowie i późniejsze. Ryszard przedstawia w nich wydarzenia, które też znałem i przeżywałem, zwłaszcza ludzi: studentów, profesorów, pracowników rolniczych instytucji i ówczesnych władz.

Nic nie przesadził w swych opiniach.

Jerzy Pantak

**Krasnosielecki
Zeszyt
Historyczny**



bezpłatny dodatek specjalny
do miesięcznika
„Wieści znad Orzycza”, TPZK

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosieleckiej, 06-212 Krasnosielec, ul. Rynek 40a, tel. 29 71 75 205
Nr konta TPZK: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu
Redaktor wydania: Sławomir Rutkowski kom. 796 030 115 rutkowski.plus@gmail.com
Redaktor wydania zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji publikowanych tekstów, a także opatrywania ich własnymi tytułami. Poglądy wyrażane w artykułach są poglądami ich autorów, a nie wydawcy. Wydawca może wykorzystywać powtórnie lub udostępniać materiały wcześniej opublikowane przez TPZK.

Nakład: 1 000 egz. Druk: Drukarnia J.J. Maciejewscy, Przasnysz ul. Gdańska 1